

KANON SCIENCE FICTION

Brian W.

ALDISS

**Mroczne lata
światłne**

Bestseller w Wielkiej Brytanii

Czy nawiązanie kontaktu z obcą cywilizacją jest możliwe?

SOLARIS

BRIAN W. ALDISS

MROCZNE LATA ŚWIETLNE

Tytuł oryginału: The dark light years

Przekład: Ewa i Dariusz Wojtczakowie

Wydanie polskie: 2003

Wydanie oryginalne: 1964

TMN

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

*Kilka lat świetlnych ze sztucznym aromatem dla
Harry'ego Harrisona poety, filozofa, pioniera, smakosza
O ciemno, ciemno, ciemno! Wszyscy wkraczają w ciemność
W puste międzygwiazdne przestrzenie, istoty puste w pustkę.
Kapitanowie, bankierzy hurtu, świetni pisarze.
Hojni mecenasi sztuki, mężowie stanu, panujący*

T. S. Eliot, Cztery kwartety. Przeł. J. Niemojowski.

Rozdział pierwszy

Na powierzchni w warstwach chlorofilowych wykiełkowały nowe źdźbła trawy. Z konarów i gałęzi drzew wyrosły języki zieleni i owinięły się wokół nich. Niebawem miejsce to będzie wyglądało niczym niezdatny rysunek drzewek bożonarodzeniowych wykonany przez niedorozwinięte umysłowo ziemskie dziecko. Wiosna na południowej półkuli Dapdrof znów pobudza rośliny do wzrostu.

Nie żeby natura traktowała Dapdrof przyjaźniej niż inne zakątki kosmosu. Nawet kiedy wysyłała cieplejsze wiatry nad południową półkulę, większą część półkuli północnej zanurzała w lodowatym monsunie.

Podparty na kulach grawitacyjnych, stary Aylmer Ainson stał przy drzwiach, niespiesznie drapiąc się po czaszce i gapiąc na pączkujące drzewa. W mocnym wietrze nawet najmniejsze i najdalsze gałązki leciutko się trzęsły.

Ten grawitacyjny „efekt” powodowało ciśnienie rzędu 3G. Gałązki, podobnie jak wszystko inne na Dapdrof, ważyły trzykrotnie więcej niż na Ziemi. Ainson już dawno przyzwyczał się do tego ciśnienia: przystosowało się do niego również ciało mężczyzny, reagując zaokrąglonymi ramionami i zapadniętą pierśią. Mózg Aylmera także trochę się „spłaszczył”.

Na szczęście Ainsona nie gnębiło jeszcze pragnienie usilnego odtwarzania przeszłości, które powala tak wielu ludzi jeszcze przed osiągnięciem wieku średniego. Widok małych zielonych liści wzbudzał w nim jedynie bardzo niewyraźną nostalgię oraz ledwie mgliste wspomnienie, że dzieciństwo minęło mu wśród listowia bardziej odpowiedniego dla kwietniowych zefirów – co więcej, zefiry te wiały na planecie odległej od Dapdrof o sto lat świetlnych. Dzięki tej „niepamięci” Ainson mógł stanąć w progu i cieszyć się najwspanialszym luksusem człowieka – czystym umysłem.

Nieuważnie obserwował Quequo, utoda płci żeńskiej, kiedy przechodziła wśród swoich grządek z sałatą i pod drzewami ammp, a później rzuciła się całym ciałem w przyjemne błoto. Ammpy były roślinami wiecznie zielonymi w przeciwieństwie do pozostałych drzew w otoczeniu Ainsona. Na ich wierzchołkach w listowiu odpoczywały duże czteroskrzydłe, białe ptaki, które postanowiły się wzbić do lotu, gdy Ainson na nie patrzył, a już po chwili wznosiły się z trzepotem niczym ogromne motyle; kiedy przelatywały, ich wielkie cienie na moment przykryły dom.

Zresztą cienie tych ptaków już wcześniej pokryły ściany domów. Posłuszni pragnieniu tworzenia dzieł sztuki, które nawiedzało ich pewnie tylko raz na wiek, przyjaciele Ainsona złamali biel ścian rozproszonym malowidłem naszkicowanych skrzydeł i wznoszących się w niebo ciał. Nadzwyczaj wiernie oddany ruch tego wzoru wydawał się sprawiać, że niski dom niemal piął się w górę wbrew prawom grawitacji; był to wszakże jedynie pozór, gdyż tej wiosny neoplastikowe deski kalenicowe przekrzywiły się jeszcze bardziej, a ściany domu znacząco się zapadły.

Była to już czterdziesta wiosna, której nadejście Ainson przeżywał na Dapdrof. Nawet dojrzały smród z gnojowiska pachniał obecnie swojsko. Kiedy Aylmer go wdychał, jego żarłoczny pasożyt grorg czule podrapał go po głowie. Ainson podniósł rękę i połaskotał po głowie podobne jaszczurce stworzenie. Domyślił się, czego grorg naprawdę chce, ale o tej godzinie, kiedy świeciło zaledwie jedno słońce, było zbyt zimno, by dołączyć do Snok Snoka, Karna i Quequo Kifful, które wraz ze swoimi grorgami tarzały się w błocie.

– Jest mi zimno, gdy stoję na dworze. Zamierzam wejść do środka i położyć się – zawołał do Snok Snoka w języku utodów.

Młody utod podniósł wzrok i na znak zrozumienia wyciągnął z blocka dwie spośród swoich kończyn. Ainson poczuł satysfakcję, gdyż nawet po czterdziestu latach badań znajdował język utodów pełnym zagadek. Nie był pewny, czy przypadkiem nie powiedział: „Strumień jest chłodny i zamierzam wejść do środka, by go ugotować”. Uchwycenie właściwej odmiany ni to świstu, ni to krzyku nie było łatwe, szczególnie że Ainson miał tylko jeden otwór dźwiękowy wobec ośmiu Snok Snoka.

Zakołysał kulami i wszedł do budynku.

– Jego mowa staje się coraz mniej odmienna od naszej – zauważyła Quequo. – Mieliśmy spore trudności, zanim nauczył się z nami porozumiewać. Wiotkonogi nie jest już w pełni sprawnym mechanizmem. Zauważ, że porusza się znacznie wolniej niż kiedyś.

– Też to dostrzegłem, Matko. Sam się na to skarży. Coraz częściej wspomina o zjawisku, które nazywa bólem.

– Trudno jest wymieniać pojęcia z Ziemianami, ponieważ ich słownictwo jest strasznie ograniczone, zaś skala głosu minimalna, jednak z tego, co próbował powiedzieć którejś nocy wnoszę, że gdyby był utodem, miałby teraz niemal tysiąc lat.

– Zatem musimy się spodziewać, że niebawem przyjmie stadium padliny.

– A to, co uważałam za grzyb na jego czaszce – dodała – zaczęło się robić białe.

Tę konwersację przeprowadzili w języku utodów. Wsparty o ogromne, symetryczne cielsko swojej matki Snok Snok leżał na plecach i moczył się we wspaniałym mule. Ich gorgi wspięły się na nich, skacząc i liżąc. Smród, pobudzony łagodnym blaskiem słońca, był cudowny. Łajno wypuszczane przez utody w rzadkie błoto dostarczało wartościowych olejków, które przesączały się w ich skórę, czyniąc ją niezwykle delikatną.

Snok Snok Karn był już dużym utodem, postawnym potomkiem dominującej rasy „ciężkiego” świata o nazwie Dapdrof. Snok Snok był teraz właściwie dorosły, wprawdzie nadal rodzaju nijakiego, choć w leniwym oku swojego umysłu postrzegał już siebie jako osobnika męskiego na następne kilka dekad. Będzie mógł zmienić płeć, gdy Dapdrof zmieni słońca. Na to zdarzenie, czyli na okresowy entropiczny słoneczny rozdział orbitalny Snok Snok został dobrze przygotowany. Większość jego przydługiego dzieciństwa zajmowały ćwiczenia przygotowujące go na to wydarzenie. Quequo miała wielką wiedzę w kwestii ćwiczeń fizycznych i ssania mózgu. A ponieważ trwali tu odizolowani od świata – oni dwoje oraz Wiotkonogi Ainson – Quequo całkowicie i po macierzyńsku skupiła się na nich obu.

Snok Snok ociężale wyciągnął kończynę, nabrał w nią porcję szlamu i błota, po czym rzucił je sobie na pierś. Po minucie przypomniał sobie o manierach, więc pośpiesznie rozchlapał trochę mieszaniny na plecy Quequo.

– Matko, sądzisz, że Wiotkonogi przygotowuje się do esrd? – spytał Snok Snok, cofając kończynę w gładką ścianę swego boku. Słowem „Wiotkonogi” utody określały Aylmera Ainsona, pisk „esrd” natomiast stanowił wygodny skrót oznaczający entropiczny słoneczny rozdział orbitalny.

– Trudno mi powiedzieć z powodu bariery językowej – odparła Quequo, mrugając brudnymi od błota oczyma.

– Próbowałam z nim o tym rozmawiać, niestety bez większych sukcesów. Muszę podjąć tę próbę jeszcze raz... Oboje musimy spróbować. Byłby to poważny problem, gdyby Wiotkonogi nie został odpowiednio przygotowany. Mógłby nagle i po prostu przejść w stadium padliny. Chyba na ich rodzimej planecie właśnie takie rzeczy im się przydarzają.

– To już niedługo, prawda, Matko?

Nie chciało jej się odpowiedzieć Snok Snokowi, gdyż gorgi aktywnie brykały po jej kręgosłupie.

A Snok Snok leżał i myślał o momencie – niezbyt odległym w czasie – kiedy Dapdrof porzuci swoje obecne słońce, Szafranowego Uśmiechniętego, dla Żółtego Nachmurzonego. To będzie trudny okres i Snok Snok powinien się wtedy zachować męsko, dziko i twardo. Wtedy w końcu przyjdzie Mile Widziany Biały, szczęśliwa gwiazda, słońce, pod którym Snok Snok się urodził (i które wyjaśniało jego leniwe, słoneczne i pogodne usposobienie). Pod Mile Widzianym Białym, Snok Snok mógłby sobie pozwolić na podjęcie trosk i radości macierzyństwa, mógłby wychowywać i wyszkolić syna dokładnie takiego jak on sam. Ach, ależ życie było cudowne, gdy intensywnie się o nim pomyślało. Fakty związane z esrd mogłyby się niektórym wydawać prozaiczne, lecz Snok Snok – chociaż był tylko zwykłym wiejskim samczykiem, wychowanym w prosty sposób, a zatem bez żadnych ambicji dołączenia do stanu duchownego i wyruszenia w gwiazdne królestwa – dostrzegał w nich wspaniałość natury. Nawet ciepło słońca, które rozgrzewało jego osiemsetpięćdziesięciofuntowe cielsko, miało w sobie niemożliwą do wyrażenia słowami poezję. Utod dźwignął się na bok i wydalil do gnojowiska. Był to drobny hołd dla jego matki. Nauczono go, by dzielił się z innymi swoim łajnem.

– Matko, czy przedstawiciele naszego stanu duchownego ośmielili się porzucić światy Trzech Słońc, ponieważ spotkali Wiotkonogich Ziemiian?

– Jesteś dziś rano w gadatliwym nastroju. Może wejdiesz do domu i porozmawiasz z Wiotkonogim? Wiem, że strasznie cię śmieszy jego wersja zdarzeń w gwiazdnych królestwach, więc idź się zabawić.

– Ale, Matko... Która wersja jest prawdziwa, jego czy nasza?

Zanim udzieliła synowi odpowiedzi, zawahała się. Odpowiedź była okropnie trudna, a jednak tylko dzięki niej można było zrozumieć porządek tego świata.

– Często – odparła – istnieje wiele wersji prawdy. – Zignorował to stwierdzenie.

– A jednak to właśnie ci przedstawiciele naszego stanu duchownego, którzy oddalili się poza świat Trzech Słońc, jako pierwsi spotkali Wiotkonogich, nieprawdaż?

– Może byś tak poleżał nieruchomo i podejrzewał, co?

– Czy nie powiedziałaś mi, że spotkali się na planecie zwanej Grudgrodd zaledwie kilka lat po moim urodzeniu?

– To raczej Ainson ci tak powiedział.

– Może, ale z całą pewnością od ciebie się dowiedziałem, że owo spotkanie spowodowało kłopoty.

* * *

Do pierwszego spotkania między utodami i ludźmi rzeczywiście doszło dziesięć lat po narodzinach Snok Snoka. Tak jak mówił Snok Snok, spotkanie miało miejsce na planecie, którą jego rasa nazywała Grudgrodd. Gdyby zdarzyło się na innej planecie lub gdyby w pierwszym kontakcie wzięły udział inne osoby, efekt tej konfrontacji i jego skutki mogłyby być zupełnie odmienne. Gdyby... Och, nie ma sensu rozprawiać o tym, co by było, gdyby... W historii nie ma gdybania, próżne dywagacje zaprzatają jedynie umysły komentatorów obserwujących przeszłe zdarzenia z perspektywy czasu i mimo całego postępu, jaki osiągnęliśmy, nikt dotąd przekonująco nie udowodnił, że za przypadkowymi zbiegami okoliczności stoją jakieś tajemne prawa losu. Wszystko to tylko statystycznie potwierdzone ułudy, lubujących się w zwalaniu wszystkiego na przeznaczenie, przedstawiciele ludzkiego gatunku. Możemy zatem jedynie oświadczyć, iż pierwszy kontakt między człowiekiem i utodami odbył się w taki to a taki sposób.

Opowiadanie to powinno przypominać kronikę, toteż komentarze będą minimalne, czytelnik zaś

powinien zapamiętać, że słowa wypowiedziane przez Quequo dotyczą zarówno ludzi, jak i obcych: prawda jawi się w równie wielu formach co kłamstwo.

Pierwsze utody badające Grudgrodd uznały tę planetę za całkiem znośną do bytowania.

Ich arka wylądowała w szerokiej dolinie, niegościnniej, skalistej, zimnej i niemal na całej długości porośniętej wysokimi po kolana ostami, a jednak niezwykle podobnej do pewnych pograżonych w mrokach niewiedzy miejsc, położonych na północnej półkuli Dapdrof. Przez właz wysłano parę grorgów, która wróciła po pół godziny nietknięta, choć mocno zdyszana. Istniała zatem szansa, że planeta nadaje się do zamieszkania.

Na jej powierzchnię wyrzucono więc nieco ceremonialnego błota, po czym do włazu podszedł Święty Kosmopolita i wydalil przezeń swój kał w uniwersalnym geście płodności.

– Myślę, że to pomyłka – oświadczył. – Słowem, które w języku utodów określało pomyłkę, było właśnie „Grudgrodd” (o ile atonalne chrząkanie można w ogóle oddać w postaci ziemskiego pisma) i od tej pory planetę znano pod tą nazwą.

Nadal skłonny protestować, Kosmopolita wysiadł w końcu, a za nim jego trzech Politów. Tym samym planeta Grudgrodd dołączyła do światów Trzech Słońc.

Już po chwili czterech kapłanów biegało pracowicie wokół, wycinając krąg ostów na brzegu rzeki. Wyciągnawszy wszystkie sześć kończyn, pracowali szybko – dwóch wybierało ziemię z kręgu, po czym pozwalało nasiąknąć dnu dołu wodą, która ciekła z jednej strony. Dwaj pozostali natomiast dreptali po powstającym błocie, zmieniając je w rozkosznie śmierdzącą melasę.

Nieuważnie popatrując na ich pracę tylnymi oczyma, Kosmopolita stał na krawędzi rosnącego krateru i spierał się równie zdecydowanie jak zwykle, że utod nie ma prawa lądować na planecie nie należącej do Trzech Słońc. Trzej Polici kłócili się z nim tak ostro, jak tylko potrafili.

– Święte Uczucie precyzuje tę kwestię w sposób całkowicie wyraźny – mówił Kosmopolita. – Jesteśmy dziećmi Trzech Słońc i nasze odchody nie powinny dotykać powierzchni żadnych planet nieoświetlonych przez Trzy Słońca. Wszystko ma swoje granice, nawet kwestia żywności. – Wyciągnął kończynę w górę i wycelował w brzeg chmury, skąd zimno wpatrywał się w nich wielki fioletoworóżowy glob wielkości owocu drzewa ammp. – Czy uważasz, że masz przed sobą Szafranowego Uśmiechniętego? A może bierzesz to dziwne słońce za Mile Widzianego Białego? Może nawet mylisz je z Żółtym Nachmurzonym, co? Nie, nie, moi przyjaciele, ta fioletoworóżowa nędza jest nam obca i marnujemy na nią tylko naszą substancję.

– Nie sposób podważyć żadnego z wypowiedzianych przez ciebie twierdzeń – przyznał Pierwszy Polita. – Tym niemniej, w zasadzie nie przybyliśmy tu z własnej woli. Wpadliśmy w turbulencję gwiazdnego królestwa, a ta wyrzuciła nas z kursu na odległość wielu tysięcy orbit. Ta planeta jedynie przypadkiem stała się naszym najbliższym portem.

– Jak zwykle mówisz wyłącznie prawdę – zgodził się Kosmopolita. – Tyle że wcale nie musieliśmy tutaj lądować. Miesiąc lotu i wrócilibyśmy z powrotem do świata Trzech Słońc. Na Dapdrof albo jedną z jej siostrzanych planet. Pobyt tu wydaje mi się nieco bezbożny.

– Nie sądzę, byś musiał się zbytnio o to martwić, Kosmopolito – oznajmił Drugi Polita. Miał grubą, szarawo-zieloną skórę typową dla osobników urodzonych dokładnie podczas esro i był chyba najbardziej niefrasobliwym przedstawicielem stanu duchownego. – Popatrz na to w ten sposób: Trzy Słońca, wokół których krąży Dapdrof, to tylko trzy gwiazdy z sześciu składających się na Rodzinną Gromadę. O ile wiemy, tamte sześć gwiazd posiada osiem planet, na których możliwe jest życie. Oprócz Dapdrof, także te siedem innych światów uważamy za równie święte i odpowiednie na utoddammp, chociaż niektóre z nich – na przykład Buskey – obracają się wokół jednej z trzech mniejszych gwiazd Gromady. A zatem świat, który się nadaje na utoddammp, nie musi krążyć wokół

jednego z Trzech Słońc. Teraz spytajmy...

Jednakże Kosmopolita, który był lepszym mówcą niż słuchaczem jak przystało na utoda z jego pozycją), ostro przerwał swemu towarzyszowi:

– Wystarczy już tego gadania. Jeśli pozwolisz, zakończymy chwilowo dysputę, przyjacielu. Zauważyłem jedynie, że moim zdaniem postępujemy nieco bezbożnie. Nie chciałem niczego krytykować, jednak tworzymy precedens. – Podrapał ostrożnie swojego gorga.

Trzeci Polita (który nosił imię Bluga Luguga) oświadczył z wielką tolerancją:

– Zgadzam się z każdym twoim słowem, Kosmopolito. Niestety nie wiemy, czy tworzymy precedens. Nasza historia jest bardzo długa, toteż coraz więcej załóg wyprawia się do gwiazdnych królestw i tam, na jakiejś odległej planecie, tworzy nowe bagno ku chwale utoddamp. Och, jeśli się rozejrzemy, może nawet tutaj znajdziemy twory utodów.

– Całkowicie mnie przekonałeś – stwierdził Kosmopolita z ulgą. – W Wieku Rewolucji taka rzecz łatwo się mogła zdarzyć. – Wyciągnąwszy wszystkie sześć kończyn, zamachał nimi, ceremonialnie obejmując ziemię i niebo – Ogłaszam, że wszystko wokół należy odtąd do Trzech Słońc. Niech się rozpocznie defekacja.

Byli szczęśliwi. Stawali się jeszcze szczęśliwsi. Jak zresztą mogli nie być szczęśliwi? Lekcy i płodni, byli w domu.

Fioletoworóżowe słońce zniknęło w niełasce i prawie od razu wyskoczył znad horyzontu i wznosił się śnieżnobiały satelita otoczony zawadiacką aureolą kosmicznego pyłu. Osiem utodów, przyzwyczajonych do wielkich zmian temperatur, nie zważało na rosnące zimno nocy. Pławili się w nowo utworzonym przez siebie bajorze. Towarzysząca im szesnastka gorgów tarzała się wraz z nimi, uparcie przywierając palcami z przyssawkami do swoich gospodarzy, gdy utody zanurzały się w błocie.

Powoli nasiąkali nowym światem. Błoto obmywało ich ciała, odsłaniając sensory niemożliwe do przetłumaczenia i ujęcia w kategoriach jakiegokolwiek języka.

Na niebie lśniła Rodzinna Gromada, sześć gwiazd rozmieszczonych w kształcie – tak przynajmniej twierdzili najmniej inteligentni z kapłanów – jednego z graali, które pływały po burzliwych morzach Smeksmeru.

– Nie musimy się martwić – oznajmił Kosmopolita radosnym tonem. – Trzy Słońca nadal nas tu oświetlają. Nie musimy też wcale się śpieszyć z powrotem. Może pod koniec tygodnia posadzimy kilka nasion drzewa ammp i wtedy ruszymy do domu.

– ...Albo pod koniec następnego tygodnia – dodał Trzeci Polita, z zadowoleniem taplając się w błocie.

Aby dopełnić ich zadowolenie, Kosmopolita wygłosił dla nich krótką mowę religijną. Leżeli i słuchali przemówienia, które wygłaszał ośmioma otworami dźwiękowymi. Wskazał, że drzewa ammp i utody są od siebie zależne, że wydajność jednych zależy od wydajności drugich. Przez chwilę rozwodził się nad znaczeniem słowa „wydajność” i dopiero później podjął główny wątek, omawiając problem zależności drzew i utodów (jedni i drudzy stanowili przejawy tego samego ducha) od wydajności światła, które promieniowało z każdego z Trzech Słońc, wokół którego się poruszali. To święte światło było odchodami swoich słońc, co czyniło je trochę absurdalnym, a równocześnie przemożnie cudownym. One, utodzy, żaden z nich, nigdy nie powinni zapominać, że także biorą udział zarówno w absurdzie, jak i w cudzie. Nigdy nie powinni czuć się wywyższeni ani grzeszyć pychą, skoro nie mieli nawet boskich kształtów swoich bogów...

Trzeciemu Policie bardzo się podobał ten monolog. Najpełniej dodaje otuchy to, co najbardziej swojskie.

Leżał, wystawiając jedynie czubek jednego z pysków ponad bulgoczącą powierzchnię błota i mówił niewyraźnym głosem przez zanurzone otwory ockpu. Jednym z nie zanurzonych oczu wpatrzył się w ciemne cielsko ich arki gwiazdnych królestw, wspaniale potężnej i czarnej na tle nieba. Ach, życie było dobre i przyjemne, nawet tak daleko od umiłowanego Dapdrof. Gdy przyjdzie następny esro, Trzeci Polita będzie musiał w końcu zmienić płeć i zostać matką. Był to winien swojemu rodowi. Jednak mimo to... No cóż, często słyszał, jak matka mówi... Dla przyjemnego umysłu wszystko było przyjemne. Pomyślał czule o matce i oparł się o jej ciało. Lubił ją tak samo jak zawsze, chociaż w pewnym momencie zmieniła płeć i została Świętym Kosmopolita.

Nagle zapiszczał wszystkimi otworami.

Za arką błysnęły światła!

Pokazał je swoim towarzyszom. Wszyscy popatrzyli we wskazanym kierunku.

Światła nie były jedynym zjawiskiem, jakie przerwało ich błogą zadumę. Słysząc też było przeciągły warkot.

Świateł było kilka: cztery okrągłe źródła światła przecinały mrok, piąte zaś poruszało się niespokojnie niczym gmerająca kończyzna; zatrzymało się na arce.

– Sugeruję, że zbliża się jakaś forma życia – obwieścił jeden z kapłanów.

Kiedy to powiedział, dostrzegli więcej szczegółów. Przez dolinę sunęły ku nim dwa masywne kształty. Właśnie z nich wydobywał się warkot. Masywne kształty dotarły do arki i zatrzymały się. Hałas ucichł.

– Jakże to interesujące! Są więksi od nas – zauważył Pierwszy Polita.

Z dwóch masywnych kształtów wyskoczyło kilka mniejszych. Teraz światło, które omiatało arkę, zwróciło się ku bajoru. Jednomyślnie, aby uniknąć oślepienia, utody przełączyły widzenie na bardziej komfortowe pasmo radiacyjne. Dzięki temu dokładniej zobaczyli mniejsze kształty – naliczyli cztery szczuple – uszeregowane na brzegu.

– Jeśli te istoty same wytwarzają światło, muszą być dość inteligentne – zauważył Kosmopolita. – Które z nich są waszym zdaniem żywymi formami: te masywne z oczyma czy te cztery chude?

– Może chude są grorgami masywnych – zasugerował jeden z kapłanów.

– Uprzejmie byłoby wyjść i sprawdzić – stwierdził Kosmopolita. Dźwignął cielsko i ruszył ku czterem postaciom. Jego towarzysze podnieśli się, by za nim podążyć. Usłyszeli hałasy. Wydawały je postaci na brzegu, równocześnie się wycofując.

– Jakież to zachwycające! – zawołał Drugi Polita, pospiesznie gramoląc się naprzód. – Sądzę, że na swój prymitywny sposób próbują się z nami porozumieć!

– Jakże to szczęście, że tu przybyliśmy! – dorzucił Trzeci Polita, oczywiście nie kierując swojego stwierdzenia do Kosmopolity.

– Pozdrawiamy was, o stworzenia! – ryknęli dwaj kapłani.

W tym samym momencie stojące na brzegu istoty podniosły do bioder wyprodukowane na Ziemi karabiny i otworzyły ogień.

Rozdział drugi

Kapitan Bargerone przyjął swoją charakterystyczną postawę, to znaczy zastygł zupełnie nieruchomo w lekkim rozkroku niczym rewolwerowiec, z rękoma luźno wiszącymi wzdłuż szwów swoich błękitnych szortów i przybrał pozbawioną wyrazu minę. Była to forma samokontroli, którą ćwiczył wielokrotnie podczas tej wyprawy, szczególnie, gdy stawał przed swoim Głównym Odkrywcą.

– Chcesz, żebym potraktował twoje słowa serio, Ainson? – spytał. – A może tylko starasz się opóźnić start?

Główny Odkrywca Bruce Ainson przełknął ślinę. Był człowiekiem religijnym i milcząco wezwał Wszechmogącego, by pomógł mu pozostać lepszym człowiekiem od tego głupca, który nie dostrzegał niczego poza własnymi obowiązkami i regulaminem.

– Proszę pana, dwa stworzenia, które schwytałem ubiegłej nocy, zdecydowanie usiłowały się ze mną porozumieć. Wedle definicji kodeksu eksploracji kosmicznej wszelkie istoty, które próbują się porozumieć z człowiekiem, należy potraktować jako potencjalnie inteligentne formy życia, póki nie udowodnimy, że nimi nie są.

– Rzeczywiście tak jest, kapitanie Bargerone – oświadczył Odkrywca Phipps, nerwowo mrugając oczami, kiedy wstał z zamiarem wsparcia swego szefa.

– Nie musi mnie pan zapewniać o prawdziwości frazesów, panie Phipps – odburknął kapitan. – Pytam tylko, co rozumiecie przez stwierdzenie: „próbują się porozumieć”. Gdy rzucacie jakimś stworzeniom kapustę, bez wątpienia wasz czyn można by zinterpretować jako próbę porozumienia.

– Te stworzenia nie rzucały mi kapusty, proszę pana – odparł Ainson. – Stały spokojnie po drugiej stronie krat i do mnie przemawiały.

Lewa brew kapitana wygięła się w ostry łuk niczym floret testowany na giętkość w rękach fechtmistrza.

– Przemawiały, panie Ainson? W ziemskim języku? Po portugalsku czy może w suahili?

– W swoim własnym języku, kapitanie Bargerone. Wydały z siebie serię gwizdów, chrząknięć i pisków, często wznoszącą się ponad zwykły poziom słyszalności. Niemniej jednak, był to niewątpliwie język... Możliwe, że nawet znacznie bardziej złożony niż nasz.

– Na jakiej podstawie wysnuwa pan ten wniosek, panie Ainson?

Głównego Odkrywcy nie zbiło z tropu to pytanie, jednakże na jego grubo ciosanej i przepełnionej smutkiem twarzy zarysowały się mocniej zmarszczki.

– Na podstawie obserwacji. Naszych ludzi zaskoczyło osiem tych stworzeń, proszę pana. Bez namysłu zastrzelili sześć z nich. Powinien pan przeczytać raport patrolu. Pozostałe dwa stworzenia były tak zaskoczone i zszokowane tym aktem agresji, że łatwo dały się pochwycić w sieć i przywieźć tutaj na „Mariestopes”. W podobnej sytuacji zagrożenia każda inteligentna istota szukałaby zapewne litości bądź, jeśli to możliwe, szansy uwolnienia. Innymi słowy, błagałaby... Tyle że, niestety, aż do tej pory nie spotkaliśmy żadnej formy inteligentnego życia w eksplorowanej przestrzeni... Wiemy jednak, że wszystkie rasy ludzkie błagają w ten sam sposób: poprzez użycie gestów oraz próśb werbalnych. Te stworzenia natomiast nie posługiwały się gestami, a zatem... ich język musi być tak bogaty, że nie potrzebują gestów, nawet kiedy proszą o darowanie życia.

Kapitan Bargerone wydał ostentacyjnie pogardliwe parsknięcie.

– Czyli możemy być pewni, że skoro nie błagały o życie, to tylko zwierzaki. A co jeszcze robiły

poza skamlaniem jak zamknięte w klatce psy?

– Myślę, że powinien pan zejść na dół i sam się im przyjrzeć, proszę pana. Taka obserwacja pomogłaby panu inaczej ocenić fakty.

– Widziałem te brudne stworzenia ostatniej nocy i nie muszę ich znowu oglądać. Zgadzam się oczywiście, iż stanowią one wartościowe odkrycie. Powiedziałem o tym dowódcy patrolu. Zostaną przekazane Londyńskiemu EgzoZoo, panie Ainson, gdy tylko wrócimy na Ziemię, a wtedy możesz pan sobie z nimi rozmawiać do woli. Jak już jednak wspomniałem i jak pan z pewnością wie, pora opuścić tę planetę. Nie mogę dać panu więcej czasu na badania. Niech pan będzie uprzejmy pamiętać, iż przebywamy na statku prywatnej spółki, nie zaś na statku Korpusu i musimy się trzymać ustalonego harmonogramu. Zmarnowaliśmy już cały tydzień na tym nędznym globie i nie znaleźliśmy żadnej innej żywej istoty większej niż mysie odchody. Nie mogę panu pozwolić na spędzenie tu kolejnych dwunastu godzin.

Bruce Ainson wyprostował się. Stojący za nim Phipps wykonał niezauważalny dla swego szefa pastisz wyzywającego gestu.

– W takim razie, proszę pana, odleci pan beze mnie i bez Phippsa. Niestety, żaden z nas nie brał udziału w ubiegłonocnym patrolu, a niezwykle istotne jest zbadanie miejsca, w którym schwytano te osobliwe stworzenia. Musi pan zrozumieć, że nasza wyprawa straci wszelki sens, jeśli nie zdobędziemy danych na temat ich środowiska naturalnego. Wiedza jest ważniejsza niż harmonogram.

– Nadal trwa wojna, panie Ainson, i mam swoje rozkazy.

– W takim razie będzie pan musiał odlecieć bez nas, ale nie wiem, jak się to spodoba USGN.

Kapitan potrafił się poddać, nie wyglądając przy tym na pokonanego.

– Odlatujemy za sześć godzin, panie Ainson. Wasza sprawa, jak spędzicie ten czas.

– Dziękuję, kapitanie – odparł Główny Odkrywca, ośmielając się użyć dość ostrego tonu.

W chwilę później wraz z Phippsem pośpiesznie wybiegli z kapitańskiego biura, wsiedli w windę, zjechali na pokład wyladunkowy, skąd zeszli rampą na powierzchnię planety tymczasowo oznaczonej numerem B 12.

Kantyna nadal funkcjonowała. Dwaj Okrywcy pewnym krokiem wmaszerowali do pomieszczenia, przekonani, że znajdą tam członków Korpusu Badawczego, który brał udział w wydarzeniach z zeszłej nocy. Kantynę postawiono ze wzmocnionego plastiku i serwowano w niej tak popularne na Ziemi syntetyczne posiłki. Przy jednym ze stolików siedział krępy młody Amerykanin o rześkiej twarzy, czerwonej szyi i włosach przyciętych w ostrym jak brzytwa język. Nazywał się Hank Quilter i co bystrzejsi z jego przyjaciół uważali, że zajdzie daleko. Siedział na syntwinie (wykonanym z czegoś tak pospolitego jak drewno z winorośli, która rosła nawet na lichej glebie i w prymitywnych warunkach) i kłócił się z towarzyszami. Jego gburowato-wesoła twarz ożywiła się, gdy kpił z opinii wypowiedzianych przez Gingera Duffielda, cherlawego mędrka statku.

Ainson bezceremonialnie przerwał im konwersację, gdyż to właśnie Quilter dowodził poprzedniej nocy patrolu.

Quilter osuszył najpierw swoją szklanę, po czym z rezygnacją sprowadził chudego młodzieńca nazwiskiem Walthamstone, który również uczestniczył w patrolu i we czterech poszli do parku maszynowego – wypełnionego krzykliwymi przygotowaniami do odlotu – aby zabrać bojowego łażika.

Ainson pokwitował odbiór pojazdu i ruszyli. Za kierownicą siedział Walthamstone, Phipps natomiast rozdzielał broń.

– Bruce, tak z ciekawości... – zagadnął Phipps. – Bargerone nie dał nam zbyt wiele czasu. Co masz nadzieje znaleźć?

– Chcę zbadać miejsce, w którym schwytano stworzenia. Chciałbym oczywiście znaleźć coś, dzięki czemu kapitan uderzy się w piersi i to mocno. – Pochwycił ostrzegawcze spojrzenie swego podwładnego i spytał ostro: – Quilter, dowodziłeś ubiegłej nocy patrolem. Trochę cię zaswędziały palec na cynglu, co? Wydało ci się, że jesteś na Dzikim Zachodzie?

Quilter odwrócił się i zagapił na Głównego Odkrywcę.

– Kapitan pogratulował mi dziś rano – oświadczył krótko.

Ainson postanowił zmienić temat.

– Te bestie może nie wyglądają inteligentnie, ale człowiek wrażliwy potrafi wyczuć, że coś w sobie mają. W ogóle nie okazują paniki ani strachu.

– Równie dobrze może to być oznaka inteligencji jak... głupoty – mruknął Phipps.

– Hmm, bardzo możliwe, przypuszczam jednak... To zresztą bez różnicy... Inna sprawa, Gussie, wydaje mi się warta zbadania. Niezależnie od ewentualnej inteligencji, te stworzenia nie pasują mi do wzorca... to znaczy typologii większych zwierząt, które odkryliśmy do tej pory na innych planetach. Och, wiem, że ludzie znaleźli na razie ze dwa tuziny planet, na których w ogóle istnieje życie... Niech to diabli, odbywamy przecież podróże gwiazdne zaledwie od niecałych trzydziestu lat! Chodzi mi o to, że ustalono, iż planety o lekkiej grawitacji zamieszkują lekkie wrzecionowate istoty, zaś na ciężkich planetach żyją wielkie masywne stworzenia. Czyli że te stwory stanowią wyraźnie wyjątek od tej reguły.

– Rozumiem, co masz na myśli. Ten świat ma masę nieco większą od Marsa, a odkryte przez nas stwory zbudowane są jak nosorożce.

– I faktycznie tarzały się w błocie jak nosorożce, gdy je znaleźliśmy – wtrącił Quilter. – Czyż mogą być inteligentne?

– Kwestia otwarta, nie trzeba było jednak do nich strzelać. Pewnie są rzadkie, w przeciwnym razie zauważylibyśmy je wcześniej w innych rejonach B 12.

– Człowiek reaguje instynktownie, gdy znajdzie się oko w oko z atakującym nosorożcem – dąsał się Quilter.

– Rozumiem.

W milczeniu toczyli się przez dziką równinę. Ainson próbował sobie przypomnieć uczucie szczęścia, którego doświadczył podczas pierwszego przejazdu po powierzchni tej nietkniętej stopą ludzką planety. Lądowanie na nieznanach planetach zawsze przyprawiało go o dreszcz ekscytacji, jednak podczas tej wyprawy przyjemność odkrywania psuli mu – jak to zwykle bywa – inni ludzie. Pomyłkowo trafił na statek spółki. Życie na statkach Korpusu Kosmicznego było twardsze i prostsze. Na nieszczęście, z powodu wojny angielsko-brazylijskiej wszystkie statki Korpusu potrzebne były w Układzie Słonecznym; chwilowo nikt nie miał głowy do z gruntu pokojowych przedsięwzięć, jakimi była eksploracja nowych planet. Ainson czuł jednak, że mimo wszystko nie zasłużył sobie na takiego kapitana jak Edgar Bargerone.

„Szkoda, że Bargerone nie wystartował i nie zostawił mnie tutaj samego – pomyślał Ainson. – Jak dobrze byłoby żyć z dala od ludzi i obcować... – przypomniał sobie frazę swego ojca – ...obcować z naturą!”

Wiedział, że ludzie przylecą w końcu na B 12. A niedługo później ta planeta – podobnie jak Ziemia – będzie miała kłopoty z przeludnieniem. Badali ją pod kątem przyszłej kolonizacji. Na jej drugiej półkuli wyznaczono już lokalizacje pierwszych osiedli. Za parę lat biedni nieszczęśnicy zmuszeni przez ekonomiczną konieczność, opuszczą wszystko co jest im drogie na Ziemi i zostaną przetransportowani na B 12 (którą od tej pory zaczną określać ładnym i kuszącym kolonialnym mianem Klementyny... lub jakimś innym, równie paskudnie sentymentalnym i niewinnie brzmiącym).

A potem z całą odwagą i determinacją swojej rasy stawia czoło tej dzikiej równinie, zmieniając ją w raj drobnych farm i podmiejskich bliźniaków. Ainson pomyślał, że płodność stanowi prawdziwe przekleństwo ludzkiej rasy. Z powodu zbyt intensywnej prokreacji przepełniona Ziemia musi wyekspediować niechciane potomstwo na dziewicze planety, które wirują sobie w pustce kosmosu i czekają... Hmm, właściwie na cóż innego mogłyby czekać?

Chryste, na cóż innego?! Musiał istnieć jeszcze jakiś powód, w przeciwnym razie nadal trwalibyśmy w miłym, zielonym, niewinnym plejstocenie.

Zgorzkniałe rozważania Ainsona przerwało stwierdzenie Walthamstone'a:

– Tam jest rzeka. Dojedziemy za parę minut. Przejechali wzdłuż niskiego pokrytego żwirem brzegu, na którym rosły cierniste drzewa. Na niebie świeciło fioletoworóżowe słońce, otoczone jakby wilgotną mgiełką. W jego świetle jaskrawo migotały liście miliardów ostów, rosnących przez całą drogę do rzeki, po jej drugiej stronie i dalej, aż po horyzont. Dostrzegli przed sobą tylko jeden punkt orientacyjny: dużą tępą bryłę o dziwnym kształcie.

– Wygląda... – Phipps i Ainson odezwali się równocześnie. Popatrzyli na siebie. – ... Wygląda jak jedno z tych stworzeń.

– Bajoro, w którym je zauważyliśmy, znajduje się po drugiej stronie – rzucił Walthamstone. Skierował pojazd przez rzędy ostów, hamując w cieniu ogromnej bryły, osobliwej i kompletnie nie pasującej do otoczenia niczym prymitywna afrykańska rzeźba ułożona na półce nad kominkiem zacisznego domostwa w Aberdeen.

Cała czwórka wyskoczyła z odbezpieczonymi karabinami w dłoniach i ruszyła ku bryle.

Stanęli na skraju bajora i rozejrzeli się wokół siebie. Jednym brzegiem bajoro łączyło się z szarą wodą rzeki. Błoto sadzawki było brązowo-ziemistozielone, obficie upstrzone plamami czerwieni dookoła pięciu wielkich stworzeń zastrzelonych ubiegłej nocy. Szóste stworzenie ciężko uniosło łeb i skierowało go w kierunku ludzi.

Chmura owadów wzniosła się znad ciał, rozgniewana obecnością czterech mężczyzn. Quilter podniósł karabin, po czym zwrócił wykrzywioną twarz na Ainsona, gdyż ten chwycił go za ramię.

– Nie zabijaj go – nakazał Główny Odkrywca. – Jest ranny. Nie może nas skrzywdzić.

– Nigdy nie wiadomo, lepiej nie ryzykować. Pozwól mi go wykończyć.

– Powiedziałem: „Nie”, Quilter! Wrzucimy go na tył pojazdu i zawieziemy na statek. Lepiej zabierzmy też te martwe, będzie można zrobić sekcję i przestudiować ich anatomię. Jeśli stracimy taką okazję, ci na Ziemi nigdy nam tego nie wybaczą. Ty i Walthamstone wyniesiecie sieci ze schowków i wciągniecie ciała.

Quilter popatrzył wyzywająco na zegarek, a później na Ainsona.

– Do roboty – polecił ostro Główny Odkrywca.

Walthamstone ruszył niechętnie, by wykonać polecenie. W przeciwieństwie do Quiltera nie miał w sobie nic z buntownika. Hank wydał wargę i podążył za towarzyszem. Wyjęli sieci, poszli nad brzeg bajora i zanim zabrali się za pracę, przez chwilę wpatrywali się w częściowo zanurzone dowody ubiegłonocnej akcji. Widok rzezi złagodził wściekłość Quiltera.

– To była samoobrona, po prostu je powstrzymaliśmy! – oświadczył.

Był muskularnym młodzieńcem o schludnie przyciętych jasnych włosach. Miał w Miami kochaną starą, siwowłosą matkę, która co roku zgarniała małą fortunę w postaci alimentów.

– Tak. W przeciwnym razie one by nas dopadły – przyznał Walthamstone. – Sam zastrzeliłem dwa z nich. Chyba te dwa, które leżą teraz najbliżej nas.

– Ja również zabiłem dwa – odparł Quilter. – Wszystkie tarzały się w błocie jak nosorożce. Rany, szły na nas!

– Gdy im się przypatrzeć, to tylko paskudne brudasy. I brzydale. Brzydsze niż wszystkie stworzenia zamieszkujące Ziemię. No to się cieszymy, że daliśmy im popalić, co, Quilt?

– Albo my, albo one. Nie mieliśmy wyboru.

– Masz zupełną rację. – Walthamstone pogładził podbródek i zerknął z podziwem na przyjaciela. Musiał przyznać, że Quilter był świetnym kompanem. Powtórzył głośno jego stwierdzenie: – „Nie mieliśmy wyboru”.

– Do diabła, chciałbym wiedzieć, co w nich jest takiego niezwykłego.

– Ja też. Naprawdę je powstrzymaliśmy, prawda?

– My albo one – ponownie podsumował Quilter. Gdy ruszył przez błoto ku rannemu stworzeniu, znad ciała znowu wzniosły się owady.

Podczas ich pogawędki Bruce Ainson dotarł do bryły górującej nad sceną rzezi. Obiekt był naprawdę duży i zrobił na Głównym Odkrywcy ogromne wrażenie. Kształtem przypominał zabite stwory, wydawał się je wręcz imitować, jednak nie jego kształt zafascynował Ainsona. Bryła oddziaływała na niego w jakiś niemal estetyczny sposób. Nawet za sto lat świetlnych byłaby (nie mówcie, że piękno nie istnieje!) po prostu piękna.

Odkrywca wspiął się na ten piękny przedmiot, który straszliwie śmierdział i najwyraźniej właśnie do tego celu został przeznaczony... Już po pięciu minutach badania Ainson nie żywił nawet cienia wątpliwości: miał przed sobą... no cóż, wyglądało to jak przerośnięta torebka nasienna i w dotyku też przypominało taką torebkę nasienną, tym niemniej Główny Odkrywca miał przed sobą... nawet kapitan Bargerone mu przytaknie... Tak, miał przed sobą statek kosmiczny.

Statek kosmiczny po sufit załadowany gównem.

Rozdział trzeci

Sporo wydarzyło się na Ziemi w trakcie roku 2099. A do tego jeszcze w Kennedyville na Marsie dwudziestojednoletnia matka powiła pięcioraczki. Zespół robotów po raz pierwszy otrzymał zgodę na udział w baseballowych mistrzostwach Ameryki. Nowa Zelandia wysłała w przestrzeń kosmiczną własny statek wewnątrzukładowy, czyli wehikuł zdolny do podróży wyłącznie wewnątrz Układu Słonecznego. Hiszpańska księżniczka ochrzciła pierwszy hiszpański atomowy okręt podwodny. Doszło do dwóch jednodniowych przewrotów na Jawie, sześciu na Sumatrze i siedmiu w Ameryce Południowej. Brazylia wypowiedziała wojnę Wielkiej Brytanii. Zjednoczona Europa pokonała Rosję w piłkę nożną. Pewna japońska gwiazda telewizyjna poślubiła perskiego szacha. Złożona z walecznych Teksaszczyków ekspedycja zginęła co do jednego podczas próby przekroczenia jasnej strony Merkurego w kosmicznych egzotankowcach nowej konstrukcji. Afryka założyła pierwszą farmę wielorybów, sterowanych za pomocą fal radiowych. A mały siwy australijski matematyk nazwiskiem Buzzard wbiegł do pokoju swojej kochanki o godzinie trzeciej w majowy ranek i wrzasnął: „Mam! Odkryłem! Odkryłem loty transponentne!

W przeciągu dwóch lat w bezzałogową raketę wbudowano pierwszy doświadczalny napęd transponentny, zwany w skrócie TP. Raketę wystrzelono. Próba okazała się pomyślna, choć rakiety nigdy nie odzyskano.

Nie jest to odpowiednie miejsce dla wyjaśnienia formuły transponentencji. Drukarnia w każdym razie odmówiła umieszczenia w powieści trzech stron matematycznych symboli. Dość powiedzieć, że ulubiona sztuczka science fiction – ku konsternacji i rychłemu bankructwu wszystkich pisarzy parających się tym gatunkiem – stała się nagle jak najbardziej realna. Dzięki Buzzardowi przepaście kosmosu z przeszkód i przestrzeni nie do przebycia przemieniły się nieoczekiwanie w „drzwi” prowadzące do odległych planet. Do roku 2110 można było się dostać z Nowego Jorku na Procyon.* bardziej komfortowo i szybciej niż stulecie wcześniej zabierało dotarcie z Nowego Jorku do Paryża.

Oto, co jest tak nużące w postępie: najwyraźniej nikt nie jest zdolny opuścić raz obranej starej i posępnej krzywej wykładniczej.

Wszystkie te fakty przytaczamy dla wykazania, że chociaż w roku 2035 powrotny lot z B 12 na Ziemię zajmował niecałe dwa tygodnie, nadal pozostawało sporo czasu na pisanie listów.

Lub – jak w przypadku kapitana Bargerone’a, który ułożył telegraficzny raport do władz Admiralicji – na pisma telegraficzne przesyłane przy użyciu TP, czyli łącza transponentnego.

W pierwszym tygodniu kapitan zatelegrafował:

Pozycja TP:355073x6915(312). Nr raportu: 97747304. Przekazuję, co następuje: Rozkaz wypełniłem. Od tej pory stworzenia, które trzymamy na pokładzie znane będą jako pozaziemscy obcy (w skrócie „pooby”).

Sytuacja poobów: Dwa całe i zdrowe osobniki w ładowni nr 3. Zwłoki poddane sekcji, by poznać anatomię. Początkowo nie zdawałem sobie sprawy, że pooby są czymś więcej niż zwierzętami. Gdy Główny Odkrywca Ainson bezpośrednio wyjaśnił mi sytuację, wysłałem go wraz z grupą na miejsce ujęcia ww. Znaleźliśmy tam dowód na inteligencję poobów – statek kosmiczny nieznannej produkcji został zabezpieczony i obecnie, po przemieszczeniu ładunku, znajduje się w głównej ładowni towarowej. Jest to mały statek zdolny pomieścić zaledwie osiem poobów. Bez wątplenia statek do nich należy, na co wskazuje charakterystyczny dla nich brud i ohydny smród. Ów dowód wskazuje na fakt, że pooby także eksplorowały B12.

Wydałem Ainsonowi i jego ludziom rozkaz jak najszybszego porozumienia się z poobami. Mam nadzieję, że jeszcze przed lądowaniem zostaną pokonane bariery językowe.

Edgar Bargerone. Kapitan „Mariestopes”.

17.50 CZASU GREENWICH 06.07.2135 r.

Inne osoby na pokładzie „Mariestopes” również oddały się sztuce epistolografii.

Walthamstone pilnie pisał list do ciotki mieszkającej na odległych zachodnich przedmieściach Londynu, zwanych Windsor.

Droga Ciociu Flo,

Lecimy teraz do domu, więc niedługo znowu Cię zobaczę. Nadal doskwiera Ci reumatyzm? Mam nadzieję, że czujesz się lepiej. Co do mnie, w tej podróży nie mam choroby lokomocyjnej. Gdy statek przechodzi na napęd TP, jeśli wiesz, co to jest, człowiek czuje się przez parę godzin trochę chory. Mój kolega Quilt twierdzi, że wszystkie nasze molekuly zmieniają się na ujemne i dlatego źle się czujemy. Szybko jednak dochodzimy do siebie.

Kiedy zatrzymaliśmy się na pewnej planecie, która nie ma jeszcze nazwy, ponieważ byliśmy na niej pierwsi, Quiltowi i mnie dano okazję zapolować. Miejsce roi się od dzikich, brudnych i wielkich jak statek kosmiczny zwierząt, które żyją w bajorach. Zastrzeliliśmy ich tuziny, a potem schwytaliśmy dwa żywe osobniki, zabraliśmy na pokład starego dobrego „Mariestopes” i nazwaliśmy nososralami. Tym dwom nadaliśmy imiona Gertie i Mush. To straszne brudasy. Muszę czyścić ich klatkę, na szczęście nie gryzą. Robią za to mnóstwo prymitywnego hałasu.

Na statku jedzenie jest jak zwykle marne. Nie zatrąłem się wprawdzie, ale porcje są małe.

Uściskaj ode mnie kuzynkę Madge. Zastanawiam się, czy już zakończyła edukację. Kto wygrał w wojnie z Brazylią? My, mam nadzieję?!!!

Ufam, że masz się równie dobrze, jak ja w chwili obecnej.

Twój kochający bratanek, RODNEY.

Augustus Phipps komponował list miłosny do swojej dziewczyny, pół-Chinki, pół-Portugalki. Ponad swoją koją zawiesił jej zdjęcie, na którym wyglądała niezmiernie kusząco. Phipps często na nie zerkał podczas pisania:

Ukochana Ah Chi,

Nasz dzielny stary statek leci teraz w stronę Makau. Moje serce, jak wiesz, jest trwale skierowane (nie jest to żadna gra słów) ku temu pięknemu miejscu, gdzie spędzasz obecnie wakacje, a jednak dobrze wiedzieć, że niebawem będziemy razem nie tylko duchowo.

Ufam, że ta wyprawa przyniesie nam sławę i majątek. Wyobraź sobie, że znaleźliśmy tutaj pewne dziwne istoty, a dwa egzemplarze przywozimy na Ziemię. Kiedy pomyślę o Tobie, tak smukłej, słodkiej i nieskalanej w swoim cheongsam, zastanawiam się, po co nam na naszej planecie takie brudne i brzydkie zwierzęta... Ale cóż, trzeba służyć nauce.*

Cud nad cudami!...Te stwory zdaniem mojego szefa są podobno inteligentne i obecnie trawimy czas na próbach porozumienia się z nimi. Nie, nie śmiej się, chociaż pamiętam, że umiesz się pięknie śmiać. Och, jakże tęsknię za chwilą, gdy porozmawiam z Tobą, moja słodka i namiętna Ah Chi. Zamierzam oczywiście nie tylko rozmawiać! Musisz mi pozwolić...

Czekam, aż będziemy mogli znowu robić to wszystko Twój oddany uwielbiający podziwiający i drżący

AUGUSTUS.

Tymczasem na pokładzie dla załogi, Quilter także borykał się z problemem listownej komunikacji z pewną dziewczyną:

Witaj, Kochanie,

Właśnie teraz, gdy do Ciebie piszę, kieruję się prościutko z powrotem do Dodge City – tak szybko jak niosą mnie fale świetlne. Jadą ze mną kapitan i chłopcy, lecz pozbędę się ich, zanim wpadnę do Ciebie, na Rainbow numer 1477.

Pod maską zuchowatości Twój ukochany tak naprawdę czuje się tu w kosmosie niezbyt dobrze. Te zwane nososralami bestie, o których Ci już pisałem, to najbrudniejsze istoty, jakie kiedykolwiek widziałaś. Nie sposób o nich opowiedzieć w listach, choćby dlatego, że Ty – podobnie jak ja – zawsze szczyliłaś się nowoczesnością i przestrzeganiem higieny, natomiast te stwory pod wieloma względami zachowują się gorzej niż zwierzęta!

Mam dość Korpusu Badawczego. Po wyprawie opuszczę go i zamustruję się ponownie w Korpusie Kosmicznym. Będę latał w różne miejsca i zrobię karierę. Dowodem nasz kapitan Bargerone, który wyskoczył znikąd. Jego ojciec jest dozorcą czy kimś takim w bloku mieszkalnym w Amsterdamie. No cóż, mamy demokrację – może sam spróbuję awansować... A nuż skończę jako kapitan? Dlaczegoż by nie?

Odnoszę wrażenie, że wszyscy wokół mnie zajmują się wyłącznie pisaniem. Wierz mi, Kochanie, że gdy wrócę do domu, skupię się wyłącznie na Tobie.

Twój najukochańszy pieścioszek,

HANK.

W swojej kabinie na pokładzie B, Główny Odkrywca Bruce Ainson trzeźwo pisał do swojej żony:

Najdroższa Enid,

Jakże często modłę się, by Twoja gehenna z Aylmerem wreszcie się zakończyła. Uczyniłaś dla tego chłopca wszystko, co mogłaś, więc nie rób sobie wyrzutów. Aylmer zhańbił nasze nazwisko i Bóg jeden wie, co z drania wyrośnie. Zawsze miał plugawe nawyki, a teraz zrobił się w dodatku okropnie nieprzyzwoity.

Żałuję, że muszę przebywać tak daleko i przez tak długi czas, szczególnie teraz, gdy nasz syn powoduje Ci tyle kłopotów. Pocieszam się jednak, że w ostatecznym rozrachunku ta wyprawa się opłaci. Napotkaliśmy pewne ogromne formy życia i pod moim nadzorem dwa żywe osobniki tego gatunku przeniesiono na pokład naszego statku. Nazywamy je poobami.

Będiesz jeszcze bardziej zaskoczona, gdy Ci powiem, że te istoty, wbrew swojemu zwierzęcemu wyglądowi i prymitywnym obyczajom, wydają się wykazywać inteligencję. Co więcej, podejrzewamy, że jako rasa również odbywają podróże kosmiczne. Znaleźliśmy statek kosmiczny, który niewątpliwie jest z nimi jakoś połączony, chociaż do tej pory nie ustaliliśmy, czy faktycznie potrafią nim sterować. Usiłuję się z nimi porozumieć, ale jeszcze bez rezultatów.

Pozwól, że Ci opiszę owe pozaziemskie stwory. Załoga nazwała je nososralami i określenie to będzie obowiązywać do czasu, póki nie pojawi się lepsze. Nososrale chodzą na sześciu kończynach, z których każda kończy się bardzo sprawnymi łapami, wielkimi, lecz sześciopalczastymi. Na każdej łapie pierwszy i ostatni palec są sobie przeciwstawne, toteż można je uznać za kciuki. Nososrale są niezwykle zręczne. Gdy nie potrzebują kończyn, niczym żółwie

wycofują je i chowają w skórę, a wtedy są one ledwie widoczne.

Po ukryciu kończyn nososral jest symetryczny i ukształtowany z grubsza jak dwie przylegające do siebie ćwiartki pomarańczy: płytsza krzywizna to kręgosłup stworzenia, pełniejsza krzywizna to jego brzuch, a dwa nibyogonki to jego dwie głowy. Tak, tak, nasi jeńcy są najwyraźniej dwugłowi! Ich głowy są pozbawione szyi, chociaż potrafią się obracać prawie wokół własnej osi. W każdej głowie znajduje się para oczu – małych i ciemnych; dolne powieki unoszą się w górę, by zakryć oczy podczas snu. Poniżej oczu mieszczą się dwa otwory, które wyglądają bliźniaczo podobnie, choć jeden z nich jest gębowy, drugi natomiast odbytowy. Na ciałach poobów zauważyliśmy jeszcze kilka innych otworów. Podejrzewamy, że są to otwory oddechowe. Egzobiologowie poddali sekcji ciała, które mamy na pokładzie statku. Kiedy sporządzą raport, wiele rzeczy powinno się wyjaśnić.

Nasi jeńcy posługują się szerokim pasmem dźwięków, które sięgają od gwizdów i krzyków po chrząknięcia i cmoknięcia. Boję się, że wszystkimi otworami wnoszą wkład w tę gamę dźwięków, a niektóre z nich – jestem co do tego przekonany – wychodzą poza próg słyszalności człowieka. Jak do tej pory nie zdołaliśmy się porozumieć z żadnym z naszych okazów, lecz wszystkie dźwięki, które wydają do siebie, są automatycznie rejestrowane na taśmie. Jestem jednak pewien, że nie rozumiemy ich, ponieważ przeżyły szok z powodu pojmania, na Ziemi natomiast, gdy będzie więcej czasu i odpowiedniejsze środowisko i będziemy mogli trzymać te stworzenia w bardziej higienicznych warunkach, szybko zacniemy otrzymywać pozytywne rezultaty.

Te długie wyprawy zawsze są nużące. Kapitana unikam jak mogę. Jest prostakiem o obcesowych manierach, po szkole publicznej i Cambridge. Wolę się koncentrować na dwóch poobach. Mimo wszystkich ich nieprzyjemnych nawyków, ich zachowanie fascynuje mnie znacznie bardziej niż towarzystwo moich ziemskich pobratymców.

Porozmawiamy o nich dokładniej po moim powrocie.

Twój oddany mąż,

BRUCE.

Na dole, w głównej ładowni towarowej, bezpieczna z dala od osób piszących listy, mieszanina ludzi różnych specjalności demontowała i skrupulatnie badała statek kosmiczny poobów. Okazało się, że statek ów został zbudowany z drewna o nieznannej wytrzymałości, nieprawdopodobnej sprężystości, drewna twardego i trwałego jak stal – a jednak drewna, które w swoim wnętrzu (ponieważ statek był ukształtowany jak wielki strąk) kiełkowało bogactwem gałęzi wyglądających jak rogi. Gałęzie te porastał niepokąźny typ rośliny pasożytniczej. Do triumfów zespołu botanicznego należało odkrycie, że ów pasożyt nie jest naturalnym listowiem rogów-gałęzi, lecz obcym organizmem, który tylko na nich rośnie.

Botanicy odkryli również, że pasożyt żarłocznie i pracowicie absorbuje z powietrza dwutlenek węgla i przetwarza go w tlen, który wydziela w atmosferę. Zeskrobali kawałki pasożyta z rogów-gałęzi i spróbowali posadzić go w bardziej sprzyjających warunkach; niestety roślina obumarła. Podczas obecnej sto trzydziestej czwartej próby nadal umierała, ale botanicy nie rezygnowali – słyną przecież z uporów.

Wnętrze statku było oblepione brudem o dość bogatej konsystencji; składało się głównie z błota i odchodów. Gdyby porównać ten mały brudny, drewniany archaiczny statek z połyskującym czystością „Mariestopes”, żadna rozumna jednostka – a rozumne jednostki trafiają się nawet podczas podróży kosmicznych – nie potrafiłaby chyba uwierzyć, że oba statki zbudowano do tego samego celu. Rzeczywiście, wielu przedstawicieli załogi, a szczególnie ci dumni ze swej inteligencji, głośno się

śmiało i twierdziło, że drewniany twór poobów nie jest żadnym statkiem kosmicznym, a tylko często odwiedzanym kibelkiem.

Odkrycie napędu zdusiło dziewięćdziesiąt osiem procent chichotów. Pod błotem leżał bowiem silnik: dziwna, zniekształcona rzecz nie większa niż jeden nososral. Silnik przylegał do drewnianego kadłuba statku bez widocznych śladów spawania czy śrub i był wykonany z substancji z pozoru podobnej do porcelany. Nie posiadał żadnych ruchomych części. Gdy go wreszcie odłączono od kadłuba, specjalista od ceramiki łapczywie i z nadzieją zabrał go do laboratorium produkcyjnego.

Następne odkrycie miało postać garści wielkich orzechów, które przywierały do dwóch szczytów dachu z nieustępliwością, która opierała się najlepszym palnikom gazowym. Przynajmniej niektórzy twierdzili, że są to orzechy, gdyż pokrywające je włókniste łuski sugerowały raczej owoce palmy kokosowej. Jednak kiedy ktoś zauważył, że odchodzące od orzechów żyłki, które dotychczas uważano za wręgi wzmacniające ściany, łączą się z silnikiem, szereg „mędrców” oznajmiło, że orzechy są zbiornikami paliwowymi.

Następne znalezisko położyło na jakiś czas kres wszelkim odkryciom. Pewien robotnik zdrapujący fragmenty stwardniałego brzegu brudu znalazł pogrzebanego wewnątrz martwego pooba. Na wieść o tym odkryciu członkowie załogi zwołali pospieszne zebranie. Wielu z nich wydawało nerwowe odgłosy.

– Jak długo jeszcze mamy to znosić, koledzy? – krzyknął szeregowiec Ginger Duffield, podskoczywszy do skrzynki narzędziowej i pokazawszy wszystkim białe zęby i znacznie ciemniejsze pięści. – Lecimy na statku spółki, a nie Korpusu i nie musimy znosić podobnego traktowania. W kontrakcie nie ma ani słowa o sprzątaniu grobowców obcych czy przetrząsaniu bagien. Nie ruszę żadnych narzędzi, póki nie dostaniemy premii za pracę w brudzie i wymagam żebyście się wszyscy do mnie przyłączyli.

Jego słowa wywołały lawinę rozmaitych reakcji.

- Tak, niech spółka płaci dodatkowo!
- Kim im się zdaje, że są?
- Niech sobie sami sprzątają te śmierdzące nory!
- Większa pensja, chłopcy! Niech dorzucą pięćdziesiąt procent!
- Ale mieszasz, Duffield, ty cholerny podżegacz.
- A co mówi sierżant?

Sierżant Warrick uTORował sobie drogę wśród grupki mężczyzn i stanął przed Gingerem Duffieldem, patrząc mu twardo w oczy. Szczupły, lecz krewki Duffield nie ugiął się pod jego spojrzeniem.

– Znam takich jak ty, Duffield. Powinieneś siedzieć teraz na Głęboko Zamrożonej Planecie i pomagać twoim wygrać wojnę. Nie chcemy tu żadnych cholernych strajków. Odsuń się od tej skrzynki i wróć wraz z innymi do roboty. Trochę brudu nie zaszkodzi twoim delikatnym białym rączkom.

Szeregowiec odpowiedział mu bardzo cicho i uprzejmie:

– Nie szukam kłopotów, sierżancie, pytam tylko, dlaczego mamy tu sprzątać. Nie wiadomo, jakie niebezpieczne choróbka czają się w tym pieprzonym szambie. Chcemy premii za pracę w niebezpiecznych warunkach. Dlaczego mamy ryzykować nasze karki dla spółki? Co spółka kiedykolwiek dla nas zrobiła? – To pytanie powitał gwar aprobaty, jednak Duffield udał, że go nie słyszy. – Co spółka robi, gdy wrócimy do domu? Rany, wstawią to śmierdzące pudło z obcymi do zoo i ludzie będą przychodzić, gapić się na stwory i wdychać cały ten odór. Spółka zbije fortunę na tych wielkich brudasach, żyjących we własnym gównie. Czemu zatem nie mielibyśmy uszczknąć

małego kęsa z tego bogactwa? Idź po prostu na Pokład C, sierżancie, i sprowadź nam faceta ze związków. I nie wtykaj więcej nosa w kłopoty, dobra?

– Jesteś tylko cholernym intrygantem, Duffield. Na tym polega twój kłopot! – odparł gniewnie sierżant. Przepchnął się wśród ludzi i skierował na Pokład C. Aż do korytarza ściagały go szydercze wiwaty.

Dwie wachty później uzbrojony w wąż i szczotkę Quilter wszedł do klatki z dwoma poobami. Stworzenia wysunęły kończyny i odeszły na daleki koniec ograniczonej przestrzeni, obserwując mężczyznę z nadzieją.

– Ostatni raz u was sprzątam – oświadczył im Quilter. – Zaraz po tej wachcie dołączam do strajku, choćby dla zademonstrowania swojej solidarności z Korpusem Kosmicznym. Jeśli o mnie chodzi, później możecie sobie spać w gównie równie głębokim jak Pacyfik.

Z młodzieńczym entuzjazmem człowieka, który lubi się zabawić, skierował na bestie wąż z wodą.

Rozdział czwarty

Wydawca dziennika „Windsor Circuit” wcisnął stopą podłogowy włącznik techniwizora i groźnie popatrzył w twarz swojego głównego reportera, który pojawił się na ekranie.

– Gdzie, do diabła, jesteś, Adrian? Jedź do cholernego portu kosmicznego, jak ci kazałem. „Mariestopes” przylatuje za pół godziny.

Adrian Bucker wykrzywił lewy policzek w grymasie zniecierpliwienia i pochylił się bliżej swojego ekranu, niemal przyciskając do niego nos; ekran pokrył się parą.

– Po co te nerwy, Ralph – powiedział. – Mam lokalne tło dla tematu wyprawy. Na pewno ci się spodoba.

– Nie chcę lokalnego tła, chcę ciebie w cholernym porcie kosmicznym, i to natychmiast, mój chłopcze!

Tym razem Bucker wykrzywił prawy policzek i szybko wyjaśnił:

– Słuchaj, Ralph, jestem w Głowie Anioła. To taki pub nad Tamizą. Jest tu ze mną staruszka nazwiskiem Florence Walthamstone. Przez całe życie mieszka w Windsorze, pamięta czasy, kiedy Wielki Park naprawdę był parkiem i inne tego typu szczegóły. Kobitka ma bratanka imieniem Rodney. Ów Rodney Walthamstone jest szeregowcem na „Mariestopes”. Pokazała mi właśnie list od niego. Chłopak opisuje w nim te obce zwierzęta, które przylatują na Ziemię i pomyślałem sobie, że jeśli pokażemy fotkę babki z cytatem z listu... no wiesz... „Miejscowy młodzieniec pomaga schwytać pozaziemskie potwory”... Wyglądałoby to...

– Starczy, dość już słyszałem! Ta sprawa stanowi największą sensację dekady, a ty uważasz, że potrzebujemy lokalnego tła, żeby ją sprzedać czytelnikom?! Oddaj starej list, podziękuj serdecznie za ofertę, zapłać za jej drinki, poklep ją po drogich pomarszczonych policzkach, a potem jedź do cholernego portu kosmicznego i zrób wywiad z Bargerone’em, w przeciwnym razie żywcem cię obedrę ze skóry!

– Okej, okej, Ralph, dostaniesz taki materiał, jakiego pragniesz. Chociaż pamiętam, że kiedyś byłeś otwarty na moje sugestie. – Bucker rozłączył się i mruknął do siebie: – A mam jedną, którą w mig mógłbym przerobić na świetny materiał.

Wyszedł z kabiny i przepchał się przez tłum postawnych, ostro pijących mężczyzn i kobiet, aż dotarł do wysokiej staruszki wciśniętej w kącie baru. Kobieta podnosiła właśnie do ust szklaneczkę z ciemnobrązowym płynem, afektowanie odginając przy tym mały palec.

– Czy pański wydawca był podekscytowany? – spytała, nieznacznie prychnąwszy pitem płynem.

– Tak, niesamowicie podekscytowany... Proszę posłuchać, pani Walthamstone. Przykro mi, ale teraz muszę jechać do portu kosmicznego. Może później zrobimy z panią specjalny wywiad. Hmm... Mam pani numer, więc proszę się nie trudzić i nie dzwonić, my do pani zadzwonimy, zgoda? Tak? Bardzo mi było miło panią poznać.

Gdy Bucker pospiesznie przełykał ostatni łyk drinka, jego towarzyszka odparła:

– Och, proszę chociaż pozwolić, że zapłacę za napoje, panie...

– Bardzo pani uprzejma. Skoro pani nalega, pani Walthamstone, proszę bardzo. Zatem do zobaczenia.

Rzucił się między jedzących i pijących klientów pubu. Kobieta zawołała jego nazwisko. Obejrzał się wściekle przez tłum.

– Niech pan porozmawia z Rodneyem, jeśli go pan zobaczy. Byłby ogromnie zadowolony, gdyby z

panem pomówił. To bardzo miły chłopiec.

Przepychał się do drzwi, mamrocząc: „Przepraszam, przepraszam”. Powtarzał te słowa wiele razy, niczym przekleństwo.

W hali powitań portu kosmicznego panował straszliwy tłok. Zwykli obywatele wespół z elitą społeczeństwa kłębili się na każdym dachu i przy każdym oknie. W części odgradzonej sznurem stali przedstawiciele różnych rządów, łącznie z Ministrem do Spraw Marsjańskich oraz członkami rozmaitych służb, wśród których był dyrektor Londyńskiego EgzoZoo. Za ogrodzeniem maszerował zespół muzyczny reprezentacyjnego pułku w staroświecko jaskrawych mundurach. Grali Uwerturę do Lekkiej Kawalerii Suppe’a i wybór melodii irlandzkich. W tłumie sprzedawano lody i gazety, kieszonkowcy zgarniali tłuste łupy. „Mariestopes” prześlizgnął się przez poziom warstwowych deszczowych nimbostratusów i osiadł w odległej części lądowiska.

Zacząło padać, zespół zaś rozpoczął zwawę wykonanie dwudziestowiecznej melodii Podróż sentymentalna, która jednak nie dodawała zbytnio blasku uroczystości. Jak zwykle na tego typu imprezach, było przeraźliwie nudno, a widzowie coraz bardziej się niecierpliwili. Opryskanie całego kadłuba statku rozpylonym środkiem dezynfekcyjnym zajęło trochę czasu. W końcu włąz się odsunął i w otworze pojawiła się mała postać w kombinezonie. Otrzymała owację i znowu zniknęła. Tysiące dzieci spytało rodziców, czy był to kapitan Bargerone i odpowiedziano im, żeby nie były głupie.

Wreszcie rampa wysunęła się niczym niechętny język i opadła na ziemię. Z różnych części portu podjechały do wielkiego statku środki transportu: trzy małe autobusy, dwie ciężarówki, ambulans, pojazdy bagażowe, jeden prywatny samochód i szereg aut wojskowych. W chwilę później gromada ludzkich istot z pochylonymi głowami pospiesznie zeszła po rampie i szybko schroniła się w czekających pojazdach. Tłum wiwatował; gapie wreszcie się doczekali.

W hali powitań powietrze było aż siwe od dymu z meskali, które palili przedstawiciele prasy. Kapitana Bargerone wypchnięto właśnie ku tej grupie. Flesze rozstrzelały się jak szalone, gdy mężczyzna uśmiechnął się defensywnie do dziennikarzy.

Kapitan stanął w otoczeniu grupki swoich oficerów, po czym przemówił. Cicho i bez emocji, w bardzo angielski sposób (choć był Francuzem) opowiedział o tym, jak olbrzymi jest kosmos, jak wiele znajduje się w nim światów i jak bardzo się poświęcała cała jego załoga... z wyjątkiem nieszczęsnego strajku w drodze powrotnej, nad którym nawet nie warto się rozwodzić. Podsumował stwierdzeniem, że na bardzo przyjemnej planecie, której nazwę Klementyna USGN uprzejmie zaakceptowało, schwytali lub zabili kilka wielkich zwierząt o interesujących cechach. Niektóre z tych cech opisał dokładniej. Zwierzęta mają po dwie głowy, w każdej mieści się mózg. Oba mózgi ważą razem dwa kilogramy, czyli mniej więcej dwadzieścia pięć procent więcej od mózgu człowieka. Te zwierzęta, to znaczy pozaziemskie obce istoty lub – jak je nazwała załoga – nososrale, posiadają też sześć kończyn, zakończonych wyraźnymi odpowiednikami ludzkich dłoni. Strajk zakłócił niestety badanie tych nadzwyczajnych stworzeń, tym niemniej istnieją uzasadnione powody dla przypuszczeń, że pooby wytworzyły własny język, a zatem mimo swej brzydoty i paskudnych zwyczajów powinny być uważane za istoty prawdopodobnie inteligentne. Chociaż oczywiście nie można mieć co do tego pewności, a potwierdzenie tej hipotezy może zabrać wiele miesięcy cierpliwych analiz. Podejrzewamy jednak, iż mamy do czynienia z równie inteligentną jak człowiek formą życia, która na planecie dotąd ludzkości nieznaną wytworzyła własną cywilizację. Dwa osobniki tej pierwszej jak dotąd odkrytej w kosmosie inteligentnej rasy, co jest absolutnie historycznym przełomem, zostały przywiezione na Ziemię. Trafiają do EgzoZoo jako obiekty badań.

Kiedy Bargerone zakończył mowę, otoczyli go reporterzy.

– Twierdzi pan, że te nosorożce nie mieszkają na Klementynie?

– Mamy powody tak przypuszczać.

– Jakiego powody?

(- Kapitanie, poproszę o uśmiech dla „Subud Times”.)

– Sądzymy, że przyleciały na nią tak samo, jak my.

– Czyli że odbywają podróże kosmiczne?

– Tak, w pewnym sensie. Może jednak tylko ktoś je tam przywiózł jako zwierzęta doświadczalne albo wyładował niczym kapitan Cook świnie na Tahiti... czy gdziekolwiek to było.

(- Bardziej z profilu, kapitanie, jeśli łaska.)

– Zatem widział pan ich statek kosmiczny?

– Cóż, no tak, sądzymy, że faktycznie posiadamy w ładowni „Mariestopes”... hmm... ich statek kosmiczny.

– O rany, kapitanie, czyli rzeczywiście mamy precedens! Po co te sekrety? Przejęliście ich statek kosmiczny czy nie?

(- I z tej strony, kapitanie, proszę.)

– Myślę, że tak, że go mamy. To znaczy... ów przedmiot ma cechy statku kosmicznego, ale, hmm... naturalnie nie posiada napędu TP, chociaż ma inny interesujący napęd... i... no cóż... zabrzmiało to głupio, jednak rozumiecie... kadłub statku został wykonany z drewna. Drewna o bardzo wysokiej gęstości i niezwyklej wprost wytrzymałości. – Kapitan Bargerone przybrał obojętną minę.

– Och, nie, kapitanie, niech pan nie żartuje...

Stojący w tłumie fotografów, kamerzystów i reporterów Adrian Bucker nie widział zbyt dobrze Bargerone’a, przepchał się więc do wysokiego nerwowego mężczyzny, który towarzyszył kapitanowi, zerkając przez jedno z długich okien na tłum falujący w lekkim deszczu.

– Czy mógłby mi pan opowiedzieć, co sądzi o obcych, których przywieźliście na Ziemię? – spytał Bucker. – To zwierzęta czy istoty rozumne?

Ledwie słuchając, Bruce Ainson obrzucił badawczym spojrzeniem ludzi na zewnątrz. Wydało mu się, że mignął mu jego syn-nicpoń, Aylmer, który z typową dla siebie skruszoną miną przebijał się przez zebraną ciżbę.

– Świnie – mruknął.

– Chodzi panu o to, że wyglądają jak świnie czy też że się jak one zachowują?

Odkrywca odwrócił się i spojrzał na reportera.

– Jestem Bucker z „Windsor Circuit”, proszę pana. Moja gazeta interesuje się wszelkimi opiniami na temat tych stworzeń. Uważa je pan za zwierzęta, mam rację?

– A czym jesteśmy w pańskiej opinii my, ludzie, panie Bucker, istotami cywilizowanymi czy zwierzętami? Czy kiedykolwiek w swojej historii spotkaliśmy nową rasę i nie zepsuliśmy jej, nie zniszczyliśmy? Niech się pan przyjrzy Polinezyjczykom, Indianom Północnej czy Południowej Ameryki, mieszkańcom Tasmanii...

– Tak, proszę pana, rozumiem pański punkt widzenia, ale powiedziałby pan, że ci obcy...

– Och, posiadają inteligencję, tak jak inne ssaki. Bo są ssakami... Jednakże ich zachowanie lub też brak zachowania szczególnego typu konfunduje nas. Nie można o nich myśleć w sposób antropomorficzny. Czy posiadają etykę? Czy mają sumienie? Czy są podatne na skorumpowanie tak zwanymi dobrami cywilizacji, jak kiedyś Eskimosi i Indianie? A może na odwrót, może pooby potrafią zepsuć nas? Musimy sobie zadać szereg wnikliwych pytań, zanim dobrze zrozumiemy nososrale. Takie mam odczucia w tej kwestii.

– Bardzo interesujące. Mówi pan zatem, że powinniśmy się zdobyć na nowy sposób myślenia, czy

tak?

– Nie, nie, myślę raczej, że tego problemu nie ma sensu omawiać z przedstawicielem codziennej gazety. Powiem tylko, że człowiek pokłada zbyt wiele ufności we własny intelekt. Aby zrozumieć pooby, potrzebujemy nowego sposobu odczuwania, więcej szacunku... Jak zyskać zaufanie tej pary, skoro zarznęliśmy ich towarzyszy, a tę dwójkę uwięziliśmy? A co się stanie z nimi teraz? Będą stanowiły atrakcję EgzoZoo. Jego dyrektor, Mihaly Pasztor, jest moim starym przyjacielem. Mam nadzieję, że wysłucha moich sugestii i postąpi właściwie.

– Mój Boże, przecież ludzie chcą zobaczyć te zwierzęta! Skąd wiemy, że odczuwają podobnie jak my?

– Pańskie podejście, panie Bucker, to prawdopodobnie punkt widzenia przekłętej większości głupców. Przepraszam, muszę odbyć pewną technirozmowę.

Ainson pośpiesznie wyszedł z budynku, gdzie jednak natychmiast utknął w tłumie napierających ze wszystkich stron ludzi. Nie było szans na przebicie się przez niego. Odkrywca stanął bezradnie, czekając, aż powoli minie go ciężarówka, witana wiewatami, okrzykami i wrzaskami widzów. Dwa pooby gapiły się na ludzi przez kraty na tylnej ścianie pojazdu. Stworzenia nie wydawały żadnych dźwięków. Były duże i szare, budziły równocześnie współczucie i strach.

Nagle spojrzenie obu spoczęło na Brusie Ainsonie. Nijak nie zasugerowały, że go rozpoznają, a jednak Odkrywca niespodziewanie poczuł lęk, toteż odwrócił się i zaczął przeciskać wśród ludzi w mokrych płaszczach nieprzemakalnych.

* * *

Statek pustoszał, opróżniany z towarów. Dźwigi zagłębiały wielkie dzioby w trzewiach „Mariestopes” i podnosiły się ponownie z sieciami pełnymi kartonów, pudeł, krat i kontenerów. W otworach ściekowych roilo się od znajdujących się na statku odpadków, z wjazdu nadal wychodzili ludzie. „Mariestopes” wyglądał smutno niczym tkwiący na mieliźnie wielki wieloryb, bezsilny i wyobcowany z dala od swoich ulubionych gwiazdnych głębi.

Walthamstone i Ginger Duffield podążyli za Quilterem do jednego z tuneli wyjściowych. Hank Quilter niósł sporo ekwipunku. Za pół godziny w innym punkcie portu kosmicznego zamierzał wsiąść na pokład odrzutowca jonosferowego i udać się do Stanów Zjednoczonych. Cała trójka zatrzymała się nagle przed statkiem. Nieco zdziwieni rozglądali się i wdychali osobliwie pachnące powietrze.

– Zobaczcie, panuje tu najgorsza pogoda we wszechświecie – jęknął Walthamstone. – Powiem wam coś. Przeczekam tu tę głupią mżawkę.

– Weź taksówkę – zasugerował Duffield.

– Nie warto. Moja ciotka mieszka zaledwie pół mili stąd. Skuter mam w portowej przechowalni. Gdy przestanie padać, wsiądę na niego i jazda do domu.

– Przechowują ci tu skuter między lotami? – spytał Duffield z zainteresowaniem.

Nie chcąc dać się wciągnąć w tę typowo angielską konwersację, Quilter zarzucił wygodniej na ramieniu worek marynarski i spytał:

– Co powiecie, ludzie, na krótki wyskok do kantyny. Zanim odlecę, moglibyśmy wypić po kuflu ciepłego brytyjskiego piwa syntetycznego.

– Jasne, powinniśmy uczcić fakt, że właśnie opuściłeś Korpus Badawczy – przyznał Walthamstone. – Idziemy, Ginger?

– Podstemplowali ci książkę uposażeń i podpisali oficjalne zwolnienie ze służby? – spytał Duffield.

– Nie, wpisałem się tylko na inny typ lotów – odparł Quilter. – Wszystko jest idealnie legalne,

Duffield, drogi mędrku. Rozluźniasz się kiedykolwiek, stary?

– Znasz moje motto, Hank. Patrz uważnie i nigdy się nie myl, bo tamci w każdej możliwej chwili usiłują cię oszwabić. Znałem gościa, który przed zwolnieniem do cywila zapomniał podbić u kwatermistrza swoje 535 i szybko trafił z powrotem. Mało tego, złapali go na kolejne pięć lat. Służy teraz na Charonie i bierze udział w wojnie.

– Idziecie na to piwo czy nie?

– Chyba pójdę – odrzekł Walthamstone. – Może nigdy już cię nie zobaczymy, gdy ta ptaszyna z Dodge City cię dopadnie. Z tego, co mi powiedziałaś o tej dziewczynie, wolałbym się trzymać co najmniej na odległość mili od niej.

Powoli wyszedł w lekką mżawkę. Quilter podążył za mm, zerkając przez ramię na Duffielda.

– Idziesz, Ginger?

Duffield popatrzył przebiegle.

– Nie da rady. Póki nie dostanę zapłaty za okres strajku, trzymam się blisko statku, kolego – odpowiedział.

* * *

Odkrywca Phipps wszedł do domu. Objął swoich rodziców i powiesił płaszcz na wieszaku w korytarzu. Matka i ojciec stali za nim; wyglądali na niezadowolonych, nawet kiedy się uśmiechali. Zniszczeni życiem, z pochylonymi ramionami, jak zwykle powitali go gderliwie. Mówili po kolei, lecz były to dwa monologi, które nigdy nie tworzyły dialogu.

– Chodź do salonu, Gussie. Tam jest cieplej – zagaiła matka. – Na pewno ci zimno po opuszczeniu statku. Za sekundę przygotuję filiżankę herbaty.

– Miałem trochę kłopotów z centralnym ogrzewaniem. Prawdopodobnie nie będziemy go potrzebować teraz, w środku czerwca, chociaż jest dość zimno jak na tę porę roku. Ktoś powinien sprawdzić, co się dzieje. Nie wiem, co się z tymi ludźmi porobiło. Najwyraźniej zmieniły się obyczaje.

– Opowiedz mi o nowym doktorze, Henry. Strasznie niegrzeczny człowiek, absolutnie żadnej edukacji ani manier. I ma brudne paznokcie! Jak można oczekiwać, że pacjenci dadzą się zbadać komuś z brudnymi paznokciami?

– Oczywiście, wszystkiemu winna jest wojna. Dzięki wojnie na powierzchnię wypływają ludzie zupełnie parszywego pokroju. Brazylia nie wydaje się słabnąć, a tymczasem rząd...

– Henry, ten biedny chłopiec nie chce słyszeć o wojnie natychmiast po powrocie do domu. A zaczęto nam nawet racjonować niektóre artykuły żywnościowe! Wszyscy słuchamy tej propagandy na technii. Jakość towarów też się pogorszyła. Musiałam kupić nowy rondel w ubiegłym tygodniu...

– Usiądź sobie tutaj, Gussie. Jasne, że to wszystko przez wojnę. Nie wiem, co się z nami wszystkimi stanie. Wiadomości z Sektora 160 są strasznie przygnębiające, nie sądzisz?

– W głębokiej Galaktyce nikogo nie interesuje ta wojna – odparł Phipps. – Muszę wyznać, że wasze słowa są dla mnie w tej chwili niczym zimny prysznic.

– Nie zatraciłeś chyba patriotyzmu, jaki ci wpajałem, prawda, Gussie? – spytał ojciec.

– Co jest patriotyzmem, a co jedynie przedłużeniem egotyzmu? – odparował Phipps i z zadowoleniem dostrzegł, że ojciec momentalnie nadyma pierś, a później wypuszcza powietrze.

Pełną napięcia ciszę przerwała matka:

– Tak czy owak, mój drogi, podczas urlopu z pewnością dostrzeżesz w Anglii różnicę. Tak przy okazji, ile ci dali wolnego?

Rodzicielska paplanina niewiele interesowała Phippsa, jednak to nagłe pytanie go skrępowало.

Matka i ojciec niecierpliwie czekali na odpowiedź. Znał to duszące uczucie starości. W gruncie rzeczy nie pragnęli od niego niemal niczego poza jego obecnością i możliwością rozmowy od czasu do czasu. Chcieli jedynie, żeby był blisko nich.

– Zostanę tylko tydzień. Ta czarująca pół-Chinka, którą spotkałem podczas ostatniego urlopu, Ah Chi, spędza w tej chwili malarskie wakacje na Dalekim Wschodzie. W przyszły czwartek lecę do Makau, by się z nią spotkać.

Liczył, że poufałość się opłaci. Znał smutne potrząsanie głową ojca i to szczególne wydęcie ust matki, jakby ssła pestkę cytryny. Zanim zdolali się odezwać, wstał.

– Wybaczcie, pójdę teraz na górę rozpakować torbę.

Rozdział piąty

Pasztor, dyrektor Londyńskiego EgzoZoo, był przystojnym smukłym mężczyzną bez jednego siwego włosa na głowie mimo swoich pięćdziesięciu dwóch lat. Ten Węgier z pochodzenia jeszcze przed dwudziestym piątym rokiem życia dowodził ekspedycją badającą wody Antarktyki, w roku 2005 odleciał na asteroidę Apollo, by założyć tam Ziemską Kopułę Zoologiczną, zaś w 2114 roku napisał swego czasu najchętniej oglądaną technidramę, zatytułowaną Góra lodowa dla Ikara. Wiele lat później wziął udział w Pierwszej Ekspedycji na Charona, która sporządziła mapy tej świeżo odkrytej planety Układu Słonecznego, a następnie na niej wylądowała. Leżący trzy miliardy mil poza orbitą Plutona, Charon jest światem tak niewyobrażalnie mroźnym, że zdobył sobie przydomek Głęboko Zamrożonej Planety; ten przydomek wymyślił właśnie Pasztor.

Po tym triumfie, Sir Mihaly'ego Pasztora mianowano dyrektorem Londyńskiego EgzoZoo i pełnił to stanowisko do dziś.

A w chwili obecnej proponował drinka Bruce'owi Ainsonowi.

– Mihaly, wiesz, że nie piję – odparł z przyganą w głosie Bruce, potrząsając głową o pociągłej twarzy.

– Och, teraz jesteś sławnym człowiekiem, powinieneś wypić toast za własny sukces, tak jak my wszyscy to czynimy. Drinki są czysto syntetyczne, przecież wiesz... dealkoholizowany napój na pewno ci nie zaszkodzi.

– Znasz mnie od dawna, Mihaly. Chcę tylko dobrze wykonywać swoje obowiązki.

– Rzeczywiście, znam cię od dawna, Bruce. Pamiętam, że podobnie jak niewiele dbasz o opinie czy aplauz innych, równie mocno pragniesz aprobaty własnego superego – odparł dyrektor łagodnym tonem, podczas gdy barman mieszał dla niego koktajl o nazwie „Transponentny”. Dwaj mężczyźni znajdowali się na przyjęciu zorganizowanym w należącym do EgzoZoo hotelu. Ze ścian na krzykliwą mieszaninę jaskrawych uniformów i kwiecistych sukni spoglądały malowidła egzotycznych bestii.

– Nie potrzebuję złotych myśli z twojej studni mądrości – mruknął Ainson.

– Jasne, nie pozwolisz sobie na ten luksus, by potrzebować czegokolwiek od kogokolwiek – stwierdził Pasztor. – Od bardzo długiego czasu pragnęłam ci to powiedzieć, Bruce... chociaż jakoś nigdy dotąd nie było odpowiedniego momentu ani miejsca. Więc pozwól, że skończę, skoro już zacząłam. Jesteś człowiekiem odważnym, wykształconym, o silnej osobowości. Udowodniłeś to nie tylko światu, ale i sobie. Teraz możesz sobie pozwolić na relaks, na zwolnienie swojego strażnika. Nie tylko możesz, lecz wręcz powinieneś to zrobić, zanim będzie za późno. Człowiek musi mieć w swoim wnętrzu wolną przestrzeń, Bruce, a ty się dusisz...

– Na litość boską, stary! – krzyknął Ainson i zrobił krok w tył, na wpół zaśmiewając się, na wpół złościąc. – Przemawiasz niczym niemożliwie melodramatyczna postać w jednej z twoich młodzieńczych sztuk! Jestem, jaki jestem i nigdy nie byłem inny. Idzie Enid, więc najwyższa pora zmienić temat.

Wśród jaskrawych strojów, kostium kobry z kapturem Enid Ainson wyglądał równie promiennie jak zaćmienie słońca. Tym niemniej kobieta się uśmiechała, gdy podchodziła do męża i Pasztora.

– Cudowne przyjęcie, Mihaly. Głupio z mojej strony, że nie przyszedłam na poprzednie, ostatnim razem, gdy Bruce był na Ziemi. Masz tu przepiękną salę balową, nic tylko organizować przyjęcia.

– Staramy się weselić mimo wojny, Enid. Przyznam, że swoim przyjściem przyjemnie mnie zaskoczyłaś.

Roześmiała się, wyraźnie zadowolona, równocześnie jednak poczuła się zmuszona zaprotestować.

– Jak zawsze, Mihaly, jesteś niepoprawnym pochlebcą.

– Czy twój mąż nigdy ci nie prawi komplementów?

– No cóż, nie wiem... nie wiem, czy Bruce... to znaczy...

– Dajcie spokój z tymi głupotami – wtrącił Ainson. – Hałas tutaj wystarczy, by każdego pozbawić przytomności. Mihaly, dość mam całej tej szopki i zaskakuje mnie, że moja żona nie uważa podobnie. Wróćmy do interesów. Przyszedłem tutaj przekazać ci oficjalnie pooby i to właśnie zamierzam teraz zrobić. Możemy podyskutować o całej sprawie gdzieś w ciszy i spokoju?

Pasztor uniósł brwi, potem je opuścił, w końcu zmarszczył czoło.

– Chcesz, żebym przez ciebie uchybił obowiązkom gospodarza przyjęcia? No cóż, dobrze, przypuszczam, że skoro trzeba, możemy przejść do nowego ogrodzenia poobów. Twoje okazy już chyba do tej pory w nim umieszczono, a urzędnicy portu kosmicznego odeszli.

Ainson obrócił się do żony i położył dłoń na jej ramieniu.

– Chodź z nami, Enid. Ten gwar na pewno cię nuży.

– Nonsens, mój drogi, doskonale się bawię. – Zdjęła jego rękę ze swojego ramienia.

– Ale mogłabyś też wykazać choć niewielkie zainteresowanie stworzeniami, które tu przywieźliśmy.

– Nie mam wątpliwości, że będę o nich słuchać jeszcze przez kilka tygodni! – Popatrzyła w jego zasepioną twarz i dodała tym samym dowcipnie zrezygnowanym tonem: – No dobrze, pójdę z wami, skoro nie potrafisz spuścić mnie z oczu. Będziesz jednak musiał wrócić po mój szal, bo na dworze jest chłodno.

Ainson odszedł bez słowa. Pasztor zerknął na Enid, po czym przyniósł im po drinku.

– Mihaly, naprawdę nie wiem, czy powinnam wypić jeszcze jednego. Byłoby strasznie, gdybym się upiła!

– Niektórym się zdarza. Patrz na panią Friar, o tam. Teraz, gdy zostaliśmy sami, Enid, mam ochotę z tobą poflirtować, ale zamiast tego muszę cię spytać o twój syna, Aylmera. Co porabia? Gdzie jest?

Dostrzegł, że się zarumieniła, lecz szybko się od niego odwróciła i odparła:

– Nie, proszę cię, Mihaly, nie psuj nam tego wieczoru. Tak bardzo się cieszę, że Bruce wrócił. Wiem, że uważasz go za okropnego starego potwora, ale nie jest taki, wierz mi... nie wewnątrz...

– Więc jak się ma Aylmer?

– Jest w Londynie. Nic poza tym nie wiem.

– Jesteś dla niego zbyt surowa.

– Proszę, Mihaly!

– I Bruce jest dla niego zbyt surowy. Wiesz, że mówię to jako twój stary przyjaciel i ojciec chrzestny Aylmera.

– Aylmer zrobił coś haniebnego i jego ojciec wyrzucił go za to z domu. Nigdy nie byli w dobrych stosunkach, zdajesz sobie przecież z tego sprawę, i chociaż jest mi strasznie przykro z powodu tego chłopca, moje życie jest znacznie spokojniejsze, gdy nie muszę stawiać czoła im obu. – Podniosła głowę, spojrzała na swego rozmówcę i dodała: – I nie myśl, że zawsze idę po najmniejszej linii oporu, bo tak nie jest. Latami toczyłam z nimi prawdziwe bitwy.

– Nigdy nie widziałem bardziej znękanej twarzy od twojej. Cóż takiego zrobił Aylmer, że zasłużył sobie na karę wygnania?

– Jeśli tak bardzo chcesz wiedzieć, spytaj Bruce'a.

– Chodziło o dziewczynę?

– Tak, o dziewczynę. Ale dość o tym, bo wraca Bruce.

Kiedy Główny Odkrywca ułożył szal na ramionach żony, Mihaly wyprowadził oboje z sali bocznymi drzwiami. Przeszli wyłożony dywanami korytarz, zeszli schodami i wyszli na zewnątrz w zmierzch. W EgzoZoo panowała cisza, chociaż jeden czy dwa spóźnione londyńskie szpaki przelatywały z gniazd wśród drzew, a ze swej sadzawki z podgrzewaną wodą zauropod Rungsteda podniósł szyję i zdziwiony przyglądał się idącym ludziom. Skręcili przed Domem Ssaków Metanowych i Pasztor wprowadził swoich towarzyszy do nowego budynku, skonstruowanego według najnowocześniejszych standardów z bloków oszlifowanego plastiku i betonu wzmocnionego ołowianymi wręgami. Kiedy weszli przez boczne drzwi, automatycznie włączyły się światła.

Wzmocnione szkło oddzielało ich od dwóch poobów. Stworzenia obróciły się ku ludziom, gdy zapaliły się światła; ewidentnie ich obserwowały. Ainson niezdecydowanie im pomachał, lecz żaden z okazów nie zareagował w dostrzegalny sposób.

– Przynajmniej mają obszerne kwatery – zauważył.

– Czy publika będzie się tu kręcić przez cały dzień, przyciskając do szyby zasmarkane nosy?

– Widownia zostanie dopuszczona do tego budynku jedynie między godziną 14.30 a 16.00 – odparł Pasztor.

– Rano naszych gości będą badać eksperci.

„Goście” mieli pokąźną podwójną klatkę; dwie części rozdzielone niskimi drzwiami. Na tyłach jednego z pomieszczeń mieściło się szerokie, niskie legowisko wyściełane plastikową pianką. Pod pozostałymi ścianami stały koryta wypełnione jedzeniem i wodą. Stwory znajdowały się pośrodku klatki; zdołały już zgromadzić wokół siebie sporą ilość odchodów.

Trzy jaszczurkowate stworzonka przebiegły podłogę i rzuciły się na masywne cielska poobów, po czym wspięły się między zagięcia skóry i tam zniknęły. Ainson wskazał na nie.

– Widzisz je? Ciągłe tu są. Ogromnie przypominają jaszczurki. Chyba jest ich cztery. Trzymają się blisko pozaziemskich. Umierającemu poobowi, którego zabraliśmy na pokład „Mariestopes”, również towarzyszyła parka tych maluchów. Prawdopodobnie są to komensale albo nawet symbionty. Mój głupi kapitan dowiedział się o nich z mojego sprawozdania i chciał je pozabijać, twierdząc, że mogą być niebezpiecznymi pasożytami. Na szczęście powstrzymał go mój zdecydowany sprzeciw.

– Który kapitan? Edgar Bargerone? – spytał Pasztor. – Dzielny człowiek, choć niezbyt rozzarnięty. Podejrzewam, że nadal wyznaje geocentryczną koncepcję wszechświata.

– Chciał się porozumieć z poobami, zanim skierowaliśmy się ku Ziemi! Ten facet nie ma w związku z nimi żadnej koncepcji.

Intensywnie przypatrująca się jeńcom Enid, podniosła nagle głowę i spytała:

– A zdołacie się w ogóle z nimi porozumieć?

– Moja droga, odpowiedź na to pytanie nie jest tak prosta, jak może się wydawać laikowi. Opowiem ci o szczegółach przy innej okazji.

– Na litość boską, Bruce, nie jestem dzieckiem. Zdołacie się z nimi porozumieć czy nie?!

Główny Odkrywca wsunął ręce w kieszenie reprezentacyjnego munduru i przypatrzył się żonie. W końcu przemówił tonem wyższości niczym kaznodzieja z ambony:

– Mamy za sobą dopiero ćwierć stulecia gwiazdnej eksploracji, Enid, i narody Ziemi... wbrew faktowi, że całkowita liczba operacyjnych statków kosmicznych w danym momencie rzadko przekracza tuzin... Narody Ziemi zdołały już spenetrować i wstępnie przebadać około trzystu planet z grubsza ziemskiego typu. Na tych trzystu planetach, Enid, czasami znajdowano obdarzone czuciem formy życia, a czasami nie, nigdy wcześniej wszakże nie znaleziono istot, które miałyby mózg większy od szympaniego. Teraz jednak odkryliśmy te wielkie stworzenia na Klementynie i mamy

powody podejrzewać, że mogą one posiadać inteligencję równą ludzkiej. Główną poszlaką sugerującą taką właśnie hipotezę jest fakt, iż pooby posiadają... hmm.. pojazd zdolny do podróży międzyplanetarnych.

– Dlaczego zatem robicie z tego taką tajemnicę? – spytała żona. – Istnieją naprawdę proste testy skonstruowane dokładnie na okoliczność odnalezienia w kosmosie inteligentnego życia.. Przeprowadźcie je. Czy te istoty posiadają pismo? Czy ze sobą rozmawiają? Czy posługują się jakimś kodem? Czy potrafią powtórzyć proste czynności lub zestaw gestów? Czy reagują na podstawowe pojęcia matematyczne? Jaka jest ich postawa wobec ludzkich twórców... I oczywiście, czy tworzą własne przedmioty. Jak one...

– Tak, tak, moja droga, całkowicie podzielam twój punkt widzenia. Rzeczywiście istnieją odpowiednie na tę okazję testy. Nie siedziałem bezczynnie podczas podróży do domu. Wykonałem już ich sporo.

– No i co? Jak wyniki?

– Sprzeczne. Sprzeczne w sposób, który sugeruje, że owe testy są nieskuteczne, niewystarczające i... tak, zbyt przesiąknięte antropomorfizmem. Do takich wniosków doszedłem. Póki nie zdołamy dokładniej zdefiniować inteligencji jako takiej, w oderwaniu od ludzkiego punktu widzenia i wynikających stąd obciążeń, osiągnięcie porozumienia z naszymi gośćmi może być trudne lub nawet niemożliwe.

– Jednocześnie – uzupełnił Pasztor – trudno jest zdefiniować inteligencję, póki nie uda ci się porozumieć z tymi oto poobami.

Ainson machnął ręką w geście praktycznego mężczyzny pogardzającego sofistyką.

– Najpierw zdefiniujmy inteligencję. Czy mały pajak *argyroneta aquatica* zwany topikiem jest inteligentny, ponieważ potrafi zbudować swego rodzaju keson, dzięki któremu może żyć pod wodą? Nie. Czyli że te duże stwory mogą również nie być od niego inteligentniejsze tylko dlatego, że umieją zbudować statek kosmiczny. Z drugiej strony, może pooby są tak ogromnie inteligentne i stanowią wynik cywilizacji tak starożytnej, że całe rozumowanie, które prowadzimy w naszych świadomych umysłach, one prowadzą na poziomie dziedziczonych bądź podświadomych struktur mózgu, poświęcając jego struktury świadome refleksji na temat zagadnień, które przekraczają naszą zdolność pojmowania. Jeśli tak jest, porozumienie między naszymi gatunkami może być na zawsze wykluczone. Pamiętaj, że jeden ze słowników definiuje inteligencję po prostu jako „otrzymane informacje”. Jeśli nie otrzymamy od poobów żadnej informacji... ani nie uzyskamy dowodu, że one przyswoiły jakąś od nas... wtedy mamy prawo stwierdzić, że nasi goście nie są inteligentni.

– To wszystko jest dla mnie zbyt skomplikowane – pożałowała się Enid. – Wygląda na to, że porozumienie z nimi jest bardzo trudne, choć z twoich listów wynikało coś zupełnie przeciwnego. Twierdziłeś, że te stworzenia podeszły do ciebie i próbowały się z tobą porozumieć za pomocą serii chrząknięć i gwizdów. Pisałeś, że posiadają po sześć sprawnych rąk, że przybyły na tę... hmm... Klementynę statkiem kosmicznym. Dla mnie sytuacja była jasna. Pooby posiadają inteligencję i to nie na ograniczonym poziomie rozwiniętego zwierzęcia, lecz pozwalającą na stworzenie cywilizacji i języka. Jedyne problem to przetłumaczenie ich świstów i gwizdów na język angielski.

Ainson zwrócił się z kolei do dyrektora:

– Rozumiesz, dlaczego to nie jest takie łatwe, jakby się z pozoru wydawało, prawda, Mihaly?

– No cóż, czytałem większość twoich sprawozdań, Bruce. Wiem, że pooby są ssakami, mają podobny do naszego układ oddechowy i przewód pokarmowy, że oba ich mózgi razem są większe od naszego, że posiadają dłonie, że ich podejście do wszechświata jest bardzo podobne do naszego... Szczerze ci powiem, Bruce, wiem, że nauczenie się ich języka lub nauczenie je naszego może być

skomplikowane, lecz prawdę mówiąc uważam, że demonizujesz trudności.

– Tak sądzisz? Poczekaj, aż je poobserwujesz przez jakiś czas, a dojdiesz do zupełnie innych wniosków. Wierz mi, Mihaly, próbowałem wyobrazić sobie siebie na ich miejscu i mimo ich odrażających obyczajów, zdołałem zachować sympatię ku nim. Niestety, cały czas gnębi mnie pewne przecucie... wśród oceanu frustracji... że jeśli w ogóle są inteligentne, mają najwyraźniej zupełnie odmienny punkt widzenia na wszechświat. Naprawdę, zachowują... – Wskazał na spokojne istoty za szkłem – ...zachowują wobec mnie dystans, którego nie zdołałem dotąd przełamać.

– Zobaczmy, jak poradzą sobie z nimi językoznawcy – odrzekł Pasztor. – I Bryant Lattimore z USGN... To bardzo potężny człowiek... Sądzę, że się dogadacie... Przybywa ze Stanów jutro. Warto z nim porozmawiać. – Ostatnia uwaga raczej nie wprawiła Bruce'a Ainsona w zachwyt. Zdecydował, że ma już dość tego tematu.

– Dwudziesta druga – zauważył. – Czas, żebyśmy wraz z Enid polecieeli do domu. Wiesz, że przestrzegam regularnych godzin snu, gdy jestem na Ziemi. Bardzo nam się podobało twoje przyjęcie, Mihaly. Zobaczmy się pod koniec tygodnia.

Uścisnęli sobie ręce z powracającą serdecznością. Czując, że właściwszej chwili nie będzie, Mihaly Pasztor odważył się spytać:

– Tak przy okazji, mój przyjacielu, co Aylmer i ta dziewczyna zrobili, że się tak bardzo zdenerwowałeś i wyrzuciłeś syna z domu?

Bruce Ainson poczuł w gardle grudę, a na policzkach gorąco rozkwitającego rumieńca.

– Lepiej sam go spytaj. Może uzna za stosowne zaspokoić twoją ciekawość. Ja nieodwołalnie skreśliłem go ze swego życia – dodał z zaciętą miną. – Sami znajdziemy drogę do wyjścia.

* * *

Podmiejski wahadłowiec wzbił się w noc rozjaśnioną miriadami miejskich świateł. Wagonik poruszał się z zawrotną prędkością. Enid zamknęła oczy i żałowała, że zanim wsiadła, nie połknęła tabletki przeciwwymiotnej. Niezbyt lubiła latać.

– Stosik kredytów za twoje myśli – odezwał się jej mąż.

– Nie myślałam o niczym szczególnym, Bruce.

Po chwili ciszy Ainson podjął:

– O czym rozmawiałaś z Mihalym, gdy poszedłem po twój szal?

– Nie pamiętam. Pewnie wymienialiśmy uprzejmości. Dlaczego pytasz?

– Jak często się z nim widywałaś podczas mojej nieobecności?

Westchnęła, lecz cichy dźwięk utonął w hałasie przepływającego obok wagonika powietrza.

– Stale mnie o to pytasz, Bruce... po każdej wyprawie. Przestań być zazdrosny albo sama się zacznę nad tym wszystkim zastanawiać. Mihaly jest bardzo słodki, lecz nic dla mnie nie znaczy.

Wysoko ponad zewnętrznym Londynem podmiejski wahadłowiec pędził ku punktowi przesiadkowemu na granicy właściwego miasta. W wagoniku tej nowo skonstruowanej linii panował tak wielki tłok, że małżonkowie zrezygnowali z rozmowy, czekając, aż znajdą się na bezpośrednim pasie, którym pomkną wprost do domu. Jednakże, gdy w końcu znaleźli się w monobusie, nadal milczeli, choć obojgu ta cisza ciążyła, gdyż każde ze strachem zastanawiało się, o czym myśli drugie.

– No cóż – w końcu powiedziała Enid – cieszę się, że nareszcie odniosłeś sukces, Bruce. Musimy wydać przyjęcie. Jestem z ciebie ogromnie dumna!

Poklepał ją po dłoni i uśmiechnął się do niej wyrozumiale, niczym do dziecka.

– Obawiam się, że nie będzie czasu na przyjęcia. Teraz zaczniesz się prawdziwa praca. Będę musiał codziennie wpadać do zoo, by doradzać zespołom badawczym. Niewiele mogą zrobić beze mnie,

sama rozumiesz.

Zagapiła się przed siebie. Tak naprawdę nie była rozczarowana; powinna się była spodziewać takiej odpowiedzi. Postanowiła nie okazywać gniewu, ale spróbować potraktować go przyjaźnie, zadała więc jedno ze swoich głupich ciekawskich pytań:

– Masz zapewne wielką nadzieję, że zdołamy się nauczyć porozumiewać z tymi stworzeniami?

– Rząd wydaje się nimi interesować znacznie mniej niż sądziłem. Wiem oczywiście, że toczy się ta nieszczęsna wojna... i że mogą się pojawić sprawy o wiele ważniejsze niż bariera językowa.

Dostrzegła wymijający charakter jego wypowiedzi. Podobnej frazeologii używał zawsze, gdy nie był czegoś do końca pewien.

– Jakiego rodzaju sprawy?

Zagapił się w pędzącą noc.

– Ranny poob dzielnie walczył ze śmiercią. Gdy umierał, zrobili mu na żywca sekcję na „Mariestopes”. Wcięli się bardzo głęboko, zanim umarł. Te stworzenia posiadają fenomenalną wręcz wytrzymałość, jeśli chodzi o ból. Nie odczuwają go! Pomyśl o tym... nie odczuwają bólu. Wszystko jest w raportach, opisane w sposób precyzyjny... Nie mam ochoty zagłębiać się w szczegóły... Któregoś dnia wszakże ktoś dostrzeże militarne znaczenie tych faktów.

Znowu wyczuła, że za chwilę zapadnie trudne do przełamania milczenie. Ainson zagapił się w okno.

– Obserwowałeś sekcję tego stworzenia?

– Tak, jasne, widziałem.

Pomyślała o rozmaitych rzeczach, które robią mężczyźni, znosząc je z jawną beztroską.

– Możesz to sobie wyobrazić? – ciągnął Bruce. – Nigdy nie czuć żadnego bólu ani fizycznego, ani psychicznego...

Opadali ku centrum miasta. Melancholijne spojrzenie Odkrywcy spoczęło na ciemnościach, które skrywały dom Ainsonów.

– Cóż to byłoby za dobrodziejstwo dla rodzaju ludzkiego! – wykrzyknął.

* * *

Po wyjściu małżonków Mihaly Pasztor pozostał przed klatką obcych, pogrążając się w zadumie, choć w zasadzie nie myślał o niczym konkretnym. Lubił od czasu do czasu zatopić się w stanie bezmyślności, to go naprawdę odprężało. Po chwili zaczął kroczyć w tę i z powrotem przed klatką; dwie istoty za szybą bacznie mu się przypatrywały. Pod wpływem ich spojrzenia w pewnym momencie zwolnił, aż w końcu stanął, balansując, nieznacznie się kołysząc i przypatrując się poobom z założonymi ramionami. W końcu zwrócił się do nich:

– Moje drogie okazy, rozumiem wasze położenie i mimo iż nie spotkałem was wcześniej, domyślam się, co czujecie. Po pierwsze zdaje sobie sprawę z tego, że aż do tej pory miałyście do czynienia jedynie z ludźmi o nieco ograniczonej umysłowości. Znam astronautów, moi ogromni przyjaciele, ponieważ sam byłem astronautą i wiem, jak długie mroczne lata w przestrzeni kosmicznej hartują i kształtują niezłomny umysł. Dotąd stawiałyście czoło ludziom pozbawionym subtelnych uczuć; ludziom o mało wnikliwych umysłach; ludziom bez daru empatii, którzy łatwo nie wybaczą i nie wszystko rozumieją, ponieważ nie posiadają rozeznania w kwestii różnorodności ludzkich obyczajów, ludziom, którzy nie mają w sobie intuicji, a zatem nie potrafią odpowiednio ocenić innych. W skrócie, moje drogie, uwalane własnymi odchodami okazy, jeśli jesteście cywilizowane, tedy trzeba wam przydzielić przyzwoitego cywilizowanego człowieka. Jeśli jesteście czymś więcej niż zwierzętami, nie wątpię, że już niedługo powinniśmy się ze sobą jakoś porozumieć.

Potem będzie czas na słowa.

Jeden z poobów wysunął kończyny, postawił je, podniósł się i podszedł do szyby. Mihaly Pasztor uznał jego zachowanie za dobry omen.

Obszedł ogrodzenie i wszedł do małego przedpokoju przed klatką. Tu nacisnął guzik, aktywując część podłogi, na której stał. Fragment wjechał do klatki. Stojący przed niską barierką dyrektor wyglądał raczej jak więzień wjeżdżający do sądu w wysokiej po kolana ławie oskarżonych. Mechanizm zatrzymał się; Mihaly Pasztor i pooby stali teraz twarzą w twarz, chociaż przycisk przy prawej ręce Pasztora gwarantował, że mężczyzna w razie zagrożenia może się natychmiast wycofać.

Pooby wydały wysokie gwizdy i skuliły się obok siebie. Ich zapach, chociaż nie tak odrażający, jak można by oczekiwać, był ostry i intensywny. Mihaly zmarszczył nos.

– Oto nasz sposób myślenia – oznajmił – cywilizacja traktowana jako odległość, jaką człowiek tworzy między sobą a swoimi ekskrementami.

Jeden z poobów wyciągnął kończynę i podrapał się.

– Nie mamy na Ziemi żadnej cywilizacji, która nie byłaby oparta na jakimś rodzaju alfabecie. Nawet aborygeni szkicują swoje lęki i nadzieje na skałach. Hmm... Ale czy was trapią lęki i nadzieje?

Stworzenie przestało się drapać i schowało kończynę, po której została na jego ciele jedynie sześcioramenna plama zmarszczek.

– Nie sposób sobie wyobrazić istoty większej niż pchła, która nie miałaby lęków i nadziei bądź jakiejś równoważnej struktury opartej na bodźcach związanych z bólem. Dobre uczucia i złe uczucia: to one pchają nas przez życie, to one są naszymi doświadczeniami kontaktu z zewnętrznym światem. Jeśli jednak dobrze rozumiem raport z autopsji waszych nieżyjących przyjaciół, wy, pooby, w ogóle nie doświadczacie bólu. Jakżeż radykalnie musi to modyfikować wasz sposób pojmowania zewnętrznego świata.

W tym momencie pojawiło się jedno z jaszczurkopodobnych stworzeń. Przebiegło po plecach swego gospodarza i wsunęło mały błyszczący nosek w fałdę skóry, nieruchomiejąc i stając się niemal niewidoczne.

– A czymże właściwie jest świat zewnętrzny? Ponieważ doświadczamy go jedynie poprzez nasze zmysły, nigdy nie widzimy go praktycznie w czystej formie, znamy tylko relację: „zewnętrzny świat plus zmysły”. Czym jest ulica? Dla małego chłopca – całym światem tajemnic. Dla stratega wojskowego – serią mocnych punktów i obnażonych pozycji. Dla kochanka miejscem zamieszkania ukochanej. Dla prostytutki – miejscem pracy. Dla miejskiego historyka – serią urbanistycznych „znaków wodnych”. Dla architekta – traktatem rozciągniętym między sztuką a koniecznością. Dla malarza – przygodą perspektywy i odcieni. Dla podróżnika – miejscem, gdzie może się posilić i znaleźć ciepłe łóżko. Dla najstarszego mieszkańca – pomnikiem jego przeszłych szaleństw, nadziei i miłości. Dla kierowcy...

– Jak się zatem jawi – podjął po krótkiej pauzie – zewnętrzny świat wam i mnie, moi zagadkowi towarzysze? Może nie rzeczowniki i czasowniki sprawiają nam trudność, lecz odmienny światopogląd? Czy myślicie podobnie jak nasz Główny Odkrywca? Może musimy pojąć przynajmniej naturę waszego zewnętrznego środowiska, zanim będziemy mogli porozmawiać? Czyżby umykał mi sens, drodzy obcy? Czyżbyście wy, dwa żalosne stworzenia, byli po prostu zakładnikami? Może nigdy się z wami nie porozumiemy, lecz na pewno stanowicie świadectwo, że gdzieś... może niewiele lat świetlnych od Klementyny... leży planeta zaludniona setkami przedstawicieli waszego gatunku. Gdybyśmy tam polecieeli, gdybyśmy przyjrzeni się wam w waszym naturalnym środowisku, poznali charakter waszej egzystencji, zbadali artefakty waszej kultury...

może wtedy zrozumielibyśmy znacznie dokładniej, jak należy z wami rozmawiać. Potrzebujemy nie tylko językoznawców, ale także paru statków kosmicznych, które zbadają światy w pobliżu Klementyny. Tak, tak, muszę przedstawić ten pomysł Lattimore'owi.

Pooby nie wykonały żadnego ruchu.

– Ostrzegam was, że człowiek jest istotą bardzo wytrwałą. Jeśli zewnętrzny świat nie przychodzi do niego, on wyrusza go eksplorować. Jeśli chcecie mi coś przekazać, mówcie teraz.

Pooby zamknęły oczy.

– Straciłyście przytomność czy rozpoczęłyście modlitwę? To drugie byłoby mądrzejsze, bo jesteście teraz w rękach człowieka.

* * *

Nie tylko filozofowanie odbywało się tej pierwszej nocy po wylądowaniu na Ziemi statku „Mariestopes”. Dokonano również włamania do pewnego domu.

Rodney Waltharnstone nic nie mógł na to poradzić, jak wyjaśniła obrona, gdy sprawa weszła na wokandę. Rodney poczuł wewnętrzny przymus, całkiem obecnie częsty, kiedy co miesiąc powracały statki przetrzyskujące prawdziwe głębie wszechświata. „W tych strasznych – obrońca użył tego słowa bez hiperboli – wyprawach brali udział zupełnie przeciętni śmiertelnicy, tacy jak Rodney Waltharnstone, na których kosmos nie mógł nie wywrzeć obezwładniającego skutku. Sytuacja była dobrze znana i już dziesięć lat temu nazwaną ją Syndromem Bestara (od nazwiska sławnego psychodynamika).

W kosmosie brakuje, i to w stopniu skrajnym, wszelkich podstawowych symboli niezbędnych ludzkiemu umysłowi. Nie trzeba nawet od razu bez zastrzeżeń zgadzać się z sądem francuskiego filozofa Deutchy, iż wszechświat i umysł to dwa przeciwne bieguny całości, aby sobie uprzytomnić, że podróż kosmiczna nakłada na podróżnika wielkie napięcie i że może on wrócić na Ziemię, pragnąc za wszelką cenę normalności, którego to pragnienia nie sposób zadowolić w legalny sposób. Jeśli zaakceptujemy ten fakt, powinniśmy zmienić prawo, a nie ludzki umysł. Bo człowiek nie dla siebie, lecz dla innych leci w nieskończone gwiazdne głębie, niech zatem prawo pozwoli mu bezpiecznie wrócić na Ziemię”.

Na ostatnie słowa obrońcy zareagowano śmiechem.

„A jaki symbol – kontynuował obrońca – ma potężniejszy wpływ na ludzki umysł niż dom, symbol rodzinnego gniazda, schronienia przed wrogim światem, przed samą cywilizacją? Dlatego w omawianej sprawie włamania, nieszczęsnej i przypadkowej... choć właściciel domu otrzymał cios pałką... sąd powinien rozumieć, że oskarżony poszukiwał jedynie symbolu. Przyznał się oczywiście, że wcześniej spożył nieco napoju wyskokowego, ale Syndrom Bestara pozwala się domyślać...”.

Sędzia przychylił się do argumentów obrony, dodał jednak równocześnie, iż jest już zmęczony kosmicznymi szeregowcami, którzy powracając na Ziemię, traktują Anglię niczym dziewiczą planetę do podbicia. Trzydzieści dni za kratkami powinno uzmysłwić młodzieńcowi, jak znaczna jest różnica między tymi dwoma światami.

Sąd odroczył sprawę na czas lunchu, a zapłakaną panią Florence Walthamstone wyprowadzono z sądu do najbliższego pubu.

* * *

– Hank, kochany, tak naprawdę to chyba nie zamierzasz się przyłączyć do Korpusu Kosmicznego, co? Nie odleciś znów w przestrzeń, prawda?

– Już ci mówiłem, najdroższa, że lecę w identyczny lot jak ten w Korpusie Badawczym.

– Nigdy nie zrozumieć was, mężczyzn, choćbym żyła tysiąc lat. Co tam daleko tak bardzo cię pociąga? Co masz z tych lotów?

– Do diabła, w ten sposób zarabiam na twoje życie. To lepszy sposób niż praca biurowa, zgodzisz się? Jestem bystrym facetem, kochana, nie widzisz tego? Zdałem wszystkie niezbędne egzaminy, ale w Ameryce panuje dziś straszna konkurencja...

– Ale co z tego masz? O to pytam.

– Powiedziałem ci, mam szansę awansować na kapitana. Pozwolisz mi teraz trochę odpocząć, co?

– Nie chciałam podejmować tego tematu.

– Nie chciałaś? Rany, co ty sobie myślisz? Czasami mi się zdaje, że mówimy różnymi językami.

* * *

– Kochanie. Najdroższa! Najdroższa, nie sądzisz, że już czas wstać?

– Hmm...?

– Jest dziesiąta godzina, kochanie.

– Hmm... Wcześniej jeszcze.

– Jestem głodny.

– Śniłeś mi się, Gussie.

– O jedenastej mieliśmy wsiąść na prom do Hongkongu, pamiętasz? Zamierzałaś dziś szkicować, pamiętasz?

– Hmm. Pocałuj mnie znowu, kochany.

– Och, kochanie.

Rozdział szósty

Główny Dozorca miał rzadkie, siwe włosy, które ostatnio zaczął tak zaczesywać, by wychodziły wszędzie spod spiczastej czapki. Pasztor był jego szefem już od długiego czasu – został nim znacznie wcześniej, niż dozorca zaczął mieć kłopoty z porannym schodzeniem po schodach, jeszcze przed wyprawą do lodowatych klifów Lodowej Półki Rossa. Nazwisko dozorca również przypadkiem brzmiało Ross, Ian Edward Tinghe Ross.

Wszedł Bruce Ainson i Ross żartobliwie mu zasalutował.

– Dzień dobry, Ross – zagaił Odkrywca. – Jaką mamy dziś sytuację?

– Od samego rana zaplanowano dużą konferencję, proszę pana. Dopiero co zaczęli. Pan Mihaly oczywiście w niej uczestniczy, jest z nim trzech językoznawców: doktor Bodley Tempie wraz z dwójką asystentów, poza tym statystyk... zapomniałem jego nazwiska, mały facet z pokrytą brodawkami szyją, na pewno go pan nie przeoczy, oraz jakaś pani naukowiec, jak sądzę, poza tym ten oksfordzki filozof, Roger Wittgenbacher, nasz amerykański przyjaciel, Lattimore, pisarz Gerald Bone... hmm... i któż jeszcze?

– Dobry Boże, jest ich zatem z tuzin! Co tu robi Gerald Bone?

– To przyjaciel pana Mihaly'ego, z tego co zrozumiałem, proszę pana. Wydał mi się bardzo miłym człowiekiem. Szczerze mówiąc, wolę poważniejsze książki, więc rzadko czytam powieści, tylko czasem, gdy nie czuję się dobrze... Szczególnie, kiedy miałem zapalenie oskrzeli ubiegłej zimy, nie wiem, czy pan pamięta... Wtedy przeczytałem kilka lepszych powieści i muszę powiedzieć, że Wielu to niewiele pana Bone'a zrobiło na mnie wielkie wrażenie. Bohater przeszedł załamanie nerwowe...

– Tak, przypominam sobie fabułę tej powieści, Ross, dzięki. A jak się miewają nasze dwa pooby?

– Mówiąc całkiem otwarcie, proszę pana, przypuszczam, że umierają z nudów. I któż by je za to winił!

Kiedy Ainson wszedł do znajdującego się za klatką pozaziemskich gabinetu, rzeczywiście wtargnął w sam środek narady. Licząc głowy, które kiwały mu na powitanie, naliczył czternastu mężczyzn i jedną kobietę. Chociaż ludzie różnili się od siebie wyglądem, wszyscy mieli coś wspólnego: być może była to aura władzy.

Najokazalej prezentowała się pani Warhoon, choćby dlatego, że jako jedyna stała i przemawiała, gdy Ainson wchodził. Hilary Warhoon była tu jedyną kobietą i właśnie o niej wspomniał Główny Dozorca Ross. Mimo iż zaledwie czterdziestopięcioletnia, wsławiła się już jako czołowa kosmolektyczka. Przedstawiciele tej nowej filozoficzno-naukowej profesji próbowali oddzielić ziarna od plew w błyskawicznie rosnącym stosie faktów i teorii, które Ziemianie importowali z przestrzeni kosmicznej. Ainson popatrzył na nią z aprobatą. I pomyśleć, że wyszła za jakiegoś zasuszonego starego bankiera, którego nie mogła znieść! Miała świetną figurę i zwykle ubierała się modnie, toteż dziś również miała na sobie nowoczesny kostium z błyszczącymi wisiorami na biuście, na biodrach i na poziomie ud. Jej modelowo wręcz piękna twarz, mimo poważnej miny nie wyglądała na oblicze intelektualistki. Chociaż Ainson doskonale wiedział, że pani Warhoon potrafi pokonać w dyskusji nawet starego Wittgenbachera, zawodowego filozofa oksfordzkiego i techniwizyjnego mędrca. Właściwie... Ainson nie mógł się powstrzymać od porównywania tej kobiety ze swoją żoną... W każdej kategorii rezultat był niestety niekorzystny dla Enid. Odkrywca, ma się rozumieć, nigdy nie odważyłby się przedstawić swoich odczuć w tej kwestii żonie, biednej istocie, ani nikomu innemu, jednakże Enid naprawdę nie była zbyt rozgarnięta; powinna była wyjść za

mąż za sklepikarza z małego ruchliwego miasteczka – Banbury Diss w hrabstwie Norfolk albo East Dereham, Tak, gdzie tam...

– ...Mamy uczucie, że osiągnęliśmy w tym tygodniu postęp, mimo szeregu przeszkód, nieodłącznych w takiej sytuacji. Większość z nich wynikała... sędzę, że dyrektor wskazał to jako pierwszy... wynikała z faktu, że nie posiadamy dla tych żywych form żadnego tła, którego moglibyśmy użyć jako punktu odniesienia, – Głos pani Warhoon był przyjemnym staccato. Jej ton rozproszył myśli Ainsona i sprawił, że Odkrywca skoncentrował się na jej słowach. Gdybyż Enid choć trochę mniej spóźniła się ze śniadaniem, może dotarłby tu na czas, by usłyszeć początek mowy kosmoklektyczkii. – Wraz z moim kolegą, panem Borroughsem, przebadaliśmy pojazd kosmiczny znaleziony na Klementynie. Mimo iż nie jesteśmy wystarczająco kompetentni, aby przedstawić sprawozdanie techniczne... Nieco później otrzymacie państwo sporo technicznych raportów na jego temat z innych źródeł... Tak czy owak, oboje jesteśmy przekonani, że mamy do czynienia ze statkiem skonstruowanym jeśli nie przez schwyte żywe formy, to na pewno na ich potrzeby. Pamiętajcie, że osiem żywych form znaleziono w pobliżu pojazdu, a we wnętrzu samego pojazdu odkryto i ekshumowano ciało martwego osobnika. W pojeździe znajduje się też dziewięć koi czy też niszy, które z racji swego kształtu i rozmiaru służą prawdopodobnie jako koje. Początkowo nie potrafiliśmy ocenić ich przeznaczenia, ponieważ biegną one w kierunku, który uważamy raczej za pionowy niż poziomy i są oddzielone przez coś, co obecnie identyfikujemy jako przewody paliwowe. W tym momencie muszę wspomnieć o innym problemie, na który bezustannie się natykamy. Nie wiemy mianowicie, co stanowi materiał dowodowy, a co nim nie jest. Na przykład... Zakładamy, że badane przez nas żywe formy są zdolne odbywać podróże kosmiczne i tu pojawia się pytanie: czy podróże kosmiczne można traktować jako aprioryczny dowód wyższej inteligencji?

– Jest to – zauważył Wittgenbacher, kiwnąwszy sześć razy głową z przerażającą pewnością mechanicznej lalki – najwnikliwsze pytanie, jakie słyszałem w ostatniej dekadzie. Gdyby zostało postawione masom, otrzymalibyśmy jedną i tę samą odpowiedź... A może powinienem raczej powiedzieć, że liczne odpowiedzi ludzi przybrałyby jedną formę. I byłyby to odpowiedzi zdecydowanie twierdzące. My, siedzący tutaj, uważamy się za bardziej oświeconych i prawdopodobnie za przekonujący dowód wyższej inteligencji uznalibyśmy raczej dzieła filozofów analitycznych, gdzie logika wypływa nie bezpośrednio z emocji. Jednakże społeczeństwo... Kimże w końcu jesteśmy, by w ostatecznym rozrachunku polemizować z nimi? Zatem masy, jeśli mogę użyć kolokwializmu, wybrałyby produkt, który wymaga nie tylko użycia umysłu, lecz również rąk. Nie wątpię, że wśród takiej kategorii cywilizacyjnych wytworów statek kosmiczny jawiłby się społeczeństwu okazem najwybitniejszym.

– Ja bym się zgodził z tymi masami – oświadczył Lattimore. Siedział obok Pasztora, ssąc oprawkę okularów i z uwagą przysłuchiwał się dyskusji.

– Chętnie sam bym się do was przyłączył – zachichotał Wittgenbacher, kiwając głową w sposób jeszcze bardziej mechaniczny. – Niestety ta kwestia rodzi kolejne pytanie. Powiedzmy, że przyznamy tym formom życia cechę wyższej inteligencji, chociaż liczne zwyczaje tych stworów są dla nas tak nieestetycznie niehigieniczne. Jednakże za jakiś czas przypuszczalnie odkryjemy ich rodzimą planetę i wtedy być może sobie uświadomimy, że tę... hmm... że tę zdolność do odbywania podróży kosmicznych wytworzyło zachowanie instynktowne, tak jak umiejętność odbywania dalekich wędrówek oceanicznych u naszych arktycznych niedźwiedzi morskich. Może mnie pan poprawi, jeśli się mylę, panie Mihaly, zdaje mi się wszakże, iż *Arctocephalus ursinus*, migruje wiele tysięcy mil z Morza Beringa na południe aż do brzegów Meksyku, gdzie sam widywałem przedstawicieli tego gatunku, gdy pływałem po Zatoce Kalifornijskiej. Porównując pod tym kątem te gatunki, nie

tylko pomylimy się, przyznając naszym przyjaciółom wyższą inteligencję, ale będziemy musieli przyrzec się następnej sprawie: może i nasze podróże kosmiczne stanowią rezultat zachowania instynktowego. Tak jak – być może – niedźwiedź polarny uważa, że płynie na południe z własnej woli, tak nas pcha w kosmos jedynie instynkt?

Trzech reporterów siedzących na tyłach sali pilnie notowało, by w jutrzejszym wydaniu „Timesa” znalazły się wielkie fragmenty z konferencji, opatrzone przyciągającym nagłówkiem w rodzaju: „PODRÓŻ KOSMICZNA WZORCEM MIGRACYJNYM CZŁOWIEKA?”

Z kolei wstał Gerald Bone. Twarz powieściopisarza rozświetliła się na nową myśl niczym buzia dziecka na widok nowej zabawki.

– Rozumiem, że sugeruje pan, profesorze Wittgenbacher, iż my... iż nasza tak bardzo okrzyczana inteligencja, ten intelekt, który najwyraźniej odróżnia nas od zwierząt, iż inteligencja może w rzeczywistości nie jest niczym więcej jak tylko ślepym przymusem pchającym nas w instynktownie zdeterminowanym kierunku, nie zaś w wybranym przez nas samych?

– A dlaczegoż by nie? Mimo wszystkich naszych pretensji do sztuki i nauk nazywanych humanistycznymi, nasza rasa przynajmniej od czasu renesansu kieruje swój główny wysiłek ku bliźniaczym celom powiększania populacji i terytorialnej ekspansji. – Stary filozof w widoczny sposób coraz bardziej się rozkręcał. – Właściwie, może pan porównać naszych przywódców do królowej pszczoł, która przygotowuje swój ul do rojenia i nie ma pojęcia, dlaczego to robi. Roimy się w przestrzeń i nie wiemy, z jakiego powodu tak postępujemy. Coś po prostu nas pcha...

Na szczęście nie dane mu było dokończyć tej myśli. Lattimore jako pierwszy dał upust zdrowemu i głośnemu mruknięciu: „Nonsens”, zaś doktor Bodley Tempie i jego asystenci wydali niesmaczne prychnięcia jawnie sugerujące protest. Pozostali nagrodzili profesora mało kulturalnymi gwizdami.

– Nedorzeczna teoria... – bąknął ktoś.

– Ekonomiczne możliwości tkwiące w... – dodał inny.

– Nawet widzowie technii z trudem by zdołali...

– Przypuszczam, że kolonizacja innych planet...

– Nikt nie może tak po prostu zdegradować całego dorobku nauki...

– Proszę o ciszę! – zawołał w końcu dyrektor. Zapadło milczenie, które po chwili przerwał Gerald Bone, wykrzykując kolejne pytanie do Wittgenbachera:

– Gdzie zatem znajdziemy prawdziwą inteligencję?

– Może kiedy natkniemy się na naszych bogów – odparł Wittgenbacher, wcale nie speszony otaczającą go gorącą atmosferą.

– Teraz wysłuchamy sprawozdania lingwistycznego – przerwał ostro Pasztor.

Doktor Bodley Tempie podniósł się, postawił prawą nogę na stojącym przed nim krześle, prawy łokieć położył sobie na kolanie i pochylił się do przodu. Wyglądał na gorliwego i przejętego, zresztą nie zmienił tej pozy do końca swojej wypowiedzi. Tempie był niskim, krępyim człowieczkiem z grzywą siwych włosów i zaczepną miną. Zyskał renomę rozsądnego i twórczego uczonego i podtrzymywał tę reputację, nosząc najelegantsze oraz najbardziej ekscentryczne kamizelki spośród wszystkich pracowników Uniwersytetu Londyńskiego. Dziś miał na sobie staroświeckie, ukrywające brzuch dziełko sztuki krawieckiej zdobione przy guzikach brokatowym wzorem przepięknych motyli z gatunku mieniak tęczowiec.

– Wszyscy wiecie, na czym polega praca mojego zespołu – zaczął. Mówił z akcentem, który stulecie wcześniej Arnold Bennett rozpoznałby jako typowy dla środkowej Anglii. – Próbuje nauczyć się języka obcych, nie wiedząc, czy on w ogóle istnieje, ale jest to przecież jedyna szansa na porozumienie... Poczyniliśmy pewien postęp, jak zademonstruje państwu za moment mój kolega

Wilfred Brebner. Najpierw jednak mam kilka uwag natury ogólnej. Nasi goście, tłuste osobniki z Klementyny, nie rozumieją naszego pisma. Nie posiadają też własnego. Fakt ten nie ma oczywiście związku z ich językiem... Wszak wiele murzyńskich języków afrykańskich spisali dopiero biali misjonarze, na przykład dwa obecnie niemal nie używane języki z sudańskiej grupy językowej, efik i yoruba. Mówię wam o tym, przyjaciele, ponieważ póki nie wymyślę czegoś lepszego, traktuję te pozaziemskie obce istoty jak parę Afrykańczyków. Takie podejście może przynieść rezultaty i wydaje mi się lepsze niż traktowanie ich jak zwierzęta... Pamiętajmy, że odkrywcy Afryki początkowo uważali Murzynów za goryle... Jeśli uzyskamy dowód, iż obcy posiadają język, wtedy poszukamy dla niego wzorca z kręgu języków romańskich... Tak, raczej tak... Nawiasem mówiąc, jestem absolutnie pewien, że nasi tłusci goście mają język... Panowie z prasy, możecie zacytować moje słowa... Wystarczy, że wsłuchamy się w parskania, za pomocą których komunikują się między sobą. Zresztą, nie tylko parskają. Zarejestrowaliśmy na kasetach ich odgłosy, które następnie podzieliliśmy na pięćset różnych dźwięków. Chociaż istnieje możliwość, że wiele spośród nich to ten sam dźwięk, lecz o innej wysokości... Musicie państwo wiedzieć, że istnieją na Ziemi takie języki, jak choćby syjamski czy kantoński, które rozróżniają sześć poziomów akustycznych. A od tych stworzeń możemy oczekiwać znacznie więcej poziomów, gdyż istoty owe najwidoczniej bardzo swobodnie panują nad dźwiękowym spektrum.

– Ludzkie ucho jest głuche na wibracje o częstotliwości większej niż około dwadzieścia cztery tysiące herców na sekundę – wyjaśnił po krótkiej pauzie. – Odkryliśmy, że pozaziemscy obcy potrafią usłyszeć częstotliwość dwukrotnie większą, podobnie jak nasz ziemski nietoperz albo kot z Rungsted. Jeśli mamy się z nimi porozumieć, musimy ich skłonić do utrzymywania naszej długości fali i sprawa ta wydaje mi się obecnie podstawowym wyzwaniem. Z tego, co wiemy, może to oznaczać, że obcy muszą wynaleźć jakiś rodzaj łamanej angielszczyzny, byśmy je zrozumieli.

– Protestuję – wtrącił się, milczący do tej pory statystyk. – Sugeruje pan teraz, że jesteśmy od nich gorsi.

– Niczego podobnego nie powiedziałem. Stwierdzam jedynie, że zasięg dźwięków, którymi się posługują, jest znacznie szerszy od naszego. Teraz pan Brebner zademonstruje nam kilka prowizorycznie przez nas zidentyfikowanych fonemów.

Lekko się kołysząc, Brebner stanął obok krępego Bodleya Tempie. Asystent lingwisty miał około dwudziestu pięciu lat, szczupłą figurę, jasnoblond włosy i nosił jasnozieloną kurtkę z kapturem. Trema spowodowana wystąpieniem przed tak szacownym gremium wywołała na jego twarzy płomienny rumieniec, młodzieniec zdołał się jednakże odezwać głośno i zrozumiale:

– Sekcje przeprowadzone na martwych osobnikach powiedziały nam całkiem sporo o ich anatomii – zaczął. – Jeśli przeczytacie państwo dość przydługie sprawozdanie, odkryjecie, że nasi przyjaciele mają trzy odmienne rodzaje otworów, przez które wydają swoje charakterystyczne odgłosy. Wszystkie te odgłosy wydają się wnosić wkład do ich języka, tak w każdym razie zakładamy. Ma się rozumieć, przyjmujemy, że obcy posiadają język... A zatem, po pierwsze mają w jednej z głów usta, z którymi połączony jest organ węchu. Chociaż usta te używane są także do oddychania, głównie służą do spożywania pokarmów i wydawania dźwięków, które nazwaliśmy ustnymi. Po drugie, nasi goście mają sześć otworów oddechowych, trzy po każdej stronie ciała; każdy umieszczony jest nad jedną z sześciu kończyn. Na nasze potrzeby nazwaliśmy je nozdrzami. Są to otwory wargowe i choć nie są związane ze strunami głosowymi – jak te w ustach – nozdrza także produkują szeroki zakres dźwięków. Po trzecie, nasi przyjaciele wytwarzają mnóstwo kontrolowanych dźwięków również poprzez odbytnicę umieszczoną w drugiej głowie. Mowa pozaziemskich składa się dźwięków wydawanych przez wszystkie te otwory – bądź po kolei, bądź dwoma, bądź trzema typami, bądź

wszystkimi ośmioma otworami naraz. Rozumiecie zatem państwo, że dźwięki, które wam teraz zademonstruję jako przykłady, należą do mniej złożonych. Nagranie na taśmie całego spektrum jest oczywiście dostępne, lecz w formie trudnej jak dotąd do przekazania.

– Pierwsze słowo brzmi „nnnnorrrinK’ – oświadczył. Aby je wymówić, Wilfred Brebner wydał lekkie chrapnięcie, a później cichy pisk, przedstawiony tutaj fonetycznie jako przyrostek „ink!’. (Wszystkie drukowane formy języka obcych użyte w tej książce należy traktować jedynie jako przybliżone.) Brebner kontynuował prezentację: – „NnnorrrinK’ to wyraz, który wychwyciliśmy wielokrotnie w różnych sytuacjach. Doktor Bodley Tempie zarejestrował go ubiegłej soboty, gdy przyniósł naszym gościom świeżą kapustę. Kolejny raz usłyszeliśmy go tejże soboty, kiedy wyjąłem paczkę giętkiej gumy do żucia, odłamałem po tabliczce i dałem Temple’owi i Mike’owi. Nie słyszeliśmy dźwięku aż do wtorkowego popołudnia, kiedy to stworzenia wydały go bez kontekstu jedzenia. Główny Dozorca, Ross, wszedł wówczas do klatki, aby sprawdzić, czy czegoś nie potrzebujemy i wtedy oba stworzenia wydały ten odgłos równocześnie. Uznaliśmy zatem, że słowo może mieć wydźwięk negatywny, ponieważ obcy odmówili kapusty, a gumy, którą zapewne uznali za jedzenie, im nie zaproponowaliśmy. Można też przypuszczać, że nie przepadają za Rossern, który zakłóca im spokój, gdyż sprząta ich klatkę. Wczoraj wszakże przyniósł im wiadro rzeczno błota, które lubią i wtedy ponownie zarejestrowaliśmy dźwięk „nnnnorrrinK’. Wydali go kilkakrotnie w ciągu ledwie pięciu minut. Obecnie więc skłaniamy się ku myśli, że słowo odnosi się bardziej ogólnie do pewnych typów działalności człowieka: na przykład do noszenia czegoś... W najbliższych dniach zamierzamy nadal studiować ten dźwięk i lepiej poznać jego znaczenie. Na tym przykładzie widzicie państwo doskonale proces weryfikacji semantycznej, jakiej poddajemy każde słowo. Wiadro rzeczno błota wywołało także inny rozpoznany przez nas dźwięk. Brzmiał jak „whip-bwut-bwij? (krótki gwizd, a po nim dwa wydęcia warg). Ten sam odgłos wydawały, przyjmując od nas grejpfruty albo miskę owsianki z pokrojonym bananem... Na ten posiłek reagują z pewnym entuzjazmem... Identycznie zachowują się wieczorami, gdy z Mike’em odchodzimy. Bierzą go zatem za wyraz aprobaty. Zdaje nam się również, że zidentyfikowaliśmy dźwięk wyraźnej dezaprobaty, chociaż słyszeliśmy go tylko dwa razy. Na pewno był to odgłos dezaprobaty, gdyż jeden z dozorców przypadkiem oblał strumieniem wody z węża pysk naszemu gościowi. Przy innej okazji podsunęliśmy im mięso, raz gotowane, innym razem surowe. Jak państwo jesteście świadomi, pozaziemscy są najprawdopodobniej wegetarianami. Słowo, które do nas dotarło, brzmiało...

Brebner popatrzył przepaszająco na panią Warhoon, po czym wydał ustami coś w rodzaju serii stłumionych pierdnięć, które zakończył stęknieniem wykonanym z otwartymi ustami:

– „Bbbp-bbbp-bbbp-bbbp-aaaah „,

– To niewątpliwie brzmi jak dezaprobata – przyznał Tempie.

Zanim ucichł szmer rozbawienia, odezwał się jeden z reporterów:

– Doktorze Tempie, czy to wszystko, co do tej pory osiągnęliście?

– Ukazaliśmy państwu jedynie szkicowy fragment naszych badań...

– Ale najwyraźniej nie posiadacie jak dotąd ani jednego zidentyfikowanego bez cienia wątpliwości słowa. Może powinniście zacząć od pierwszego kroku... tak jak zacząłby każdy laik, czyli choćby od nauczenia obcych nazw naszych i ich części ciała. Mielibyście przynajmniej coś konkretnego, a nie kilka abstraktów w rodzaju: „na przykład do noszenia czegoś”.

Tempie zerknął na wspaniałe motyle zdobiące jego kamizelkę, zagryzł wargę, po czym odparł:

– Młody człowieku, dla laika tak rzeczywiście wygląda zapewne pierwszy krok. Ja jednak odpowiem temu laikowi i panu, że tego typu strategia jest możliwa tylko wówczas, gdy przeciwnik... w tym przypadku pozaziemski... jest gotów i chętny do nawiązania porozumienia. A te dwa wielkie

gnojki... przepraszam za wyrażenie, droga pani... te dwa osobniki nie wykazują najmniejszego zainteresowania komunikacją z nami.

– Dlaczego zatem nie zajmie się tym komputer?

– Wasze pytania są coraz głębsze! Do takiej pracy jak nasza potrzeba trochę rozumu. Jak cholernie dobry musiałby to być komputer? Komputer nie potrafi myśleć abstrakcyjnie ani nie odkryje dla nas różnicy między dwoma niemal identycznymi fonemami. Szczerze mówiąc, potrzebujemy tylko jednej rzeczy – czasu. Nie jest pan w stanie sobie wyobrazić... ani pański hipotetyczny laik... przytłaczających nas trudności. Głównie dlatego, że musimy myśleć w kategoriach dotychczas zupełnie człowiekowi obcych. Zadajcie sobie pytanie: czym jest język? Odpowiedź? Język to ludzka mowa. A my przecież nie badamy istniejącego obecnie czy też w przeszłości języka wytworzonego przez człowieka, lecz rekonstruujemy kompletnie nieznaną i do tego diametralnie różną od ludzkiego: mowę istot pozaziemskich.

Reporter posępnie pokiwał głową, a doktor Tempie przez chwilę ciężko dyszał, a następnie usiadł. Z kolei wstał Lattimore. Umieścił okulary na końcu nosa i założył ręce za plecy.

– Jak pan wie, doktorze, jestem tu nowy, więc proszę mi wierzyć, iż moje pytanie jest zupełnie niewinne. Jestem sceptykiem. Wiem, że zbadaliśmy dopiero trzysta planet we wszechświecie, czyli że zostało nam do odwiedzenia zapewne jeszcze kilka milionów, ale wychodzę z założenia, że trzysta to całkiem dobry materiał pogładowy. Na żadnej z nich nie znaleziono formy życia choćby w połowie tak inteligentnej jak mój kot syjamski. Podejrzewam, że człowiek jest istotą unikalną we wszechświecie.

– Mam nadzieję, że to tylko podejrzenie – mruknął Tempie.

– Chyba coś więcej. W chwili obecnej nie postawiłbym ostatniej koszuli na to, że w kosmosie istnieje jakaś inna poza nami forma inteligentnego życia. Człowiek zawsze był samotny, a zatem się tym faktem specjalnie nie zmartwi. Z drugiej strony, gdyby jakaś inteligentna, a zatem pewnikiem humanoidalna, forma życia gdzieś się jednak pojawiła, powitalibyśmy ją z ogromnym zadowoleniem jako nowego członka w naszej ziemskiej rodzinie... O ile rzecz jasna przyzwolicie by się zachowywał! Niedobrze mi się robi, gdy ktoś wmawia inteligencję tej parze przerośniętych świń, które tarzają się we własnych gównach, czego zresztą nie zrobiłaby żadna szanująca się ziemska świnia! Toż to po prostu jakieś wariactwo! Sam pan powiedział, że te świnie nie wykazują najmniejszego zainteresowania porozumieniem się z nami. Czy nie potwierdzają tym samym braku inteligencji? A kto z tej sali potrafi uczciwie przyznać, że chciałby zobaczyć te świnie we własnym domu?

Znowu wybuchła wrzawa. Wszyscy odwracali się i zawzięcie kłócili – nie tylko z Lattimore'em, lecz również pomiędzy sobą. W końcu zgiełk przerwał głos pani Warhoon:

– Żywię wiele sympatii dla pańskiego stanowiska, panie Lattimore i ogromnie się cieszę, że przyjął pan zaproszenie, przyleciał tutaj i uczestniczy w naszym spotkaniu. Jednakże muszę panu odpowiedzieć krótko i zdecydowanie, że istnieje wiele różnych form inteligencji. Na razie wiemy jedynie, że obserwacja tych stworzeń... jak nic dotąd w historii nauki... rozszerzy granice naszego myślenia i pojmowania. Jeśli zatem uznaliśmy, a mamy ku temu poważne przesłanki, iż znalezione w kosmosie istoty są inteligentne, musimy uzyskać co do tego absolutną pewność, nawet jeśli badania zajmą nam lata.

– I tu się z panią nie zgodzę, pani Warhoon – mruknął Lattimore. – Gdyby te pozaziemskie dziwolągi posiadały inteligencję, nie potrzebowałibyśmy lat, by ją dostrzec... choćby była zamaskowana jak kameleon.

– A jak pan wyjaśni obecność statku kosmicznego na Klementynie?

– Nie muszę niczego wyjaśniać! Te duże świnie powinny same to wyjaśnić. Skoro go zbudowały, dlaczego nie szkicują go, gdy daje się im ołówki i papier?

– To, że nim podróżowały, wcale nie oznacza, że osobiście go skonstruowały.

– Może pan sobie wyobrazić, że najmarniejszy i najgłupszy szeregowiec na ziemskim krążowniku trafia w łapy obcych i nie jest w stanie wyrysować szkicu swojego statku, gdyby mu podali ołówek i papier?

– A ich język, jak pan go wyjaśni? – spytał Brebner.

– Podobało mi się, jak pan naśladował ich chrząkania, panie Brebner – odparł dobroduszenie Lattimore. – Jednak szczerze powiem, że łatwiej mi się rozmawia z moim kotem niż wam z tymi dwiema świniami.

Ainson odezwał się po raz pierwszy. Mówił ostro, rozdrażniony, że zwykły intruz umniejsza jego odkrycie.

– Bardzo dobrze, panie Lattimore, ale zbyt szybko pan rezygnuje. Wiemy, że pooby mają pewne zwyczaje, które wedle naszych standardów wydają się dość nieprzyjemne. Jednakże bynajmniej nie zachowują się one wobec siebie jak zwierzęta. Dostarczają sobie towarzystwa, rozmawiają... No i istnieje ów statek kosmiczny, którego istnienia nie może pan zanegować.

– Być może ta machina rzeczywiście jest statkiem kosmicznym. Lecz jaki jest faktyczny związek między nim i świniami? Nie wiemy tego. Może stanowiły jedynie żywy inwentarz, który prawdziwi kosmiczni podróżnicy zabrali ze sobą jako pożywienie. To jedynie hipoteza, lecz wy w ogóle nie wzięliście jej pod uwagę, choć nie potraficie jej obalić, a przecież to najoczywistsze z możliwych wytłumaczenie. Wierzcie mi, że gdybym był odpowiedzialny za tę operację, głosowałbym za wotum nieufności dla kapitana „Mariestopes”, a w szczególności dla jego Głównego Odkrywcy za zaniedbanie obowiązków na miejscu lądowania.

Od tego momentu zebranych zaczęła ogarniać atmosfera pesymizmu i niepokoju. Jedyne reporterom nieco rozjaśniły się oblicza. Mihaly Pasztor pochylił się do przodu i wyjaśnił, kim jest Ainson. Lattimore’owi natychmiast zrzędała mina.

– Odkrywco Ainson, chyba jestem panu dłużny przeprosiny za to, że pana nie rozpoznałem. Gdyby pan przyszedł przed rozpoczęciem zebrania, prawdopodobnie zostalibyśmy sobie przedstawieni.

– Niestety, dziś rano moja żona...

– Ale niestety nie odwołam tego, co powiedziałem. Raport z wydarzeń na Klementynie przynosi opis żalösnej wprost amatorszczyzny. Wyznaczony na tydzień rekonesans planety przerwaliście w momencie, gdy znaleźliście te zwierzęta obok statku kosmicznego, wystrzelaliście większość z nich, zrobiliście kilka technizdjęć otoczenia i odlecieliście. A może ten statek był ekwiwalentem ciężarówka do przewożenia bydła? Może bydło tarzało się w błocie, podczas gdy dwie mile dalej w innej dolinie stał prawdziwy statek, z prawdziwymi dwunożnymi i podobnymi do nas gwiazdnymi podróżnikami... A wtedy, tak jak powiedziała pani Warhoon, wiele byśmy dali, by się z nimi porozumieć i vice versa. Tego możecie być pewni.

– Tak, tak – dodał szybko – przykro mi, panie Ainson, ale pańscy towarzysze ugrzęźli w martwym punkcie, do czego nie potrafią się nawet przyznać. Winą obarczam za to pana, ponieważ zaniedbał pan pracę w terenie.

Ainson zrobił się wręcz purpurowy. Coś upiornego działo się w tym pokoju. Odnosił wrażenie, że wszyscy są przeciwko niemu. Tak, bez dwóch zdań niemal wszyscy – wiedział o tym, nie podnosząc wzroku – z obecnych milcząco zaaprobowali słowa Lattimore’a.

– Każdy idiota potrafi być mądry po fakcie – bąknął. – Najwyraźniej zapomina pan, że mieliśmy do czynienia z absolutnym precedensem. Ja...

– Ależ zdaję sobie z tego sprawę. Wiem, że zdarzenie było bezprecedensowe i właśnie dlatego powinien pan być staranniejszy. Niech mi pan wierzy, panie Ainson, czytałem fotokopie sprawozdania z ekspedycji, przeanalizowałem, wykonane fotografie i mam wrażenie, że całą operację przeprowadzono bardziej jak wielkie polowanie na zwierzęta niż oficjalną ekspedycję ufundowaną z publicznych pieniędzy.

– Nie ponoszę odpowiedzialności za zastrzelenie sześciu poobów. Natknął się na nie patrol, wracający późno na statek. Chcieli się przyjrzeć obcym, ci ich zaatakowali, więc zastrzelili je w obronie własnej. Powinien pan ponownie przeczytać raporty.

– Te świny bynajmniej nie wyglądają na niebezpieczne. Nie wierzę, że zaatakowały patrol, myślę raczej, że próbowały uciec.

Ainson rozejrzał się wokół po pomoc.

– Odwołuję się do pani, pani Warhoon. Czy rozsądne jest próbować zgadnąć, jak ci obcy reagują na wolności, wnosząc po apatycznym zachowaniu w niewoli?

Na nieszczęście, w pani Warhoon właśnie przed chwilą zrodził się podziw dla Bryanta Lattimore'a. Lubiła silnych mężczyzn.

– A posiadamy jakieś inne przesłanki do oceny ich typowych reakcji na bodźce zewnętrzne? – odparowała.

– Ma pani raporty, a w nich pełną relację ze zdarzeń.

Lattimore wrócił do ataku.

– W tych sprawozdaniach, panie Ainson, mamy jedynie streszczenie tego, co opowiedział panu przywódca patrolu. Jest on dla pana człowiekiem godnym zaufania?

– Godnym zaufania? Tak, z pewnością wystarczająco godnym zaufania. W tym kraju, panie Lattimore, toczy się wojna i nie zawsze możemy wybrać ludzi, jakich chcemy.

– Rozumiem. Jak się nazywał ten człowiek?

„No właśnie, jak się nazywał?” Młody, muskularny, raczej ponury. Nie był złym facetem. Horton? Halter? W spokojniejszej atmosferze Odkrywca od razu by sobie przypomniał. Panując nad głosem, powiedział:

– Znajdziecie jego nazwisko w raporcie.

– W porządku, w porządku, panie Ainson. Oczywiście przywiózł pan kilka odpowiedzi, sędzę wszakże, iż powinien pan uzyskać ich więcej. Chyba pan rozumie, że interesuje nas pańska osoba, nieprawdaż? Jest pan Głównym Odkrywcą i został wyszkolony, by sobie poradzić z taką sytuacją. Powiedziałbym, że przedstawiając nieodpowiednie bądź nawet sprzeczne dane, ogromnie utrudnia nam pan pracę.

Lattimore usiadł, Ainson nadal stał.

– Natura danych istotnie może się wydawać sprzeczna – przyznał Odkrywca. – Wasza praca polega na znalezieniu w tych danych sensu, nie zaś na odrzucaniu ich hurtem. Jeśli macie zastrzeżenia do działań operacyjnych, proszę je adresować do kapitana Bargerone'a. To on był odpowiedzialny za całą misję, nie ja. Ach, facet dowodzący patrolom nazywał się Quilter. Właśnie sobie przypomniałem...

Gerald Bone odezwał się, nie wstając:

– Jak pan wie, panie Ainson, jestem powieściopisarzem. Może w tym wybitnym towarzystwie powinienem powiedzieć: „tylko pisarzem”. Jednak martwi mnie pewna rzecz w związku z pańskim udziałem w tej sprawie. Pan Lattimore twierdzi, że powinien być pan przywieźć z Klementyny większą ilość odpowiedzi. Jednakże możliwe, że wrócił pan stamtąd również z pewnymi założeniami, które – ponieważ wyszły od pana – zostały przyjęte wszędzie i jednogłośnie jako

bezsportny fakt. – Ainson z suchymi ustami oczekiwał na to, co się za chwilę zdarzy. Znow miał świadomość, że wszyscy słuchają z czymś w rodzaju drapieźnej gorliwości. – Wiemy, że te pooby znaleziono nad rzeką na Klementynie. Wszyscy chyba akceptują też stwierdzenie, że Klementyna nie była rodzimą planetą tych stworzeń. O ile wiem, myśl ta wyszła od pana. Zgadza się?

Odkrywca przyjął to pytanie z ulgą. Łatwo potrafił na nie odpowiedzieć.

– Rzeczywiście myśl ta wyszła ode mnie, panie Bone, chociaż był to raczej wniosek niż hipoteza. Mogę prosto wytłumaczyć, skąd ów wniosek się wziął, nawet laikowi. Pooby związane były ze statkiem i nie może być co do tego najmniejszych wątpliwości. Ich wydaliniami było oblepione całe wnętrze statku... Obliczyliśmy, że składowały w nim swoje odchody najmniej przez trzydzieści dni. Poza tym, dodatkowym dowodem jest fakt, że statek został bezspornie zbudowany na podobieństwo pozaziemskich obcych.

– Można by tę tezę bez trudu zakwestionować: kształt „Mariestopes” przywodzi na myśl delfina, ale nic nie mówi o wyglądzie inżynierów, którzy go zaprojektowali.

– Niech pan będzie uprzejmy i pozwoli mi dokończyć. Na B 12... czyli na Klementynie, jak ta planeta się teraz nazywa... nie znaleźliśmy śladów żadnych innych ssaków. W ogóle nie znaleźliśmy tam żadnych zwierzęcych form większych niż dwucalowe bezogoniaste jaszczurki... ani żadnych insektów większych od pszczoł. W przeciągu tygodnia, dokonując stratosferycznej obserwacji za dnia i w nocy, obejrzelismy tę planetę dość dokładnie od bieguna aż po równik. Poza prarybami w morzach, nie odkryliśmy na Klementynie żadnego życia zwierzęcego wartego wzmianki... poza tymi dużymi poobami, ważącymi około siedmiuset ziemskich kilogramów każdy. W dodatku, znajdowały się one w zwartej grupie przy statku kosmicznym. Jawnym absurdem byłoby przypuszczenie, że Klementyna jest ich rodzimą planetą.

– Znaleźliście je na brzegu rzeki. Może są zwierzętami wodnymi, które spędzają większość czasu w morzu i dotarły w pobliże statku przypadkiem?

Główny Odkrywca z wrażenia otworzył i zamknął usta.

– Mihaly, podnosimy w tej dyskusji kwestie, na które nie sposób odpowiedzieć laikowi... Chcę powiedzieć, że nie widzę celu...

– Absolutnie się zgadzam – przyznał Pasztor. – Uważam jednak podejście Geralda za interesujące. Bruce, potrafisz stanowczo wykluczyć możliwość, że te stworzenia są wodne?

– Jak powiedziałem, przybyły tam na statku kosmicznym i w żaden sposób nie można tego podważyć. Masz na to moje słowo, słowo człowieka, który był na miejscu. – Mówiąc to, wojowniczo przemyczał spojrzeniem po grupie. Gdy zatrzymał wzrok na Lattimorze, ten się odezwał:

– Powiedziałbym, że faktycznie mają kształt zwierzęcia morskiego... Mówię oczywiście z punktu widzenia laika.

– Niewykluczone, że na rodzimej planecie są zwierzętami wodnymi, nie ma to wszakże żadnego związku z ich pobytom na Klementynie – odparł Ainson. – Cokolwiek pan powie, ich pojazd jest statkiem kosmicznym, a zatem mamy do czynienia z rasą inteligentną.

W tym momencie z pomocą Głównemu Odkrywcy przyszedł Mihaly Pasztor, żądając następnego raportu, tym niemniej było jasne, że Bruce'owi Ainsonowi nikt nie udzieli wotum zaufania.

Rozdział siódmy

Słońce, jak niezmiennie miało w zwyczaju, poszło spać o zachodzie. W tym samym czasie Mihaly Pasztor założył smoking i ruszył na spotkanie gościowi, którego zaprosił na kolację do swojego mieszkania.

Było to miesiąc po ponurym spotkaniu w zoo, gdy Bruce Ainson otrzymał intelektualny ekwiwalent prztyczka w ucho.

Nie można powiedzieć, by od tamtej pory sytuacja się poprawiła. Doktor Bodley Tempie zgromadził wprawdzie imponujący zasób obcych fonemów, niestety dla żadnego z nich nie znaleziono zdecydowanego angielskiego odpowiednika. Lattimore zawzięcie publikował opinie, które wypowiadał na zebraniu. Gerald Bone – zdradziecko, jak uważał Pasztor – napisał małą złośliwą satyrę na temat spotkania i wydrukował ją w „Punchu”.

Te drobne problemy jednoznacznie sugerowały trudną do u krycia prawdę: naukowcy nie osiągnęli żadnego postępu. A nie osiągnęli go głównie dlatego, że pozaziemskie istoty, uwięzione w swej higienicznej celi, nie wykazywały najmniejszego zainteresowania ludźmi i wyraźnie nie miały ochoty na wykonywanie wymyślanych dla nich przez ludzi zadań. Ich niechętna i obojętna postawa źle wpływała na zespół badawczy. Zniecierpliwienie naukowców rosło, objawiając się czasem przepełnionymi żalem przemowami, błaganiami i tłumaczeniami.

Spółeczeństwo reagowało wrogo na emocjonalną oziębłość pozaziemskich. Inteligentny człowiek z ulicy potrafiłby zapewne docenić jawnie rozumnych mieszkańców kosmosu, niezależnie od ich kształtów: stanowiliby frapujący temat rozmów, pozwalający zapomnieć o niemiłych wiadomościach z Charona, gdzie Brazylia ewidentnie zwyciężała Anglię w wojnie, czy o rosnących gwałtownie podatkach, naturalnie spowodowanych zarówno wojną, jak i podróżami TP. Stopniowo kolejki, które początkowo stały od wczesnego rana, by dopiero po południu zobaczyć przedstawicieli obcej rasy, znacząco się zmniejszyły (w końcu stworzenia te nie ruszały się zbyt wiele, wyglądem nie bardzo się różniły od ziemskich hipopotamów, a w dodatku nie wolno było w nie rzucać orzeszkami na wypadek, gdyby się okazało, że na rodzimej planecie rzeczywiście mieszkają w miastach pełnych drapaczy chmur) i ludzie zrezygnowali z odwiedzania klatki z robiącymi pod siebie prymitywami na korzyść obserwacji innych zwierząt, szczególnie tych, które często uprawiały seks.

Pasztor przypadkiem też myślał o seksie, wpuszczając do skromnej kuchni swego gościa – panią Hilary Warhoon. Otworzył jej z uśmiechem. Przez dobre pół godziny przed jej przyjściem oddawał się fantazjom związanym z jej osobą. Wiedział jednak, że niczego nie osiągnie. Hilary nie była właściwie aż tak czarująca, zaś jej małżonek, pan Warhoon, miał reputację człowieka bardzo potężnego i złośliwego. Zresztą, Mihaly’emu Pasztorowi brakowało już młodzieńczego entuzjazmu, koniecznego do rozpoczęcia tego typu „zakazanego” romansu – nawet jeśli słówko „zakazany” należało do najbardziej kuszących dla Anglika wyrazów.

Kobieta usiadła przy stole i westchnęła.

– Cudownie się wreszcie rozluźnić. Miałam podły dzień.

– Pracowity?

– No tak, nawet strasznie, tyle że w zasadzie cały wysiłek poszedł na marne... Deprymuje mnie to stałe poczucie niepowodzenia.

– Ciebie, Hilary? Przecież ty nawet nie znasz słowa „niepowodzenie”.

– Powiedziałam to raczej w sensie ogólnym niż osobistym. Chcesz, żebym zagłębiała się w

szczegóły? Mogę się zagłębić...

Podniósł ręce w figlarnym proteście.

– Cywilizowana rozmowa nie polega dla mnie na tłumieniu czegośkolwiek, lecz na zachęcaniu. Zawsze interesowało mnie to, co masz do powiedzenia.

Przed nimi stały trzy okrągłe stołowe piekarniki. Gdy pani Warhoon zaczęła mówić, Pasztor otworzył szuflady lodówki po swojej prawej stronie i zaczął przekładać ich zawartość do piekarników. Zamierzał przyrządzić na początek łososia z Jeziora Genewskiego, Fera de Travers, potem steki z antylopy eland, które przyleciały rano z farmy w Kenii, na koniec zaś chciał podać domieszkę egzotyki, czyli szparagi z Wenus.

– Kiedy mówię, że mnie deprymuje to stałe poczucie niepowodzenia – odezwała się Hilary, popijając wytrawne sherry – jestem w pełni świadoma, że brzmi to dość pretensjonalnie. „Kimże jestem wśród tak wielu?”, jak kiedyś powiedział w innym kontekście Shaw. Chodzi o stary problem związany z definicjami, który dzięki pozaziemskim obcym jawi nam się w nowym, dramatycznym wcieleniu. Być może nie zdołamy się z nimi porozumieć, póki nie zadecydujemy, co właściwie tworzy cywilizację. Nie marszcz brwi, Mihaly. Wiem, że cywilizacja to nie leniwe leżenie we własnych odchodach... chociaż możliwe, że jakiś guru nie przyznałby mi racji. Kiedy potraktujesz osobno którąkolwiek z cech wspólnie tworzących naszą cywilizację, okazuje się, że nie występuje ona u niektórych kultur. Weźmy kwestię zbrodni. Od ponad stulecia uważamy morderstwo za symptom choroby lub sublimowany akt agresji wynikający z braku szczęścia. Odkąd zaczęliśmy je tak traktować, ilość przestępstw wyraźnie spadła. Jednak w wielu okresach naszej historii, mimo niewątpliwie wysokiego poziomu cywilizacyjnego, dożycie było na porządku dziennym, a głowy spadały równie szybko jak jesienne liście. Wiemy też niezawodnie, że solidarność z najsłabszymi, zrozumienie bliźniego czy litość są oznakami cywilizacji, zaś wojna i morderstwo oznaczają jej brak. A jednak wszystkie te cechy i czyny – podobnie zresztą jak sztukę, którą słusznie cenimy – możemy już zauważyć u człowieka prehistorycznego.

– Twoja tyrada przypomina mi dyskusje z czasów studenckich – oświadczył Mihaly Pasztor, podając na stół łososia. – A jednak niektórzy z nas nadal osobiście przyrządzają jedzenie i zgodnie z zasadami kultury jedzą, używając misternie zdobionych sztucców, zamiast produktów technologicznej taśmy. – Dolał wina. – Ciągłe preferujemy dobre roczniki trunków i sprawdzamy w oparciu o nie nasze opinie i uprzedzenia. – Podsunął swej towarzyszce koszyk pełen ciepłych, świeżych bułek. – Wciąż siadamy razem, mężczyzna z kobietą, i po prostu gawędzimy.

– Nie zaprzeczam, Mihaly, że wspaniale gotujesz ani że jak dotąd nie rzuciłeś się na mnie. Jednakże ten posiłek... i nie traktuj moich słów jako zarzut... jest obecnie anachronizmem, w dodatku zdecydowanie nie pochwalanym przez rząd, który propaguje nowe, wolne od trucizn syntetyczne jedzenie i napoje. Poza tym, ta uroczą kolacja jest produktem końcowym szeregu czynników, które niewiele mają wspólnego z prawdziwą kulturą. Mówię o rybakach stojących godzinami w wodzie w wysokich kaloszach, o farmerach pocących się na pastwiskach, o haczyku w pyszczku ryby, o strzale w głowę antylopy, o łańcuchu pośredników gorszych od farmerów czy rybaków, o fabrykach preparujących mięso, puszkujących czy pakujących, o firmach transportowych, o finansistach... Och, Mihaly, śmiejesz się ze mnie!

– No bo opowiadasz o całej tej organizacji z tak ogromną dezaprobatą. Ja ją pochwalam. Vive l'organisation! A przypomnę ci, że te nowe syntetyczne warzywa, które spożywamy, także są triumfem organizacji. W ubiegłych stuleciach rzeczywiście nie aprobowano wojny, a jednak wybuchły trzy wielkie, światowe wojny – w roku 1914, 1939 i 2069. My z następnego wieku zdołaliśmy się natomiast zorganizować i przenieśliśmy wojnę na Charona, najdalszą z planet, dzięki

czemu nie cierpią w jej wyniku cywile. Jeśli nie mamy do czynienia z cywilizacją, to na pewno z pożądanym substytutem.

– Może i tak. Może to tylko substytut, ludzki substytut. Zauważ, że wszystko robimy kosztem kogoś albo czegoś.

– Z wdzięcznością przyjmuję ich ofiarę. Jaki chcesz stek, Hilary?

– Och, poproszę nieco przesmażony. Nie potrafię znieść myśli o jedzeniu prawdziwej, krwistej tkanki zwierzęcej... Usiłuję tylko powiedzieć, że może budujemy cywilizację nie na najlepszych, lecz na najgorszych cechach: na strachu... jeśli nie naszym, to innych... bądź na zachłanności. Dolać ci wina? Może inny gatunek kulturuje w sobie inne pojęcie cywilizacji, może buduje ją na wzajemnym zrozumieniu, na empatii wobec wszystkich żywych istot. Może te pozaziemskie...

Pasztor nacisnął guzik w podstawie piekarnika; wysunęła się porcelanowo-szklana półkula, a w niej steki. „Ach, znowu ci obcy! – przemknęło przez myśl mężczyźnie. – Pani Warhoon najwyraźniej nie jest dziś wieczorem w formie”. Wyjął dwa gorące talerze ze zmywarki i obsłużył kobietę z ponurą miną, nie słuchając, co mówiła. Nazwał ją w myślach przemądrzałą egocentryczką. Zresztą, niewiele więcej można się było spodziewać po ludziach. Altruistów udają zazwyczaj tylko chorzy lub łajdacy. Chociaż... może takie osoby jak Hilary Warhoon, osoby tak bardzo skupione na sobie, też były chore i powinno się je zachęcać do poddania się terapii psychiatrycznej, tak jak przestępców i szalonych fanatyków. Kiedy zaczynasz kwestionować podstawy, takie jak prawo człowieka do jedzenia dobrego czerwonego mięsa, skoro może on sobie na nie pozwolić... wtedy chyba wpadasz w kłopoty, nawet jeżeli pojmujesz te kłopoty jako oświecenie.

– Wedle standardów innych gatunków – ciągnęła pani Warhoon – nasza kultura może wyglądać na chorą. I może właśnie przez tę chorobę nie potrafimy dostrzec sposobu na porozumienie się z obcymi. Może problem tkwi w nas, nie w nich.

– Interesująca teoria, Hilary. Przypuszczalnie wkrótce otrzymasz szansę sprawdzenia jej w praktyce i na wielką skalę.

– Och, doprawdy? Nie sugerujesz chyba, że jakiś kolejny statek znalazł innych przedstawicieli gatunku obcych we wszechświecie, prawda?

– Nie, aż tyle szczęścia nie mieliśmy. Wczoraj rano otrzymałem za to długi list od Lattimore'a i częściowo dlatego zaprosiłem cię dziś wieczór. Jak wiesz, Amerykanie są bardzo zainteresowani naszymi poobami. Od miesiąca regularnie przylatują całe grupy do EgzoZoo. Podejrzewają, a ja jestem wręcz pewien, że to Lattimore ich do tego przekonał... że nasze badania mogłyby być skuteczniejsze. Tak czy owak, Lattimore napisał mi, że nowy gwiazdny statek badawczy Amerykanów, „Gansas”, wybiera się w przestrzeń, chociaż jeszcze nie mówi się o tym oficjalnie. Odroczono jego lot do Mgławicy Raka, zamiast tego skieruje się na Klementynę i w jej okolicach poszuka rodzinnej planety naszych pozaziemskich.

Hilary odłożyła nóż i widelec, podniosła brwi i spytała:

– Co takiego?

– Lattimore bierze udział w tym locie jako doradca. Wywarłaś na nim naprawdę spore wrażenie i ma szczerą nadzieję, że polecisz z nim jako główny kosmokleptyk. Prosił, bym się wstawił za nim u ciebie, zanim skontaktuje się z tobą bezpośrednio.

Pani Warhoon opuściła ramiona i pochyliła się do przodu między skandynawskie kandelabry.

– O rany! – zawołała. Policzki jej się zarumieniły i w świetle świec wyglądała znowu na trzydzieści lat.

– Twierdzi, że nie będziesz jedyną kobietą na statku. Wspomniał też coś niejasno o wynagrodzeniu. Ma być podobno bajeczne! Powinnaś polecieć, Hilary. To niepowtarzalna okazja.

Położyła łokieć na stole i oparła czoło na dłoni. Uznał ten gest za nieco teatralny, mimo iż widział, że kobieta jest prawdziwie poruszona i podekscytowana. Wróciły do niego wcześniejsze fantazje.

– Kosmos! – zawołała. – Wiesz, że nigdy nie byłam dalej niż na Wenus. Tyle że taki lot rozbiłby moje małżeństwo, Mihaly. Alfred nigdy by mi tego nie wybaczył.

– Przykro mi. Sądziłem, że jesteście małżeństwem tylko z nazwy.

Jej oczy spoczęły niewidząco na obramowanej podczerwonej fotografii Kanionu Zdobywcy na Plutonie. Potem kobieta opróżniła kieliszek z winem.

– To nie ma znaczenia. Nie potrafię... a może po prostu nie udaje mi się... uratować tego związku. Odlatując na pokładzie „Gansasa”, całkowicie zerwałabym z przeszłością... Dzięki Bogu, że w tej dziedzinie jesteśmy przynajmniej bardziej cywilizowani niż nasi dziadkowie i skończyliśmy ze skomplikowanymi prawami rozwodowymi. Powinnam lecieć „Gansasem”, Mihaly? Powinnam, prawda? Wiesz, że niewielu jest mężczyzn, od których tak chętnie przyjąłabym radę jak od ciebie.

Decyzję pomogło mu podjąć wygięcie jej przegubu i subtelne migotanie światła świec na jej włosach. Wstał, obszedł stół i położył dłoń na jej nagich ramionach.

– Jesteś to sobie dłużna, Hilary. Sama rozumiesz, że masz przed sobą nie tylko cudowną szansę zawodową... Obecnie nie stajemy się w pełni dorośli, póki nie sprawdzimy się w dalekiej przestrzeni kosmicznej.

– No tak, Mihaly, znam twoją reputację, a przez technię obiecałeś, że mnie zabierzesz na nową sztukę. Nie powinniśmy już iść? – Odsunęła krzesło daleko od stołu, tak że Pasztor był zmuszony się wycofać. Zdobył się na sztuczną uprzejmość i zaproponował, że mogliby pójść piechotą, ponieważ teatr znajduje się tuż za rogiem, a w ostatnim czasie z powodu wojny nie sposób było złapać taksówki po zmroku.

– Pójdę poprawić makijaż i przygotować się do wyjścia – odparła i oddaliła się do małej toalety, którą szczyliły się aktualnie raczej tylko drogie mieszkania. Zamknawszy drzwi na klucz, przyjrzała się w lustrze swej twarzy. Nie bez satysfakcji dostrzegła, że zabarwił jej policzki lekki rumieniec. Mihaly nie pierwszy raz próbował ją podrywać. Hilary nie zamierzała mu ulec, gdyż było powszechnie wiadome, iż miał kochankę z Dalekiego Wschodu; a ponieważ dziewczyna wyjechała na wakacje, mógłby potraktować starą przyjaciółkę jako zastępczy obiekt swych erotycznych awansów.

Mężczyźni prowadzili życie godne pozazdrosczenia. Lżej im przychodziła gonitwa za własnymi kapryсами. Teraz jednak Hilary dostała szansę podążenia śladem czegoś znacznie istotniejszego niż kaprys: mogła spełnić swoje marzenie ujrzenia odległych planet. A że ten fascynujący człowiek Lattimore, Bryant Lattimore, byłby również na „Gansasie”... To oczywiście kwestia zbiegu okoliczności, ale kwestia, która czyniła perspektywę jeszcze bardziej ekscytująca.

Powoli Hilary podniosła najpierw lewe ramię, potem prawe i powąchała pachy. Nie poczuła nieprzyjemnego zapachu, więc spryskała je dezodorantem jedynie na szczęście.

Te małe gruczoły pachowe jako jedyne w ludzkim ciele wytwarzały zapach w sposób niejako zaprogramowany, chociaż masa innych gruczołów, soków i wydzielin emitowała go przypadkowo. Japończycy i niektórzy Chińczycy nie mieli nawet tego szczególnego gruczołu; albo jeśli mieli, uważali go za patologię. Dziwne. Hilary pomyślała, że musi spytać o ten drobiazg Mihaly’ego. Powinien wiedzieć, w końcu jego kochanka była rzekomo Japonką czy Chinką.

Kiedy kobieta pozwoliła myślom wędrować i nakładała puder, zaobserwowała, że rumieniec znika z jej policzków. Może rumieńce wywołały nie emocje, lecz zwierzęce mięso, które zjadła. Wyszczrzyła białe zęby, skrywające się zazwyczaj za czerwonymi wargami, po czym błysnęła okrutnym uśmiechem.

– Grrr, ty mały mięsożerny drapieżniku! – szepnęła do siebie. Pomyślała o perfumach, kosztownych perfumach, zawierających ambre, która (Hilary pośpiesznie „ocenzurowała” wizję) stanowiła nie strawione resztki kałamarnicy i ośmiornicy znalezionej w jelitach wieloryba olbrota. Poprawiła fryzurę, przypięła maskę uliczną i perfekcyjnie przygotowana błyskawicznie wyszła do Pasztora.

Mihaly także miał już na twarzy maskę. Razem wyszli na ulicę.

Wojna nie przysłużyła się Londynowi. Podczas gdy wielkie aglomeracje w innych państwach już dawno zlikwidowały różne stołeczne nadużycia – bądź zastosowały wobec nich skuteczne sankcje prawne – angielska stolica cierpiała z powodu ich rozplenienia.

Wszystkie kosze na popiół i odpadki stały na chodnikach, a jednak rynsztoki pełne były śmieci. Brak niewykwalifikowanych pracowników paraliżował miasto, powodując wręcz zamknięcie pewnych ulic dla ruchu (gdyż ich nawierzchnie stały się nieprzejezdne i nie było nikogo, kto by je naprawił). Nie wszyscy ubolewali nad tą kwestią, ponieważ piesi przyjmowali z ulgą wszelkie zmniejszenie się ruchu kołowego. Mihaly, idąc z panią Warhoon, sardonicznie dziękował cywilizacji za taki prezent jak uliczne maski, które gwarantowały, że oboje nie padną zemdleni od smrodu spalin wydzielanych przez trąbiące tuż przy nich auta.

Olbrzymie billboardy, pokrywające miejsce po biurowcu, który spalił się doszczętnie, zanim wozy strażackie zdołały przepelznąć w korku odległość czterech przecznic, powiadamiały, że „wakacje w kraju to doskonała zabawa oraz interes narodowy”, „śmierć można przekształcić w zysk finansowy, zapisując swoje ciało Laboratorium Burgessa”, a „rzeźączka wymknęła się spod kontroli” (co obrazował wykres uzyskany od organizatorów Światowego Roku Walki z Rzeźączką). Wisiał tam także mniejszy plakat wydany przez MINIGAROL, czyli Ministerstwo Gastronomii i Rolnictwa, obwieszczający, że spożywanie mięsa zwierzęcego powoduje przedwczesne starzenie się organizmu, natomiast sztuczny pokarm nie zawiera żadnych toksyn. Tezę podkreślały zreżymowane dwa obrazki: starego człowieka, który właśnie przechodził atak serca i młodej dziewczyny skupionej nad syntetycznym posiłkiem.

Na szczęście większa część reklam pogrążona była w błogosławionej ciemności, gdyż conocne przerwy w dostawie energii elektrycznej powodowały częściowe zaciemnienie rozjarzonego niegdyś feerią neonów Londynu.

– Gdy tak idę, ledwie mogę sobie wyobrazić, jak to jest stąpać po innej planecie – odezwała się Hilary.

– Na Ziemi faktycznie trudno sobie wyobrazić wszechświat – odrzekł Pasztor, przekrzykując warkot silników.

– Za dwa, trzy wieki rodzaj ludzki będzie miał zupełnie inne spojrzenie na cywilizację, codzienne życie czy reguły społecznej organizacji. Człowiek przetrawi do tej pory kosmos i spożytkuje te doświadczenia w sztuce, architekturze, obyczajach i tak dalej. Na razie raczkujemy w tej kwestii. Miasto jest naszym dzikim placem zabaw. – Wskazała sklepową witrynę, na której stał ogromny motocykl stylizowany na statek międzyukładowy i lśniący niczym skarby El Dorado. – Tu właśnie przechodzimy odwieczne obrządkie inicjacyjne, próby ognia, tłumy i gazu. Nie, nie jesteśmy dość dojrzały, by sobie poradzić z twoimi poobami.

Wstrząśnięty Mihaly pomyślał: „Mój Boże, ależ ta kobieta jest beznadziejna! Ale w końcu piliśmy prawdziwe wino, ona zaś jest prawdopodobnie przyzwyczajona do syntetycznego...”

Hilary ciągle mówiła, nie przestała nawet wtedy, kiedy Pasztor chwycił ją za rękę, by nie potknęła się o nóżkę starego stojaka z gazetami.

– Źle zaczęliśmy kontakt z tymi stworzeniami, Mihaly. Narzuciliśmy im nasze reguły

postępowania, zamiast studiować ich. Może „Gansas” znajdzie więcej pozaziemskich z tego gatunku i dostaniemy jeszcze jedną szansę na nawiązanie kontaktu, tym razem na ich zasadach.

– Jak dotąd nie znamy ich zasad. Czy powinniśmy szanować ich skłonność do życia we własnych odchodach? Moglibyśmy im pozwolić gromadzić fekalia... eee, czego najwyraźniej pragną. Wiesz, że to proponowałem. Niestety ten kał... no cóż, strasznie śmierdzi, a przecież biedny stary Bodley i jego ludzie muszą pracować z nimi...

Był zadowolony, że wreszcie dotarli do teatru.

Sztuka była wesołą parodią epoki Zimnej Wojny, komiczną wersją West Side Story, tyle że bez muzyki, zagraną w oryginalnych kostiumach sprzed trzeciej wojny światowej. Pasztor i pani Warhoon świetnie się bawili, choć jej umysł ciągle dryfował ku perspektywie lotu na „Gansasie”. W antrakcie Mihaly rzucił się w tłum kręcący się w teatralnym barze, nie miał bowiem ochoty pozwolić swej towarzysze na rozpoczęcie kolejnej dyskusji. Wyszli z teatru natychmiast po ostatnim opadnięciu kurtyny; Hilary twierdziła, że musi wracać do domu, więc oboje ruszyli wraz z tłumem ludzi w wieczorowych sukniach i galowych mundurach do windy, która wznosiła się ku lądowisku podmiejskiego wahadłowca. Gdy się przebijali, spadł deszcz, oczyszczając nieco miejskie powietrze. Krople oleistej wody bryzgały z głównej szyny. A pani Warhoon dzielnie tkwiła w tym samym temacie.

– Pamiętasz powiedzenie Wittgenbachera, że nasz intelekt to może po prostu presja instynktu pchającego nas ku przestrzeni?

– Zastanawiałem się nad tym – odparł, torując im drogę naprzód.

– Sądzisz, że podążę za swoim instynktem, jeśli wsiądę na pokład „Gansasa”?

Popatrzył na nią, wysoką i wciąż naprawdę smukłą. Jej oczy pod maską błyskały atrakcyjnie.

– Co cię naszło dziś wieczór, Hilary? I co ci mam odpowiedzieć?

– Mógłbyś powiedzieć mi na przykład, czy lecę w otchłanie kosmosu, by się sprawdzić... by z dała od mojego rodzimego świata i wszystkich znanych mi rzeczy spojrzeć na wszystko z dystansem... dojrzeć... A może uciekam przed niezadowolającym mnie małżeństwem, które stale naprawiałam...

Idący obok mężczyzna w mundurze astronauty zerknął na nią z nagłym zainteresowaniem.

– Nie znam cię na tyle, by odpowiedzieć na to pytanie – odparł Mihaly.

– Nikt mnie na tyle nie zna. – Wypowiedziała te podsumowujące słowa z uśmiechem, gdyż wreszcie dotarli do windy. Hilary do tknęła palców Pasztora i wsiadła. Mihaly walczył zawzięcie, by jego również nie wepchnięto.

Drzwi się zamknęły i winda ruszyła. Pasztor podniósł głowę i obserwował światła docierające na poziom szyny monobusu. Kropelka wody spadła mu z chlupotem w lewe oko. Odwrócił się i pustoszącymi ulicami ruszył do domu.

W mieszkaniu nad EgzoZoo przez jakiś czas chodził bez celu i rozmyślał. Sprzątając resztki posiłku, zsunął sztućce i naczynia ze stołu do pieca, obserwując, jak jasny płomień podnosi się i je spala. Potem dyrektor znowu zaczął chodzić.

Hilary miała nieco racji, chociaż wcześniej uznał jej wypowiedzi za chorobliwe. Bo czyż nie była to choroba, że człowiek spędzał życie na poszukiwaniach, przypominających wyszukiwanie przez psa szorstkiej trawy, której zjedzenie wywoła u niego wymioty? Co to był za tekst, który przychodził mu często do głowy – że cywilizacja to odległość, którą człowiek stworzył między sobą a swoimi ekskrementami? Bliższe prawdy byłoby powiedzenie, że cywilizacja to dystans, jaki człowiek stworzył między sobą a wszystkim innym, ponieważ jednym z podstawowych pojęć kulturowych była potrzeba prywatności. Kiedyś, z dała od zgiełku ognisk obozowych, człowiek wymyślił pokoje,

stanowiące bariery, za którymi praktykował swoje intymne rytuały. Medytacja powstała ze zwykłej potrzeby abstrakcji, artystyczne indywidualności – z ludowych rzemiosł, miłość – z seksu, a pojęcie jednostki zrodziło się w świecie plemion.

Ale czy bariery mają wartość, kiedy człowiek napotyka na swojej drodze obcą kulturę? I czy jedną z trudności w osiągnięciu porozumienia z poobami nie jest niedostateczne uświadomienie sobie, jak silny wpływ mają na nas nasze obyczaje?

„To jest dobre pytanie”, pomyślał Pasztor i niech go diabli, zamierzał właśnie teraz sprawdzić je w praktyce.

Wsiadł w windę i zjechał na parter. W EgzoZoo panowały ciemności; słychać było tylko grzechot i równoczesny piskliwy szczęk urządzeń pracujących w pomieszczeniu o zwiększonej grawitacji. Człowiek, zamknięty w swej kulturze, tak bardzo się palił, by uwięzić wraz ze sobą inne zwierzęta...

Dyrektor wszedł do pomieszczenia i włączyły się światła. Dwa pooby wydawały się spać. Jedno z jaszczurkopodobnych stworzeń przebiegło po ciele obcego i skryło się w jego fałdach. Wielkie cielsko nie poruszyło się.

Pasztor przeszedł boczne drzwi i znalazł się na tyłach klatki. Podniósł niską barierkę i podszedł do poobów. Oba otworzyły oczy z czymś, co wyglądało jak nieskończone znużenie.

– Nie martwcie się, kochani. Przykro mi, że was niepokoję, lecz pewna pani, która bardzo się wami interesuje, zupełnie nieświadomie naprowadziła mnie na nowe podejście. Patrzcie, kochani, staram się być przyjazny. Zobaczcie sami. Chcę do was dotrzeć, pomóżcie mi.

Dyrektor Londyńskiego EgzoZoo zdjął spodnie, kucnął przy stworzeniach i nadal przemawiając do nich łagodnie, oddał stolec na plastikową podłogę.

Rozdział ósmy

– Jakżesz przewidujący byłeś, chrzcząc ten świat nazwą Grudgrodd, Kosmopolito – stwierdził Trzeci Polita.

– Wyjaśniłem szereg razy, dlaczego moim zdaniem nie możemy dłużej pozostać na Grudgrodd – odparł Święty Kosmopolito, kiedy dwa utody leżały wygodnie obok siebie.

– A ja jeszcze raz powtórzę swoje. Nie wierzę, że metal może być na tyle mocny, by wytrzymać wystrzelenie w gwiazdne królestwa. Nie zapominaj, że jako kapłan uczestniczyłem w kursie poświęconym pękaniu metalu. Poza tym ten metalowy przedmiot nie miał kształtu właściwego dla statku kosmicznego. Wiem, że nie należy być zbyt dogmatycznym, lecz trzeba się przeciw oprzeć na jakichś założeniach... chociaż szanuję też twój kosmopolityzm.

– Mów, co chcesz, ale czuję, że Trzy Słońca nie lśnią na tych niebiosach... Zresztą i tak nie wierzę, że te liche żywe formy kiedykolwiek pozwolą nam zobaczyć swoje niebo.

Mówiąc to, Święty Kosmopolito obrócił jedną z głów i przyjrzał się lichej żywej formie, która wykonywała swą naturalną funkcję fizjologiczną kilka stóp od nich. Wydało mu się, że rozpoznaje w tej lichej żywej formie jednego z nielicznych tutejszych, u których zwyczajnie utodów nie budziły wstrętu. Na pewno nie był to ten osobnik, który wystrzelił w ich kierunku strumieniem zimnej wody z węża. Ani – przypuszczalnie – ten, który siadywał w pobliżu z jakimiś urządzeniami i dwoma asystentami (bez wątpienia byli oni w tym świecie ekwiwalentami przedstawicieli stanu duchownego), ewidentnie próbując jego i Trzeciego Polite namówić do porozumienia.

Licha żywa forma wstała i ponownie otoczyła się szmatka, skrywającą dolną część ciała.

– Jakże to interesujące! – zawołał Polita. – Zachowanie tego osobnika potwierdza hipotezy, które omawialiśmy parę dni temu.

– Rzeczywiście, w większości szczegółów. Tak jak sądziliśmy, tutejsi, podobnie jak my, mają dwie głowy: jedną do mówienia, drugą natomiast do wydalania.

– Zabawne jest, że z dolnej głowy wyrasta im para nóg. Tak, być może mimo wszystko masz rację, Ojczy-Matko. Wbrew wszelkiej logice, może faktycznie ogromnie się oddaliliśmy od Trzech Słońc, gdyż trudno sobie wyobrazić taki okropny absurd na planetach pod naszymi słońcami. Dlaczego twoim zdaniem ten osobnik właśnie tutaj przyszedł odprawić swój rytuał wydalania?

Kosmopolito zakręcił jednym z palców w geście skonfundowania.

– Hmm... Chyba raczej nie uważa naszej klatki za święte miejsce nawożenia. Może wypełnił tutaj rytuał tylko po to, by pokazać nam, że nie tylko my jedni posiadamy zdolność do urodzajności. A może, z drugiej strony, przyszedł tu z ciekawości, chcąc zobaczyć, jak się zachowamy. Obawiam się, że chwilowo musimy uznać, iż sposób myślenia cienkonogich jest nam zbyt obcy, byśmy mogli go właściwie zinterpretować, zaś nasze próby wyjaśnienia ich zachowania są zbyt utodomorficzne. Skoro już jesteśmy przy tym temacie... nie chcę cię niepokoić... Nie, nie, jako Kosmopolito muszę niektóre uwagi zatrzymać dla siebie.

– Och, proszę cię... Jest nas tu tylko dwóch, a już wcześniej podzieliłeś się ze mną wieloma swoimi cennymi i głębokimi spostrzeżeniami, których w większej grupie nigdy byś mi nie powiedział. Mów dalej, błagam cię.

Obca forma życia stała blisko i obserwowała. Utody wiedziały, że człowiek nie jest w stanie zbyt długo zachować milczenia. Ignorując go, Kosmopolito zaczął wyjaśniać swój punkt widzenia Trzeciemu Policie – ostrożnie, ponieważ wiedział, na jak niebezpieczny teren wkracza. Kiedy jeden

z jego grorgów zaczął mu pełzać pod brzuchem, Kosmopolita klepieniem przywołał go do porządku ze stanowczością, która zaskoczyła nawet jego samego.

– Nie chcę, żeby cię zaniepokoiło to, co ci powiem, synu, chociaż jestem świadomy, że początkowo możesz uznać, że podważam podstawy naszej wiary. Pamiętasz moment, w którym cienkonodzy przyszli do nas w ciemnościach? Leżeliśmy wtedy w gnojowisku przy boku naszej arki...

– Mimo iż było to chyba dawno temu, nie zapomniałem.

– Cienkonodzy przyszli do nas wtedy i natychmiast zamienili wielu z nas w stadium padliny.

– Pamiętam. Najpierw się przestraszyłem i podpełzłem blisko ciebie.

– A potem?

– Kiedy zabrali nas swoim kołowym wózkiem do wysokiego przedmiotu z metalu, hmm... może to była ich arka gwiazdnych królestw... opanował mnie tak wielki wstyd, że nie wybrano mnie, bym odbywał dalej cykl utoddamp, że ledwie docierały do mnie inne wrażenia.

Cienkonogi wydawał jakieś sygnały ustami górnej głowy, jednak utody rozmawiały w wyższym paśmie słyszalności (stosownym dla dyskusji o sprawach prywatnych), ignorując intruza.

– Mój synu – podjął Święty Kosmopolita – trudno mi to powiedzieć, ponieważ nasz język naturalnie nie ma odpowiednich ku temu pojęć, jednakże... istnieje możliwość, że sposób myślenia tych form życia jest równie obcy, jak obcy jest ich kształt... Nie mówię jedynie o wyższym myśleniu, ale o całej ich konstrukcji psychicznej. Od długiego czasu – tak jak ty – czuję swego rodzaju wstyd, że sześciu naszych towarzyszy wybrano do przemiany, a nas nie. Ale... przypuśćmy, Blugu Lugugu, że te formy życia wcale nie dokonały wyboru... przypuśćmy, że zabrali nas przypadkowo.

– Przekładkowo? Zaskakujesz mnie, używając takiego wulgarnego słowa, Kosmopolito. Upadek liścia lub plusk kropli deszczu mogą być – eee... przypadkowe, jednak w przypadku wyższych żywych form – wyższych niż błotne snwitche... fakt, że tworzą część życiowego cyklu, uniemożliwia jakikolwiek przypadek!

– Twoja miara odnosi się do istot ze światów Trzech Słońc. Lecz te stworzenia z Grudgrodd, ci cienkonodzy... mogą stanowić przykład innego i sprzecznego wzoru. – W tym momencie żywa forma opuściła utody. Gdy zniknęła, światło w pomieszczeniu przygasło. Zupełnie nie zainteresowany tym niewiele znaczącym zjawiskiem Kosmopolita nadal szukał odpowiednich słów. – Twierdzą, że w pewien sposób te stworzenia może nie mają wobec nas dobrych zamiarów. Jest takie słowo z Wieku Rewolucji, które tutaj pasuje... ci cienkonodzy mogą być źli! Znasz słowo „zły” ze swoich nauk?

– To jakiś typ choroby, prawda? – spytał Polita, przypominając sobie lata, kiedy pograżał się w labiryntach ssania mózgu w epoce Mile Widzianego Białego.

– Hmm, szczególny typ choroby. Czuję jednak, że ci cienkonodzy są źli w zupełnie inny sposób... Być może zło nie jest dla nich wcale chorobą.

– Czy dlatego nie chciałeś, byśmy się z nimi porozumieli?

– Nie, nie. Po prostu pozbawiony bajora nie czuję się bardziej przygotowany do konwersowania z obcymi, niż oni prawdopodobnie byliby przygotowani do rozmowy ze mną bez materiałów, w których skrywają ciała. Gdy zrozumieją ten podstawowy fakt, może spróbujemy z nimi pomówić, chociaż podejrzewam, że ich mózgi mogą być bardzo ograniczone, na co wskazuje skala ich głosu. Z pewnością jednak nie odezwę się do nich, póki nie zdadzą sobie sprawy, że mamy pewne podstawowe potrzeby... Kiedy to pojmą, może warto się będzie z nimi skontaktować.

– Ta kwestia... „zła”. Niepokoi mnie, że myślisz w ten sposób.

– Synu, im dłużej rozważam przeszłe zdarzenia, tym bardziej się skłaniam do takiej oceny.

Blugu Lugug, który od stu osiemdziesięciu lat znany był jako Trzeci Polita, umilkł zakłopotany.

Przypominał sobie coraz więcej szczegółów na temat „zła”.

Istniało w Wieku Rewolucji. Utody dożywały tysiąca stu lat, a Wiek Rewolucji zakończył się aż trzy tysiące generacji temu. Tym niemniej jego skutki ciągle dawały o sobie znać w codziennym życiu na Dapdrof.

Na początku tamtego zdumiewającego okresu urodził się Manna Warun. Ważne było, że wyklął się podczas szczególnie kataklizmowego entropicznego słonecznego rozdziału orbitalnego, właśnie tego esrd, podczas którego Dapdrof, przechodząc od Szafranowego Uśmiechniętego do Żółtego Nachmurzonego, stracił swój mały księżyc, Woback, który odtąd samotnie ścigał swoje przeznaczenie po anomalnym kursie.

Manna Warun zgromadził zwolenników i opuścił uświęcone bajora i grządki sałaty swojego ludu. Jego grupa ruszyła na pustkowie i spędziła tam wiele lat na udoskonalaniu i rozwijaniu starożytnych i tradycyjnych talentów utodów. Jedni przedstawiciele odchodzili od grupy, inni do niej dołączali. Według opowieści starych kapłanów tkwili tam sto siedemdziesiąt pięć lat.

Podczas tego okresu stworzyli coś, co Manna Warun nazwał „rewolucją przemysłową”. Nauczyli się wtedy wytwarzać znacznie więcej metali niż znali ich współcześni: twarde metale, które można było wyprężać w cienkie blachy, przenosząc nowe formy energii wzdłuż ich długości. Rewolucjoniści gardzili chodzeniem na własnych sześciu nogach, zaczęli więc jeździć różnego typu wieloodnóżowymi pojazdami lub latali w powietrzu wehikułami ze skrzydłami. Tak powiadały stare legendy, chociaż nie ulegało wątpliwości, że musiało tkwić w nich sporo przesady.

Kiedy jednak rewolucjoniści wrócili do reszty ludu, by spróbować przekonać towarzyszy do nowych doktryn, jedna zwłaszcza ich nowa cecha wydała się pozostałym obca. Rewolucjoniści głosili mianowicie – i dramatycznie stosowali w praktyce – stan, który nazywali „czystością”.

Mnóstwo utodów (jeśli można wierzyć starym relacjom) było dobrze usposobionych do większości proponowanych innowacji. Szczególnie podobał im się pomysł złagodzenia warunków macierzyństwa poprzez wprowadzenie jednej bądź wielu metod, obalających konieczność ssania mózgu. Przez większość z pięćdziesięciu lat dzieciństwa utoda matka była zaangażowana w ssanie mózgu swojego potomka zgodnie ze skomplikowanymi prawami i tradycją ustną, które stanowiły historię rasy i jej zwyczaje, natomiast rewolucjoniści uczyli, że z tą czynnością można sobie poradzić za pomocą pewnego mechanizmu. Jednakże „czystość” była czymś zupełnie innym – prawdziwą rewolucją!

Pojęcie to było trudne do zrozumienia, choćby tylko dlatego, że atakowało absolutne korzenie jestestwa. Sugerowało, że należy porzucić ciepłe brzegi błota, w których dotąd rozwijały się utody, opuścić bajora, bagna i gnojowiska, stanowiące do tej pory skuteczne substytuty błota, oraz małych żarłocznych pasożytów, grorgów, tradycyjnych towarzyszy wielkich stworzeń.

Manna i jego uczniowie dowodzili, że możliwe jest życie bez „całego tego niepotrzebnego luksusu” (czasem używali też terminu „brud”). Czystość miała być ich zdaniem dowodem postępu. Oświadczyli po prostu, że w epoce nowoczesnej rewolucji błoto jest „złe”!

W ten sposób rewolucjoniści przekształcili brak w cnotę. Egzystowali na pustkowie, daleko od bajor i ochronnych drzew ammp, gdzie błoto i wszelkie płyny były rzadkie. W tej surowości zrodziła się ich wiara.

Posunęli się zresztą dalej. Zachęcony udanym początkiem, Manna Warun rozwinął temat i zaatakował ustalone przekonania utodów. Pomagał mu w tym jego główny uczeń, Creezeazs. Creezeazs zaprzeczył, że dusze utodów rodzą się w ich niemowlęcych ciałach z ammpów i że stadium padliny następuje po stanie cielesnym. Albo raczej nie mógł zakwestionować, że części ciała w stanie cielesnym zostają wchłonięte w błoto, a stamtąd wyciągają je ammpy, stwierdził zatem, iż

nie istnieje żadne podobne przeniesienie dla duszy. Nie miał zresztą dowodów na potwierdzenie swojej tezy; była to tylko emocjonalnie wyrażona opinia, wyraźnie narzucająca utodom porzucenie ich naturalnych obyczajów. A jednak Creezeazs znalazł zwolenników, który mu zaufali.

Zwolennicy ci zaczęli stosować dziwne prawa moralne, nakazy i zakazy. Trudno jednak zaprzeczyć, że osobniki te posiadały pewną moc. Miasta Pustkowie, do których się wycofały, płonęły światłem w ciemnościach. Uprawiali ziemię za pomocą niezwykłych metod, a ta rodziła im osobliwe owoce. Zaczęli zakrywać otwory casspu. Zmieniali się z samca w samicę w tempie bezprecedensowym, folgując sobie bez rozmnażania. Cechowały ich także inne obce rodzaje zachowania. A jednak bynajmniej nie wyglądali na szczęśliwszych – zresztą nie głosili prymatu szczęścia, rozprawiając raczej o obowiązkach i prawach oraz o tym, co uważali za dobre lub złe.

Jedna wielka rzecz, którą osiągnęli rewolucjoniści w swoich miastach, poruszyła jednak wyobraźnię wszystkich.

Utody posiadały niesamowite zdolności poetyckie, stąd wzięły się ich ogromne zbiory opowieści, eposów, piosenek, przyśpiewek i oratorskich popisów. Ten właśnie aspekt wykorzystali rewolucjoniści, wbudowując część swojej maszynierii w starożytne nasienie drzewa ammp i wysyłając je daleko w niebiosy. Na takiej arce znalazł się Manna Warun.

Odkąd pamiętali, jeszcze zanim ssanie mózgow uczyniło z utodów to, czym byli teraz, nasion drzewa ammp używano jako pojazdów, którymi przemieszczali się do mniej zatłoczonych części Dapdrof. Podróże na mniej zatłoczone światy miały w sobie swego rodzaju zwariowaną stosowność. Tkwiące nadal w bajorach skomplikowane sieci starych rodzin zaczęły dostrzegać sens czystości. Każdy z piętnastu światów, krążących wokół sześciu planet Rodzinnej Gromady, był czasem widoczny gołym okiem; wszystkie były znane i podziwiane. Doświadczenie dreszczyku związanego z odwiedzeniem ich mogłoby być warte nawet wyrzeknięcia się „brudu”.

Nawrócone i zdeprawowane osobniki zaczęły się wyprawiać do Miast Pustkowie.

I wtedy zdarzyło się coś dziwnego.

Rozeszła się wieść, że Manna Warun nie jest tak „czysty”, jak twierdził. Podobno na przykład wyślizgiwał się często z pustkowie i pobłażał sobie w ukrytym bajorze. Pogłoski rozprzestrzeniały się lotem błyskawicy, a nieobecny Manna Warun nie mógł oczywiście niczemu zaprzeczyć.

Osobniki, do których docierały plotki, zastanawiały się, kiedy Creezeazs wystąpi i oczyści imię przywódcy.

W końcu Creezeazs rzeczywiście przemówił. Ciężko, ze łzami w oczach, mówiąc tylko poprzez swoje otwory ockpu, przyznał, że krążące historie są prawdziwe. Manna naprawdę był grzesznikiem, tyranem i lubił się taplać w błocie. Nie posiadał cnot, których wymagał od innych. Creezeazs oświadczył, że w gruncie rzeczy towarzysze przywódcy – szczególnie on sam, przyjaciel i prawdziwy uczeń Manny Warana – zrobili wszystko, co w ich mocy, by tamtego powstrzymać. Mimo to Manna wybrał zło. Teraz, kiedy ta smutna wieść się rozeszła, istniało tylko jedno wyjście: Manna Warun musiał odejść. Jego odejście było w interesie publicznym. Ma się rozumieć, że nikt się z tego nie cieszył, niestety istniało coś takiego jak obowiązek. Lud miał prawo do ochrony, w przeciwnym razie zło całkowicie zniszczy dobro.

Niewielu utodom podobała się ta propozycja, chociaż wszyscy zrozumieli punkt widzenia Creezeazsa. Mannę Waruna trzeba było wypędzić. Kiedy prorok wrócił z gwiazd, na lądowisku arki czekał więc na niego komitet powitalny.

Jeszcze zanim arka wylądowała, wybuchły zamieszki. Pewien młody utod, którego lśniaca, lecz zatrważająco popękana skóra sugerowała głęboką „higieniczność” (przedstawiciele Korpusu Rewolucji nazywali siebie wtedy Higienicznymi) wskoczył na jakieś pudło, wyciągnął wszystkie

kończyny i wrzasnął przeraźliwie niczym parowy gwizdek, że Creezeazs dla własnych korzyści kłamał na temat Manny i wszyscy, którzy za nim podążyli, to zdrajcy.

W tym momencie doszło do bezprecedensowego zdarzenia, doszło do niego, mimo iż arka gwiazdnych królestw spłynęła z niebios: wybuchła walka i jakiś utod ostrym metalowym prętem przyspieszył przejście Creezeazsa w następny etap jego cyklu utoddampp.

– Creezeazs! – wysapał Trzeci Polita.

– Dlaczego nagle wspomniałeś imię tego nieszczęśnika? – spytał Kosmopolita.

– Rozmyślałem o Wiek Rewolucji. Creezeazs był pierwszym utodem w naszej historii, który bez udziału dobrej woli przeszedł etap cyklu utoddampp – odparł Blug Lugug, wracając do teraźniejszości.

– To były złe czasy. Ale może skoro ci cienkonodzy także wydają się znajdować przyjemność w czystości, również przyspieszają pewnym osobnikom przechodzenie cyklu bez udziału dobrej woli. Jak powiedziałem, cienkonodzy są źli w jakiś naturalny sposób. My zaś jesteśmy ich przypadkowymi ofiarami.

Blug Lugug maksymalnie wycofał kończyny, zamknął oczy i otwory, po czym tak się rozciągnął, że wyglądał jak ogromna ziemską kielbasa. W ten sposób wyrażał kapłański niepokój.

Nic w ich sytuacji nie wydawało się usprawiedliwiać mocnych słów Kosmopolity. Co prawda, jeśli posiedzą tutaj zbyt długo, zrobi się nudno – utod potrzebował mniej więcej co pięć lat zmiany scenerii. Poza tym odrażający był bezmyślny sposób, w jaki tutejsze żywe formy usuwały ślady swej żywności. Jednakże okazywały też dowody dobrej woli: dostarczały jedzenia i szybko nauczyły się nie przynosić niepożądanych przedmiotów. Z czasem i odrobiną cierpliwości może nauczyłyby się i innych użytecznych rzeczy.

Drugą stroną medalu stanowiła kwestia zła. Naprawdę możliwe, że tutejsze formy życia dotknął ten sam rodzaj szaleństwa, jaki istniał w Wiek Rewolucji na Dapdrof. A jednak absurdem byłoby udawać, że – cokolwiek powiedziec o cienkonogich – nie mieli oni równoważnego ewolucyjnego cyklu z cyklem utoddampp. A tylko dla czegoś tak podstawowego utody mogły żywić głęboki szacunek, oczywiście, na swój własny sposób.

Sprawy zatem przedstawiały się następująco: Wiek Rewolucji był wybrykiem, zwyczajnym krótkotrwałym wyskokiem, trwał bowiem zaledwie pięćset lat – połowę długości życia – i sporo utodów nawet o nim nie wiedziało. Byłby to naprawdę niezwykły zbieg okoliczności, gdyby cienkonodzy przypadkiem mieli obecnie ten sam problem.

Często się zdarzało, że osoby, które używały gwałtownych słów typu „zły” i „przypadkowa ofiara”, słów związanych z szaleństwem... same znajdowały się o krok od popadnięcia w szaleństwo. Czyli że Święty Kosmopolita...

Na samą myśl o tym Polita aż zadrzał. Jego miłość do Kosmopolity pogłębiał fakt, że starszy utod matkował mu podczas jednej ze swych żeńskich faz. Teraz powinni go pocieszyć inni członkowie ich bajora; bez dwóch zdań nadeszła pora powrotu na Dapdrof.

Co oznaczało, że powinni porozmawiać z tymi obcymi i ponaglić ich do powrotu. Kosmopolita zabronił porozumienia – zresztą, całkiem słusznie – w ramach etykiety, prawdopodobnie jednak w aktualnej sytuacji należało odejść od tego zalecenia. „Być może – pomyślał Blug Lugug – mógłbym wybrać jednego z obcych i sam spróbować z nim pomówić. Nie powinno być trudno ich zrozumieć”. Pamiętał każde zdanie, które cienkonodzy wypowiedzieli w jego obecności od chwili ich przybycia metalowym przedmiotem. Te słowa nie miały dla niego żadnego sensu, lecz pewnie uda mu się je jakoś wykorzystać.

Przez jeden ze swoich otworów ockpu powiedział:

– Wilfredzie, nie masz przypadkiem śrubokrętu w kieszeni?

– O co pytasz? – odezwał się Kosmopolita.

– O nic. To taka gadka cienkonogich.

Zapadłszy w milczenie, które cieszyło go mniej niż zwykle, Trzeci Polita wrócił do myśli o Wiek Rewolucji – na wypadek gdyby istniały jakieś użyteczne paralele z obecną sytuacją.

Wraz ze śmiercią Creezeazsa i powrotem do domu Manny Waruna kłopoty tylko się wzmożyły. Można by powiedzieć, że „zło” po prostu kwitło. Sporą ilość utodów pchnięto bez udziału dobrej woli w następną fazę ich cyklu. Manę po powrocie z lotu arką gwiazdnych królestw oczywiście straszliwie zirytował fakt, że bieg wypadków w Miastach Pustkowie obrócił się przeciwko niemu.

Stał się jeszcze większym ekstremistą niż przedtem. Jego ludzie mieli się zupełnie wyrzec kąpieli błotnych. Zamiast tego, do każdego mieszkania dostarczano teraz wodę. Wszystkim utodom kazał zakrywać otwory casspu. Zabronił używania olejków skórnych. Zamierzał przyspieszyć rozwój przemysłu. I tak dalej.

Jednakże nasiona niezadowolenia zasiał już wcześniej Creezeazs i jego zwolennicy, toteż prędko doszło do jeszcze większego rozlewu krwi. Wiele osobników wróciło do swych rodowych bajor, skazując na powolny upadek Miasta Pustkowie, których mieszkańcy walczyli ze sobą. Wszyscy żalowali Manny, ponieważ szczerze go podziwiali i tego podziwu nie mogło osłabić.

Szczególnie szeroko dyskutowano i chwalono jego podróż między gwiazdy. Dużo wiedziano, nawet już w tamtym okresie, o sąsiednich ciałach niebieskich znanych jako Rodzinna Gromada, a zwłaszcza o trzech słońcach, Mile Widzianym Białym, Szafranowym Uśmiechniętym i Żółtym Nachmurzonym, wokół których kolejno krążył Dapdrof, gdy jeden esro zastępował inny. Te słońca i inne planety w gromadzie były dla utodów tak swojskie (a równocześnie tak obce), jak Góry Okołobiegunowe na Północnym Shunkshukkun Dapdrof.

Oprócz nieszczęść Wiek Rewolucji przyniósł też okazję zbadania tych dalekich miejsc. Pojawiła się szansa, by zwykły utod znalazł w gwiazdach to, czego pragnął, czyli spokój i szczęście.

Higieniczni kontrolowali wszystkie podróże do gwiazdnych królestw. Masy, które pozostały nie nawrócone, ruszyły w pielgrzymkę do Miast Pustkowie i wkrótce się dowiedziały, że mogą wziąć udział w eksploracji innych światów pod jednym z dwóch warunków: albo najpierw się nawrócą i będą przestrzegać surowych przykazań Manny Waruna, albo mogą wydobywać materiały potrzebne do budowy gwiazdnych arek bądź służące do produkcji paliwa do ich silników. Większość ochotników wybierała pracę fizyczną.

Górnictwo przychodziło im łatwo. Czyż utody nie powstały z małych ryjących stworzeń podobnych do błotnego kreta haprafrufa? Utody zatem chętnie zajmowały się eksploatacją rud i niebawem proces budowania gwiazdnych arek stał się rutynowy, niemal przypominał sztukę ludową w rodzaju tkania, pisanie wierszy czy uprawę grządek. Szybko zatem podróże przez gwiazdne królestwa stały się równie łatwe i swojskie, szczególnie kiedy odkryto, że wokół Trzech Słońc i sąsiadujących z nimi trzech innych gwiazd krąży jeszcze siedem światów, na których życie mogłoby być prawdopodobnie prawie równie przyjemne jak na Dapdrof.

Później naprawdę nadszedł okres sielskiego życia na innych planetach: na przykład na Buskey czy na Clabshubie, gdzie prędko zaprowadzono system utoddamp. Tymczasem sekta Higienicznych rozpadła się na przeciwne sobie odłamy; jedne praktykowały chowanie wszystkich kończyn, inne ubolewały nad takim zachowaniem, uważając je za niemoralne. W końcu wybuchły trzy nuklearne Wojny Mądrej Postawy i nieskalane dotąd oblicze rodzinnej planety uległo zupełnie niehigienicznemu bombardowaniu, którego zatrważająca skala (zniszczenie wielu mil pieczołowicie uprawianych lasów i krainy bagien) zupełnie zmieniła warunki klimatyczne na okres około stu lat.

Wynikłe w efekcie tych bezmyślnych działań wstrząsy pogodowe, po których nastąpiła seria srogich zim, stanowiły najbardziej radykalne z możliwych podsumowanie okresu wojen. Skutek był taki, że niemal wszyscy Higieniczni – niezależnie od przynależności do zwalczających się odłamów – przeszli w stadium padliny. Sam Manna zniknął; jego końca nikt nigdy nie poznał na pewno, chociaż legenda mówiła, że następny etap jego istnienia reprezentował pewien szczególnie piękny ammp, rosnący wśród ruin największego z Miast Pustkowie.

Powoli wróciło stare i sensowniejsze życie.

Z pomocą utodów powracających z innych planet rodzima populacja szybko się odrodziła. Odnowiono zbiorniki wodne, pracowicie odrestaurowano bagna, utworzono gnojowiska według tradycyjnych wzorców, wszędzie ponownie posadzono ammpy. Miasta Pustkowie pozostawiono własnemu upadkowi. Żadnego utoda nie interesowała już etyka czystości. Prawo i kult nieczystości powróciły z dawną mocą.

Tym niemniej niezależnie od poniesionych kosztów, przemysłowa rewolucja przyniosła też pozytywne skutki i nie o wszystkich zapomniano. Podstawowe osiągnięcia techniki niezbędne dla utrzymania podróży w gwiazdne królestwa trafiły do przedstawicieli starożytnego stanu duchownego, poświęcających się sprawie szczęścia utodów. Kapłani uprościli wszelką procedurę, zmienili ją niemal w zwyczajowy rytuał i pilnowali, by teoria lotów była przekazywana z matki na syna poprzez proces ssania mózgu, wraz z resztą tradycji ustnej gatunku.

Wszystko to działo się trzy tysiące generacji i prawie równie wiele kolejnych esro temu. Całe pokolenia poznawały historię poprzez ssanie mózgu. W obu mózgach Bluga Luguga żywo tkwiło „wspomnienie” ohydnych, deprawujących poglądów Manny i innych Higienicznych. Trzeci Polita szczyił się bowiem tytułem najbrudniejszego i najzdrowszego reprezentanta stanu kapłańskiego swej generacji. A po absurdalnych frazach moralnego potępienia, które wygłosił Kosmopolita, Blug Lugug wiedział, że czystość narzucana jego staremu ciału przez cienkonogich, oddziałuje też na jego mózgi. Najwyższy czas coś zrobić!

Rozdział dziewiąty

Slogan wykorzystywany z takim powodzeniem na opakowaniach tabletek nasennych: „Większość ludzi prowadzi życie pełne cichej desperacji”, wymyślił pewien amerykański mędrzec jeszcze w dziewiętnastym stuleciu. Nazywał się Thoreau i nie sposób odmówić racji jego stwierdzeniu, że niepokój, a nawet nieszczęście często rodzi się w duszach osób, które na pierwszy rzut oka wydają się uosobieniem szczęścia. A jednak, ze względu na konstrukcję ludzkiej natury, odwrotna sytuacja również jest możliwa i czasem w warunkach pozornie sprzyjających wyłącznie czarnej rozpacz, człowiek może prowadzić życie pełne cichego szczęścia.

Bramy więzienia St. Alban otworzyły się i wypuściły więzienny autobus. Pojazd wytoczył się spod portalu zwieńczonego napisem na aluminiowej tablicy: „Zrozumieć znaczy wybaczyć”, po czym skierował się w stronę dzielnicy zwanej Gejowskim Gettem.

Pod takim w każdym razie mianem znała ją większość londyńczyków, gdyż jej mieszkańcy używali raczej określeń Dzielnica Jąder, Joburg^{*}, Kraina Czarów, Mineta City czy wielu mniej lub bardziej eufemistycznych nazw, jakie tylko przychodziły im do głowy. Getto założył rząd, zdając sobie sprawę, że niektóre osoby, chociaż dalekie od przestępczych intencji, nie potrafią żyć w ramach wymagającej struktury, jaką jest cywilizacja: nie podzielają na przykład celów i motywacji większości przeciętnych istot ludzkich, nie widzą sensu w pracy od dziesiątej do szesnastej w dni powszednie, by dzięki temu utrzymać małżonkę i „x” czy „n” dzieci. Tej grupie ludzi, która skupiała geniuszy i neurotyków w równych proporcjach (często wewnątrz tej samej osoby), pozwolono się osiedlić w Gejowskim Getcie, które – ponieważ nie było w żaden sposób kontrolowane przez organa porządku publicznego – niebawem stało się również gniazdem przestępców. W tym szczególnym rezerwacie powstała unikalna wspólnota, która spoglądała na monstualną maszynę reszty społeczeństwa – usiłującą z zewnątrz skruszyć jego ściany – z tą samą mieszaniną strachu i moralnej dezaprobaty, z jaką tamci przyglądali się im.

Więzienny pojazd zatrzymał się przy końcu stromej ulicy o klinkierowej nawierzchni. Wyskoczyło z niego dwóch świeżo zwolnionych więźniów: Rodney Walthamstone i jego ekstowarzysz z celi. Pojazd natychmiast zawrócił i odjechał, a jego drzwi zatrzasnęły się automatycznie.

Walthamstone rozejrzał się z niepokojem.

Niezbyt okazałe domki po obu stronach ulicy kuliły się za brudnymi ogrodzeniami, oddzielającymi je od pasa odpadów i śmieci.

Za pasem odpadów i śmieci natomiast wznosił się mur Gejowskiego Getta (część tworzył rzeczywisty mur, część zaś ściśle przylegające do siebie wąskie stare domy).

– Czy to tu? – spytał Walthamstone.

– Dokładnie, Wal. Tu się zaczyna wolność. Tu możemy żyć tak, jak mamy ochotę. Nikt nie będzie z nas kpił.

Poranne słońce, promienny stary oszust, kładło swe przelotne złoto i rozbite cienie na niezbyt zachęcające skrzydło Getta, Joburgu, Raju, Miasta Tyłków, Ulicy Pedaków, Dzielnicy Cycków. Tid ruszył ku niemu, a widząc, że Walthamstone się waha, chwycił go za rękę i pociągnął ze sobą.

– Powinienem opisać to, co w tej chwili robię, mojej starej ciotce Flo i Hankowi Quilterowi – mruknął Walthamstone. Tkwił na rozdrożu między starym życiem i nowym, toteż naturalnie czuł prawdziwe przerażenie. Chociaż byli rówieśnikami, Tid był o wiele pewniejszy siebie.

– Pomyślisz o tym później – zauważył Tid.

– Byli tacy faceci na statku kosmicznym...

– Jak ci mówiłem, Wal, tylko frajerzy dają się zwerbować na statki kosmiczne. Mam kuzyna Jacka, który się zaciągnął, poleciał na Charona i od razu wpakował się w tę głupią wojnę z Brazylijczykami. Chodź, Wal.

Brudna ręka zacisnęła się na brudnym przegubie.

– Może jestem głupi. Może w pierdłu mi się wszystko pomieszało... – jęknął Walthamstone.

– Do tego właśnie służą im więzienia.

– Moja biedna stara ciocia... Zawsze była dla mnie taka dobra.

– Och, bo się rozplaczę. Wiesz, że ja też będę dla ciebie dobry.

Nie zdoławszy przekonać swego towarzysza, zrezygnowany Walthamstone ruszył naprzód, prowadzony niczym owca na rzeź ku wejściu do Avernus*. Jednakże wchodzenie do Avernus nie było łatwe. Na śmiałków nie czekały szeroko otwarte bramy. Dwaj mężczyźni szli w stronę domów, wspinając się po gruzie i śmieciach.

Tid pociągnął drzwi jednego z domów, a te otworzyły się ze skrzypnięciem. Światło słoneczne nieufnie liznęło wewnątrz, gdzie solidna betonowa ściana skruszyła się w swego rodzaju schody. Tid zaczął się po nich wspinać bez słowa, a Walthamstone uznał, że nie ma wyboru, więc podążył za przyjacielem. Po bokach widział w mroku maleńkie pieczary – niektóre niewiele większe niż otwarte usta. Dostrzegał też pęcherze i bańki, skrzepy i skazy, które utworzyły się podczas zastygania betonu, gdy zalewano nim krokwie.

Schody doprowadziły ich ku oknu na tyłach domu. Na jego widok Tid wydał okrzyk radości, po czym odwrócił się, by pomóc swemu towarzyszowi.

Przykucnęli na parapecie. Ziemia opadała z niego w postaci usypanego nasypu, porośniętego dzikim dzięgielem leśnym, wysoką trawą i krzewami czarnego bzu.

Ten dziki ogród przecinały liczne ścieżki; jedne z nich biegły ku wysokim oknom sąsiednich domów, inne opadały ku Gettu. Kręciło się tu sporo osób. Jakieś mniej więcej siedmioletnie nagie dziecko z gazetowym kapeluszem na głowie biegało od progu do progu i coś krzyczało. Stare fasady – pokryte warstwami brudu i rozjaśnione porannym słońcem – wyglądały równocześnie ponuro i wspaniale.

– Moja stara, droga dzielnica slumsów! – zawołał Tid. Zbiegł jedną z drózek, deptając trawę i poruszając wysokie kwiatostany.

Walthamstone zastanawiał się zaledwie przez moment, po czym popędził za kochankiem.

* * *

Bruce Ainson w nastroju lekkiej desperacji założył płaszcz, Enid tymczasem stała w drugim końcu korytarza i obserwowała go z założonymi rękoma. Czekał, aż żona się odezwie, wtedy mógłby krzyknąć: „Nic nie mów!”, kobieta nie miała jednakże nic do powiedzenia. Popatrzył na nią z ukosa i mimo całkowitego skupienia na sobie, poczuł dla niej coś na kształt współczucia.

– Nie martw się – oświadczył.

Uśmiechnęła się i wykonała nieokreślony gest. Bruce zamknął drzwi i odszedł.

Zapłacił dziesięć kredytów, wsiadł w narożną windę i wzniósł się na poziom lokalnych lądowisk. Nieuważnie usiadł na ruchomym krześle, które wyniosło go wysoko w niebo na pas ruchu bezpośredniego. Tu przesiadł się do automatycznego monobusu. Gdy pędził ku dalekiemu centrum Londynu, zadumał się nad awanturą, którą zrobił Enid po znalezieniu w gazecie wstrząsających nowin.

Tak, niewątpliwie źle się zachował. Źle się zachował, ponieważ w obliczu takiego kryzysu nie

widział sensu zachowywać pozorów. Człowiek jest tak moralny, jak pozwalają mu na to okoliczności. W odpowiednich warunkach potrafi być bardzo opanowany, inteligentny i... niewinny. Aż nagle nieprzyjemne zdarzenia przybierają postać pędzącej rzeki (spływającej z widmowego, niewidocznego źródła, które tworzyło się od nie wiadomo jak długiego czasu), niosącej w swoich wodach wstrętne cuchnące problemy, a człowiek musi stawić im czoła i je rozwiązać. Dlaczego ktoś miałby w obliczu takiego paskudztwa przyzwoicie się zachowywać?

Powoli mijał nieprzyjemny nastrój i Bruce otrząsał się z lekkiego szoku. Tak jakby zostawił go w domu, obarczając nim Enid. Wiedział, że przed Mihalym będzie się musiał odpowiednio zaprezentować.

Ale czy życie musiało być aż tak podłe? Niewyraźnie przypomniał sobie pragnienie, które towarzyszyło mu podczas lat studiów i badań koniecznych dla uzyskania dyplomu Głównego Odkrywcy. Miał wtedy nadzieję, że znajdzie świat skrywający się poza zasięgiem Ziemi w mrocznych latach świetlnych, świat istot, dla których trud codziennej egzystencji nie stanowi tak straszliwego obciążenia dla ducha. Chciał umieć tak żyć.

Obecna sytuacja sugerowała, że nigdy nie będzie miał okazji się tego nauczyć!

Dotarłszy do olbrzymiego nowego punktu przesiadkowego na granicy właściwego miasta, punktu, który znajdował się wysoko nad zewnętrznym Londynem, Ainson przesiadł się do wahadłowca i poleciał nim do Mihalym'ego Pasztora. Dziesięć minut później kręcił się niecierpliwie przed sekretarką dyrektora EgzoZoo.

– Wątpię, czy zdoła się z panem zobaczyć dziś rano, panie Ainson. Nie umówił się pan wcześniej...

– Pasztor musi się ze mną zobaczyć, moja droga dziewczyno. Możesz mnie zapowiedzieć? Proszę!

Z powątpiewaniem obgryzając skórkę przy paznokciu małego palca, sekretarka zniknęła w wewnętrznej części biura. Wróciła minutę później i bez słowa stanęła z boku otwartych drzwi, by wpuścić Bruce'a do gabinetu Mihalym'ego. Ainson minął ją poirytowany. Zawsze był dla niej miły, uśmiechał się do niej i kiwał jej głową; najwyraźniej jej zwyczajowe przyjazne nastawienie nie było niczym więcej niż udawaniem.

– Przepraszam, że ci przerywam, jesteś na pewno bardzo zajęty – oznajmił Pasztorowi zamiast powitania.

Dyrektor bynajmniej nie zapewnił swego starego przyjaciela, że ten w niczym mu nie przeszkadza. Nie przerwał też monotonnego chodzenia wzdłuż ściany przy oknie. Rzucił jedynie od niechcienia:

– Co cię do mnie przywiodło, Bruce? Jak się miewa Enid?

– Sądziłem – odparł Odkrywca, ignorując drugie zupełnie w tym momencie nieistotne pytanie – że łatwo się domyślisz, co mnie tu przyгнаło.

– Lepiej sam mi powiedz.

Ainson wyciągnął z kieszeni gazetę i rzucił ją na biurko Pasztora.

– Nie czytałeś? Ten przekłety amerykański statek... „Gansas” czy jak się tam nazywa... wyrusza w przyszłym tygodniu na poszukiwania rodzinnej planety naszych poobów.

– Mam nadzieję, że Amerykanom się poszczęści.

– Nie zdajesz sobie sprawy ze straszliwej hańby towarzyszącej temu zdarzeniu?! Nie zaprosili mnie do uczestnictwa w tej ekspedycji! Codziennie czekałem na wiadomość od nich. Nie przyszła! Pewnie doszło do pomyłki.

– Myślę, że w takiej sprawie nie sposób popełnić pomyłki, Bruce.

– Rozumiem. Zatem jest to hańba publiczna. – Ainson stał nieruchomo i wpatrywał się w przyjaciela. Lecz czy Pasztor rzeczywiście był jego przyjacielem? Czy Główny Odkrywca rażąco nie

nadużywał tego słowa tylko dlatego, że znali się od tak wielu lat? Podziwiał wiele cech Pasztora, podziwiał go za sukces jego technidram, za kierowanie Pierwszą Ekspedycją na Charona, podziwiał, bo uważał Mihaly'ego za prawdziwego człowieka czynu... Teraz przejrzał na oczy i podejrzewał, że ma raczej do czynienia z playboyem biegłym w salonowych gierkach, z wymyśloną przez dramaturga ułudą człowieka czynu, z imitacją, która w końcu ujawniła swój fałsz poprzez spokój, z jakim ze swej ciepłej posadki w EgzoZoo obserwował teraz konsternację przyjaciela. – Mihaly, chociaż jestem od ciebie o rok starszy, jeszcze nie czuję się gotów utknąć na dobre na Ziemi. Jestem człowiekiem czynu i nadal potrafię działać. Myślę, i to doprawdy bez fałszywej skromności, że na kresach znanego wszechświata nadal potrzebni są tacy ludzie jak ja. To ja odkryłem pooby i nie zapomniałem o tym, nawet jeśli inni już nie pamiętają. Powinienem się znajdować na pokładzie „Gansasa”, kiedy osiągnie on TP w przyszłym tygodniu. Sądzę, że gdybyś tylko zechciał, mógłbyś pociągnąć za odpowiednie sznurki i załatwić mi miejsce na tym statku. Proszę cię... błagam... zrób to dla mnie, a przysięgam, że już nigdy o żadną inną przysługę cię nie poproszę. Po prostu nie mogę znieść hańby związanej z pominięciem mnie w tak istotnym dla ludzkości momencie, i to w taki sposób.

Pasztor zrobił lekko drwiącą minę, po czym podniósł rękę i potarł podbródek.

– Chciałbyś się czegoś napić, Bruce?

– Jasne, że nie! Dlaczego stale mi proponujesz alkohol, skoro wiesz, że nie piję?!

– Wybacz, ale muszę sobie nalać małego drinka, chociaż normalnie nie mam tego w zwyczaju o tak wczesnej porze. – Kiedy dotarł do pary drzwiczek umieszczonych w ścianie, dodał: – Może poczujesz się lepiej, a może gorzej, jeśli ci powiem, że nie tylko z tobą postąpiono nikiemnie. Tutaj w EgzoZoo też się rozczarowaliśmy. Nie dokonaliśmy postępu w porozumieniu z tymi biednymi poobami, choć już mieliśmy nadzieję.

– Zdawało mi się, że jeden z nich zaczął nagle bluzgać po angielsku?

– Tak, „bluzgać” to dobre słowo. Pozaziemski wydał z siebie serię beładnych fraz, zadziwiająco dokładnie imitując wymowę osób, które kiedyś do niego mówiły. Wyraźnie rozpoznałem własny głos. Oczywiście mamy to wszystko na taśmie. Niestety, do porozumienia nie doszło wystarczająco szybko, by uratować te stworzenia. Otrzymałem właśnie wiadomość od Ministra Spraw Pozaziemskich, że projekt związany z poobami niedługo zostanie zamknięty.

Ainson był zbyt skoncentrowany na własnych problemach, by natychmiast zareagować, tym niemniej gdy po chwili dotarł do niego sens przemowy Pasztora, wręcz oniemiał.

– Na wszechświat Buzzarda! – wrzasnął wreszcie.

– Nie można zamknąć tego projektu ot tak, po prostu! To... przywieźliśmy tutaj najważniejszą rzecz, jaka kiedykolwiek zdarzyła się w historii człowieka. Oni... nie rozumiem. Nie mogą tego zamykać.

Dyrektor Londyńskiego EgzoZoo nalał sobie małą whisky i wypił łyk.

– Niestety, postawa ministra jest całkowicie zrozumiała. Mną to zdarzenie wstrząsnęło nie mniej niż tobą, Bruce, rozumiem jednak, jak do niego doszło. Nie jest łatwo przekonać ogół społeczeństwa czy choćby samego ministra, że kwestii zrozumienia innej rasy... lub nawet zdecydowania, jak należy mierzyć inteligencję jej przedstawicieli wobec naszej... nie sposób zakończyć w parę miesięcy. Wyłożę ci to bez ogródek, Bruce: uważano, że wiele zaniedbałeś, a teraz podobna opinia... plotka, która rozprzestrzeniła się lotem błyskawicy... dotknęła nas, tutaj. Ta pogłoska ułatwiła decyzję ministrowi, to wszystko.

– Ależ on nie może przerwać pracy Bodleya Temple'a i innych.

– Poszedłem do niego wczoraj wieczorem. Definitywnie zakończył projekt. Dziś po południu pooby zostaną przekazane do Departamentu Egzobiologii.

– Egzobiologii?! Dlaczego, Mihaly, dlaczego? Czy to spisek?

– Minister usiłował mnie przekonać, mówiąc z optymizmem, który osobiście uważam za bezpodstawny. W ciągu paru miesięcy „Gansas” ma zlokalizować więcej poobów – dokładnie całą planetę. Wiele z podstawowych pytań, na przykład kwestia, jak bardzo rozwinięte są te stworzenia, znajdzie wówczas odpowiedź i w oparciu o te odpowiedzi będzie można na nowo i znacznie skuteczniej spróbować się z nimi porozumieć.

W tym momencie ciało Ainsona chwycił jakiś rodzaj drżączki. Potwierdziły się wszystkie jego najgorsze podejrzenia wobec sił wymierzonych przeciwko niemu.

Bezmyślnie wziął od Pasztora zapalonego meskala i wessał jego aromat do płuc. Powoli rozjaśniło mu się w głowie.

– Przypuszczam, że coś więcej musi się kryć za tym ruchem ministra.

Dyrektor przyrządził sobie kolejnego drinka.

– Do tych samych wniosków doszedłem ostatniego wieczoru. Minister podał mi powód, który, chcemy czy nie, musimy zaakceptować.

– Jaki to był powód?

– Wojna. Siedzimy sobie bezpiecznie na Ziemi i łatwo zapominamy o tej wyniszczającej wojnie z Brazylią, która trwa już od tylu lat. Brazylią przejęła Kwadrat 503 i wygląda na to, że nasze straty w ludziach są wyższe niż donoszono. Aktualnie rząd od porozumienia z poobami bardziej interesuje się ich odpornością na ból. Jeśli w żyłach tych stworzeń krąży jakaś substancja, która sprawia, że zupełnie nie doświadczają bólu, rząd chciałby poznać jej skład. Jest to oczywiście potencjalna broń, która może przeważać szalę wojny. Podsumowując, najważniejsze jest w tej chwili poznanie anatomii poobów. Musimy z nich zrobić jak najlepszy użytek.

Ainson potarł skronie. Wojna! Jeszcze więcej szaleństwa! Nigdy nie przyszło mu to do głowy.

– Wiedziałem, że do tego dojdzie! Wiedziałem, że tak będzie! Czyli że tamci zamierzają pociąć na kawałki oba nasze pooby – dorzucił głosem przypominającym skrzypiące drzwi.

– Zamierzają je pociąć w najdoskonalszy sposób z możliwych. Wprowadzą im elektrody w mózgi, usiłując wywołać ból. Spróbują tu przegrzać, tam zmrozić. W skrócie... postarają się odkryć, czy pozaziemscy rzeczywiście nie odczuwają żadnego bólu, a jeśli tak, czy ta wolność od bólu zrodziła się z naturalnej niewrażliwości, czy też spowodowały ją jakieś antyciała. Gwałtownie protestowałem przeciw całemu temu eksperymentowi, ale równie dobrze mogłem zachować milczenie, bo do decydentów nic nie dociera i tylko się im naraziłem. Jestem tak samo zdenerwowany jak ty.

Ainson zacisnął pięść i mocno nią potrząsnął.

– Za tym wszystkim stoi Lattimore. Wiedziałem, że jest moim wrogiem, odkąd go zobaczyłem! Nigdy nie powinieneś być pozwolić...

– Och, nie bądź głupi, Bruce! Lattimore nie ma z tym nic wspólnego. Nie możesz się wszędzie dopatrywać spisków. Zresztą, ostateczne słowo mają zwykle osoby u władzy, a nie te, które posiadają wiedzę. Czasami naprawdę dochodzę do wniosku, że większość ludzi to szaleńcy.

– Tak, może nawet wszyscy. Na przykład nie zaprosili mnie do lotu „Gansasem”! A przecież odkryłem te stworzenia, znam je! „Gansas” mnie potrzebuje! Musisz mi pomóc, Mihaly... w imię starej przyjaźni.

Pasztor ponuro potrząsnął głową.

– Nic nie mogę dla ciebie zrobić. Widzisz, że sam nie jestem obecnie w łaskach. Wszyscy musimy dbać przede wszystkim o własne tyłki. Poza tym, trwa wojna.

– Znowu używasz tej odwiecznej wymówki! Wszyscy ludzie zawsze byli przeciwko mnie, zawsze.

Mój ojciec był przeciwko mnie, tak samo moja żona, mój syn... a teraz ty. Miałem o tobie lepsze zdanie, Mihaly. Zostanę publicznie poniżony, jeśli nie odleczę na „Gansasie” i... nie wiem, co wtedy zrobię.

Pasztor poruszył się niespokojnie, ścisnął mocniej szklaneczkę z whisky i zagapił się w podłogę.

– Na pewno niczego więcej ode mnie nie oczekiwałaś, Bruce. W głębi serca wiesz, że nigdy niczego od nikogo nie oczekiwałaś.

– I na pewno nie będę w przyszłości. Nie dziw się, że moje rozgoryczenie rośnie. Mój Boże, życie naprawdę jest ciężkie!

Wstał, zduszając niedopałek meskala w popielniczkę.

– Sam wyjdę – powiedział.

Zdenerwowany, opuścił pokój i przeszedł obok ukradkowo zerkającej sekretarki. Wcale nie czuł się tak podle, jak się zaprezentował małemu Węgrowi. Ale pomyślał, że Mihaly’emu dobrze zrobi, gdy zobaczy, że niektórzy ludzie mają rzeczywiste problemy i nie są zwykłymi pozerami.

Podjął wcześniejsze rozważania. Człowiek nie szukał nowych planet (co kosztowało go sporo potu i wymagało poświęcenia) jedynie dla nadziei, że pewnego dnia znajdzie rasę istot, dla których – jeśli są wrażliwe – życie jest czymś więcej niż tylko ciężarem. Nie, istniała też druga strona tej monety! Człowiek leciał w kosmos, ponieważ życie na Ziemi jest piekłem, ponieważ... mówiąc dokładnie... współegzystencja z innymi istotami ludzkimi to doprawdy istna katorga i nieprzerwany ciąg przemocy!

Wprawdzie życie na pokładzie statku też nie było idealnie cudowne... Ten drań Bargerone, którego Ainson miał ochotę oskarżyć o wszystkie kłopoty... Nie, nie było cudowne, lecz przynajmniej wszyscy na statku mieli swoją pozycję, miejsce i stanowisko. Istniały też reguły, których trzeba się było trzymać i kary na wypadek, gdyby ktoś tych reguł nie przestrzegał. Być może w tym tkwił sekret poszukującego ducha. Tak, może zawsze pragnienie poznania tkwiło w sercach wszystkich wielkich odkrywców! Chociaż poszukiwanie nieznanego nie było łatwą pracą, najwyraźniej łączyło się z mniejszą ilością niebezpieczeństw niż te, które czaiły się w piersiach przyjaciół i rodziny. Nieznane diabły lepsze są od tych, które cię znają!

Ainson skierował się do domu rozgniewany, a jednocześnie jakoś zadowolony. Nigdy nie sądził, że sytuacja tak radykalnie się zmieni!

* * *

Kiedy Główny Odkrywca opuścił jego biuro, Mihaly Pasztor opróżnił szklanę, odstawił ją i ciężkim krokiem podszedł do drzwi bocznego pokoju. Otworzył je.

Młody człowiek siedział w wielkim fotelu, paląc meskala tak żarłocznie, jakby go jadł. Był szczupłej budowy i miał schludną bródkę, dzięki której wyglądał na więcej niż swoje osiemnaście lat. Jego zwykle inteligentna twarz teraz, gdy zwrócił ją z niemym pytaniem w stronę Mihaly’ego, wyrażała jedynie smutek i przygnębienie.

– Twój ojciec już wyszedł, Aylmerze – oświadczył Pasztor.

– Rozpoznałem go po głosie. Był tak podenerwowany jak zazwyczaj.

Weszli razem do biura.

Aylmer wsunął meskala do popielniczki na biurku i spytał:

– Czego chciał? Czy to miało coś wspólnego ze mną?

– Właściwie nie. Chciał, żebym mu załatwił miejsce na pokładzie „Gansasa”.

Wymienili znaczące spojrzenia. Na młodej, lecz już ponurej twarzy zaczął się kształtować zjadliwy uśmiešek. Po chwili obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

– Jaki ojciec, taki syn! Mam nadzieję, że mu nie powiedziałeś, iż przyszedłem do ciebie z identyczną prośbą?

– Oczywiście, że nie. Miał dość swoich problemów. – Mówiąc to, dyrektor EgzoZoo grzebał w biurku. – Nie obraż się, młodzieńcze, że cię spławiam, jednak mam naprawdę sporo pracy. Jesteś pewny, że nadal chcesz wstąpić do Korpusu Badawczego?

– Wiesz, że tak, wujku Mihaly. Czuję, że nie mogę już dłużej zostać na Ziemi. Rodzice skutecznie uniemożliwili mi pobyt tu, przynajmniej na razie. Chcę polecieć w kosmos i to jak najdalej.

Pasztor ze współczuciem kiwał głową. Tego typu żale słyszał bardzo często i zawsze cierpliwie ich wysłuchiwał, choćby dlatego, że sam kiedyś myślał podobnie. W młodości człowiek nigdy nie wierzy, że nie istnieje żadne „daleko” – nawet w najodleglejszej galaktyce – że nigdzie nie można uciec przed samym sobą. Wyłożył dokumenty na blat biurka.

– Tu masz rozmaite papiery, których będziesz potrzebował. Mój przyjaciel, Bryant Lattimore z USGN, doradca podczas tego lotu, wyjaśnił wszystko Davidowi Pestalozzemu, którego mianowano kapitanem „Gansasa”. Ponieważ twój ojciec jest powszechnie znany, postanowiliśmy, że wyruszysz w podróż pod przybranym nazwiskiem. Będziesz się nazywał Samuel Melmoth. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu małemu kamuflażowi?

– A dlaczego miałbym mieć? Jestem ogromnie wdzięczny za wszystko, co dla mnie robisz, a do swojego nazwiska nie czuję się szczególnie przywiązany.

Zacisnął pięści nad głową i rozpromienił się triumfalnie.

„Jak łatwo się ekscytować, gdy jest się młodym”, pomyślał Mihaly. I jakże trudna jest prawdziwa przyjaźń międzypokoleniowa – dwie osoby niby mogły się ze sobą nie porozumieć, a jednak wyglądały czasem, jak przedstawiciele dwóch różnych gatunków dający sobie na migi znaki przez zatokę.

– A co się stało z dziewczyną, z którą byłeś związany? – spytał.

– Och, z tą! – Młody Ainson na moment znowu przybrał skwaszoną minę. – Była do niczego.

– Mam nadzieję, że mi wybaczysz moją ciekawość, Aylmerze, lecz czyż to nie właśnie z jej powodu ojciec wyrzucił cię z domu? Coście mu takiego oboje zrobili, że uznał to za niewybaczalne?

Młodzieniec popatrzył zaniepokojony.

– Daj spokój, na pewno możesz mi o tym opowiedzieć – bąknął niecierpliwie Mihaly. – Jestem człowiekiem tolerancyjnym i światowym, zupełnie niepodobnym w tych kwestiach do twojego ojca.

Aylmer uśmiechnął się nerwowo.

– Zabawne, bo zawsze sądziłem, że w wielu sprawach jesteście do siebie dość podobni. Na przykład... Tak jak on, odbywałeś podróże kosmiczne. Żaden z was nie lubi higienicznego, syntetycznego jedzenia, więc ciągle jadacie staroświeckie posiłki, takie jak... hmm... usmażone kawałki mięsa zwierzęcego. – Zrobił gest sugerujący obrzydzenie, po czym dodał: – Jeśli jednak koniecznie nalegasz, zadowolę twoją ciekawość. Pewnej nocy ojciec wszedł po prostu nieoczekiwanie do mojego pokoju podczas swego ostatniego urlopu. Dziewczyna spała wtedy w moim łóżku, a gdy ojciec otwierał drzwi, akurat całowałem ją między udami. Ten widok prawie go przyprawił o apopleksję! Czy to ciebie także szokuje?

Mihaly potrząsnął głową ze wzrokiem spuszczonej na biurko i odparł:

– Mój drogi Aylmerze, mnie zaszokowało raczej twoje stwierdzenie, że wydaję ci się podobny w wielu sprawach do twojego ojca. A co do jedzenia... Nie widzisz, że każde kolejne pokolenie ludzi coraz bardziej oddala się od natury? Poprzez spożywanie syntetycznych pokarmów człowiek usiłuje zaprzeczyć istnieniu swojej zwierzęcej natury. Stanowimy mieszaninę zwierzęcia i duszy, toteż negacja jednej strony natury zubaża drugą.

- Powiedziałbym, że jest to argument rodem z epoki kamiennej, my wszakże żyjemy we wszechświecie Buzzardowskim i powinniśmy myśleć nowocześnie. Rozumiesz chyba, wujku, że zasłaliśmy zbyt daleko, by się spierać w kwestiach tego, co jest „naturalne”, a co nie jest.
 - Tak? Dlaczego zatem tak cię oburza, że jadam mięso zwierzęce?
 - Ponieważ jest to samo w sobie... no cóż, jest to po prostu obrzydliwe!
 - Lepiej już idź, Aylmerze, muszę się teraz zająć formalnościami związanymi z przekazaniem dwóch pozaziemskich istot specjalistom od wiwisekcji. Życzę ci powodzenia.
 - Rozchmurz się, wujku, sprowadzimy ci znacznie więcej osobników do eksperymentów! –
- Wypowiedziawszy te bezmyślne słowa wsparcia, Aylmer Ainson wepchnął dokumenty do kieszeni, pomachał dyrektorowi EgzoZoo i wyszedł.

Rozdział dziesiąty

Gdyby przyspieszyć upływ czasu, oglądając z kosmosu Ziemię i jej mieszkańców można by uznać za jeden organizm, organizm czasem wstrząsany konwulsjami. Ludzkie kruszynki niczym mikroby pędziły komunikacyjnymi arteriami i skupiały się w różnych punktach globu, aż punkty te zaczęły wyglądać jak owrzodzenia na naskórku kuli.

Tak było i teraz. Jednak gdy sytuacja zaczynała wyglądać chaotycznie i zapalnie, doszło do zmiany. Kruszynki odsunęły się od głównego obiektu na powierzchni, tworząc pozór uporządkowania. Ów główny obiekt wyróżniał się obecnie jak krosta stanowiąca centrum infekcji, po czym nagle wybuchł (tak przynajmniej to wyglądało) i odleciał, natomiast dla oczu obserwatora podobni kruszynkom ludzie – jakby nagle ustąpił jakiś nieznośny nacisk – rozproszyli się. Tymczasem wystrzelona drobinka materii ruszyła w przestrzeń, by wykonać wyznaczone zadanie.

Ta szczególna drobinka wystrzelonej materii była statkiem kosmicznym o nazwie „Gansas”, którą to nazwę wygrawerowano na jego bokach berylowymi literami wysokimi na trzy jardy. Gdy jednak maszyna opuściła Układ Słoneczny, jej nazwa stała się niemal nieczytelna nawet dla wszechwidzącego hipotetycznego obserwatora, ponieważ statek uruchomił napęd transponentny.

Napęd transponentny należał do tych idei, które długo czają się na obrzeżu ludzkiego umysłu, nim człowiek w końcu zdoła je wyrazić. Najbardziej żarliwie marzą bowiem o wszechmocy ci najmarniejsi z marnych i zgoła bezsilni. Właściwie w sensie logicznym lot transponentny wydaje się wręcz przeciwny wszelkiej podróży, powodując, że statek tkwi nieruchomo, zaś wszechświat porusza się w pożądanym kierunku.

Niewątpliwie dokładniej wyjaśnił tę kwestię doktor Chosissy na swoim wykładzie podczas światowego kongresu w roku 2133. Powiedział wtedy: „Jakkolwiek zadziwiające może się to wydawać nam, którzy dorastaliśmy w wygodnej pewności fizyki Einsteińskiej, zmiennym czynnikiem w nowych równaniach Buzzarda okazuje się być wszechświat. Odległość można pokonać. Zauważyliśmy w końcu, że jest ona jedynie pojęciem matematycznym, które w Buzzardowskim wszechświecie istnieje w sposób rzeczywisty. Podczas lotu TP nie można już powiedzieć, że kosmos otacza statek kosmiczny. Teraz powinniśmy raczej twierdzić, że jest na odwrót: to statek kosmiczny otacza wszechświat”. A zatem spełniły się starożytne marzenia i góra przysłała posłusznie do Mahometa.

Radośnie nieświadom niesprawiedliwej przewagi, jaką posiadał nad wszechświatem, Hank Quilter opowiadał nowym towarzyszom lotu o swoim ostatnim urlopie.

– Ty to naprawdę masz szczęście, Hank – mruknął jeden z mężczyzn, który z powodu wiecznie przyklepionego to twarzy cukierkowego uśmiechu zyskał przydomek Słodziutki. – Szczerze zazdrościłbym ci tej dziewczyny, gdybym nie podejrzewał, że połowę historii o niej wymyśliłeś.

– Jeśli nie wierzysz mi na słowo, stawaj do walki. Będziemy się bić tak długo, aż cię przekonam – odparował Quilter.

– Prawda poprzez przemoc! – roześmiał się ktoś.

– A pokażcie mi lepszy sposób – stwierdził Quilter, również się uśmiechając. Ponieważ w jego opowieści rzeczywiście było niewiele przesady, śmieszyło go, że w niego wątpią. Gdyby kłamał, sytuacja byłaby zupełnie inna.

– Opowiem ci inną zabawną historyjkę, która mi się przydarzyła – oznajmił wesoło. – Na dzień przed moim wejściem na pokład „Gansasa” dostałem list od faceta, który spał na koi obok podczas

lotu „Mariestopes”. Całkiem sympatyczny gość nazwiskiem Walthamstone. Anglik. Pierwszej nocy po wylądowaniu upił się i zrobił małe włamanko. Złapała go policja i trafił do więzienia. Sądząc po jego słowach, był wtedy w paskudnym nastroju. Tak czy owak, w pierdłu spotkał jednego koleśia i nagle się okazało, że drogi Walthamstone ma identyczne preferencje seksualne jak ów koleś... Koleś nad Walem popracował, wiecie, no... Wyobrać go po swojemu! Tak więc gdy obu wypuszczono, Wal ruszył rączka w rączkę z tym pedziem prosto do starego dobrego Ghettoville. W chwili obecnej podobno szczęśliwie sobie żyją jak mąż z żoną!

Zakończywszy opowieść, Quilter wybuchnął śmiechem.

Brodaty młodzik nazwiskiem Samuel Melmoth, który dotąd jeszcze się nie odzywał, mruknął pod nosem:

– Ta opowieść nie wydaje mi się zbyt zabawna. Wszyscy potrzebujemy jakiegoś rodzaju miłości, co zresztą udowodniły twoje wcześniejsze historyjki. Mnie się zdaje, że twój przyjaciel zasłużył sobie raczej na nasze współczucie.

Quilter przestał się śmiać i zagapił się w Melmotha. Wylał usta ręką.

– Co starasz się powiedzieć, Mac? Śmieję się po prostu z tego, że ludziom przytrafiają się najdziwniejsze rzeczy. A dlaczego niby drogi Wally miałby potrzebować twojej cholernej litości? Miał wolny wybór, nie sądzisz? Po wyjściu z paki mógł zrobić, co chciał, no nie?

Melmoth wpatrzył się uporczywie w swego towarzysza, przybierając zranioną minę, co upodabniało go do ojca, którego nazwiska obecnie nie nosił.

– Z tego co powiedziałaś, wynika, że ten twój Wally został po prostu uwiedziony.

– Okej, tamten koleś go uwiódł, jasne. Ale powiedz mi stary, czy każdego z nas ktoś nie uwiódł w tym czy innym momencie naszego życia? Zdradziliśmy w którejś chwili swoje zasady, prawda? Gdyby nasze zasady były silniejsze, nie poddaliśmy się, czy tak? A Wal mógł bardziej uważać...

– Gdyby jednak miał przy sobie jakichś przyjaciół...

– Cała ta sprawa nie ma nic wspólnego z przyjaciółmi, uwodzicielami, wrogami czy kimkolwiek innym. To właśnie mówię. Wal sam zawinił. Sami jesteśmy odpowiedzialni za wszystko, co nam się przydarza.

– No nie, teraz to wałnęłaś niezły nonsens – zaprotestował Słodziutki.

– Wszyscy jesteście stuknięci, w tym tkwi wasz kłopot – odwarknął Quilter.

– Słodziutki ma rację – dorzucił Melmoth. – Każdy z nas zaczyna życie z większą ilością problemów, niż potrafi rozwiązać aż do śmierci.

– Słuchaj, facet, przede wszystkim nikt cię nie prosił o opinię. I mów za siebie – warknął Quilter.

– Mówię.

– No cóż, wydawało mi się, że mówisz też o mnie. Noszę własne nieszczęścia na własnych barkach, a poza tym uważam, że człowiek posiada wolną wolę. Robię dokładnie to, co chcę robić, rozumiesz?

W tym momencie zaskrzypiał interkom i rozległy się słowa: „Uwaga. Szeregowy Hank Quilter, koja numer 307, powtarzam Hank Quilter, koja numer 307, zgłosi się natychmiast do Biura Doradcy Lotu na Pokład Obserwacyjny. Powtarzam, do Biura Doradcy Lotu na Pokład Obserwacyjny. Koniec komunikatu”.

Gderając, Quilter ruszył wykonać polecenie.

* * *

Doradca Lotu, Bryant Lattimore, nie lubił swojego biura na Pokładzie Obserwacyjnym. Jego wystrój wykonany został zgodnie z nowoczesnym stylem zwanym urorganicznym, toteż ściany,

podłogę i sufit pokrywały plastikowe płaskorzeźby w różnych odcieniach. Wzór układał się w powiększone siedemdziesiąt pięć tysięcy razy kryształy powierzchniowe tlenu molibdenu. Pomieszczenie zaprojektowano tak, by pasowało do modelu Buzzardowskiego wszechświata.

Doradca Lotu Bryant Lattimore nie lubił też swojej pracy.

Rozległo się stukanie w drzwi i wszedł szeregowy Quilter. Lattimore uprzejmie wskazał mu krzesło.

– Quilter, znasz cel naszej podróży. Zamierzamy odkryć rodzinną planetę obcych, którzy jak mi się zdaje popularnie zwani są nososralami. Moje zadanie w szczególności polega na formułowaniu z wyprzedzeniem pewnych rad, które będziemy mogli wykorzystać po odkryciu planety. Przeglądałem właśnie listę członków załogi i natrafiłem na twoje nazwisko. Leciałeś na „Mariestopes”, kiedy znaleziono pierwszą grupę nososrali, zgadza się?

– Tak, proszę pana, byłem wtedy w Korpusie Badawczym. Należałem do grupy, która jako pierwsza spotkała te stworzenia. Zastrzeliłem trzy czy cztery, gdyż nas zaatakowały. Widzi pan...

– Bardzo interesujące, Quilter... ale może zaczniesz jeszcze raz od początku i opowiesz wszystko trochę wolniej?

Quilter opowiedział więc swoją historię powoli i z detalami. Lattimore słuchał, wpatrując się w kryształy molibdenu, wśród których tkwił uwięziony, po czym skinął głową i podrapał się po nosie, poluźniając drobinę zasuszonego smarka w jednym z nozdrzy.

– Jesteś pewien, że nososrale was zaatakowały? – spytał, zdejmując okulary i gapiąc się na Quiltera.

Szeregowiec zawahał się, zmierzył Lattimore’a od stóp do głów i zdecydował się powiedzieć prawdę.

– Powiedzmy, że ruszyły ku nam, proszę pana. Woleliśmy nie sprawdzać, jakie intencje ma ich komitet powitalny.

Lattimore uśmiechnął się i ponownie założył okulary.

Kiedy zwolnił Quiltera, nacisnął dzwonek i weszła Hilary Warhoon. Wyglądała bardzo elegancko w męskim mundurze z różowymi wyłogami. Błysk w jej oczach sugerował zachwyt Buzzardowskim wszechświatem.

– Czy Quilter powiedział coś interesującego? – spytała, siadając przy stole obok Lattimore’a.

– Raczej między wierszami niż świadomie. Jego opowieść była spójna i na pierwszy rzut oka zachował się właściwie. Niestety, niewiele wiemy o nososralach, jak je nazywają i na razie trudno ustalić, czy są one czymś więcej niż tylko świniami. Quilter uważa je za dużą zwierzynę, do której się strzela, najlepiej tak, by zabić. Wiesz, nawet jeśli okażą się wybitnymi myślicielami, cholernie trudno będzie nam się z nimi porozumieć.

– Tak. Ponieważ nawet jeśli są genialnymi myślicielami, ich sposób myślenia znacząco się różni od naszego.

– Dokładnie tak. Nie tylko w tym tkwi zresztą problem. Filozofom, którzy żyją w błocie, zapewne nie trafią do przekonania zapatrywania Ziemi. Na masach zresztą zawsze większe wrażenie robiło błoto niż filozofowie.

– Na szczęście, poglądy mas nie mają na nas wpływu.

– Tak ci się zdaje? No tak, jesteś kosmoklektyczką, Hilary, ja jednak brałem już wcześniej udział w lotach TP i znam dziwne psychologiczne reguły panujące na pokładzie statku. Jest to jakby wyolbrzymiona wersja TV Na wschód od Suez Kiplinga... Jak to szło: „Wyślij mnie statkiem gdzieś na wschód od Suez, tam; gdzie najlepsze jest to, co najgorsze, gdzie nie obowiązuje Dziesięć Przykazań...”. Widzisz, Hilary, najlepsze okazuje się bardzo podobne do najgorszego, kiedy chodzisz

po powierzchni planety leżącej pod innym słońcem. I czujesz że... no cóż, jest to swego rodzaju nieodpowiedzialność... czujesz, że możesz zrobić wszystko, co tylko zechcesz, ponieważ nikt na Ziemi cię za to nie osądzi. Niestety, gdy ty robisz „to, co lubisz”, masy tylko marzą, o otrzymaniu pozwolenia na pójście w twoje ślady.

Hilary Warhoon zabębniła w stół czterema szczupłymi palcami.

– Zabrzmiało złowrogo.

– Psiakrew, irracjonalne popędy człowieka są groźne! Nie myśl, że uogólniam. Często widziałem ludzi działających pod wpływem tego typu nastroju. Prawdopodobnie właśnie coś takiego zgubiło Ainsona. Sam tego doświadczyłem.

– Obawiam się, że teraz cię nie rozumiem.

– Nie bądź taka urażona. Wiem, że twój Quilter znajdował przyjemność w strzelaniu do naszych pozaziemskich przyjaciół. Polowanie, ten odwieczny dreszczyk emocji! Gdybym zobaczył gromadę takich zwierząt szczypiących trawę na sawannie, pewnie też zacząłbym do nich strzelać.

Głos pani Warhoon nieco stwardniał.

– Co zrobisz, gdy znajdziemy rodzinną planetę poobów?

– Wiesz, co zamierzam zrobić: działać zgodnie z logiką i rozsądkiem. Wyznaczono nam konkretne zadania i nie lecimy tam dla przyjemności. Jestem jednakże świadomy, że jakaś cząsteczka mnie mówi: „Lattimore, te istoty nie odczuwają bólu. Jak ktoś, kto nie cierpi, może mieć ducha czy duszę albo być inteligentny... Czy potrafi docenić niewyobrażalnie wspaniałe dzieła, takie jak poematy Byrona lub Symfonia Bohaterska Borodina? Jeśli ktoś nie odczuwa bólu, nie rozumiem go – niezależnie od posiadanych przed niego talentów...”.

– Tyle że marny przed sobą wyzwanie i dlatego musimy spróbować zrozumieć te... – Wyglądała atrakcyjnie z zaciśniętymi pięściami.

– Wiem o tym, wiem. Ale przemawiasz do mnie jako osoba inteligentna – zauważył Lattimore, rozpierając się na krześle. Widok Hilary w mundurze sprawiał mu wyraźną przyjemność. – A ja słucham też głosu Quiltera, vox populi, krzyku płynącego nie tylko z serca, lecz także z kiszek. Głos ten mówi, że niezależnie od talentów tych nososrali, trudno dostrzec różnicę między nimi a bawołami, zebami czy tygrysami. Budzi się we mnie jakiś pierwotny popęd – dokładnie tak samo jak w Quilterze – i mam ochotę do nich postrzelać.

Pani Warhoon bębniła już w tej chwili ośmioma palcami o pomalowanych na rubinowo paznokciach, tym niemniej zdołała spojrzeć mężczyźnie w twarz i się roześmiać.

– Bawisz się w swego rodzaju intelektualną grę z samym sobą, Bryancie. Jestem pewna, że nawet podły Quilter znalazł lepsze wytłumaczenie dla swojej agresji. Skoro zatem nawet on ma wyrzuty sumienia z powodu swojej pochopnej reakcji, ty jako człowiek nieporównanie bardziej rozumny, powinieneś wcześniej się poczuć winny i zapanować nad sobą.

– Na wschód od Suezu inteligentny człowiek potrafi znaleźć więcej wymówek dla siebie niż kretyn.

Dał za wygraną na widok jej rozgniewanej miny.

– Tak jak powiedziałaś, prawdopodobnie bawię się ze sobą. Lub z tobą.

Położył dłoń na jej paznokciach – tak niedbale, jakby były kryształami molibdenu. Kobieta cofnęła rękę.

– Chcę zmienić temat rozmowy, Bryancie. Mam sugestię, która powinna się okazać owocna. Sądziś, że zdobędziesz dla mnie ochotnika?

– Do czego?

– Wyszadzilibyśmy go na planecie obcych.

Z kolei na planecie obcych zwanych Ziemianami, Trzeci Polita imieniem Blug Lugug znajdował się w stanie straszliwego psychicznego skonfundowania. Przywiązano go do stołu zestawem mocnych płóciennych pasów, które przytrzymywały resztki jego ciała. Mnóstwo kabli i przewodów wychodziło ze stojących milcząco lub gulgoczących z boku pokoju maszyn, po czym pięto się ku ciału utoda bądź wchodziło w różne jego otwory. Jeden kabel biegł z jakiegoś urządzenia obsługiwanego przez pewnego mężczyznę; ów miał na sobie biały strój i kiedy poruszył ręką dźwignię, coś bezsensownego zdarzyło się w umyśle Trzeciego Polity. Uczucie bezsensowności było gorsze niż wszystko, czego Trzeci Polita kiedykolwiek doświadczył. Widział teraz, jak wiele racji miał Święty Kosmopolita, określając tych cienkonogich epitetem „źli”. Bluga Luguga ze wszystkich stron otaczało zło. Zło wznosiło się przed nim, mocne, silne i higieniczne; zło wygryzało mu inteligencję kawałek po kawałku.

Ponownie ogarnęło go uczucie bezsensowności. Otworzyła się przed nim jakaś szczelina, w której widać było coś rosnącego, coś zachwycającego – wspomnienia bądź obietnice, kto wie...? Utod był przekonany, że nigdy już tego stanu nie osiągnie.

Przemówił jeden z cienkonogich. Posługując się głównie sapnięciami, Polita powtórzył jego wypowiedź:

– „Żadnej-reakcji-nerwowej-również-tam”. – I jeszcze: – „W-całym-ciele-nie-odczuwa-bólu”.

Blug Lugug nadal trzymał się kurczowo myśli, iż skoro cienkonodzy odkryli, że utod potrafi naśladować ich mowę, powinni wykazać się wystarczającą inteligencją, by przerwać swoje doświadczenia. Cokolwiek robili, cokolwiek wyobrazili sobie wewnątrz swych małych szalonych umysłów... niszczyli jego szansę na przejście w stadium padliny. Ponieważ usunęli mu piłą dwie kończyny (kątem zachodzących mgłą oczu obserwował kosz, do którego je włożono) i ponieważ nie rosły tutaj drzewa ammp, możliwość kontynuowania cyklu była wyłącznie iluzoryczna. Blug Lugug stawał oko w oko z nicością.

Wykrzyknął kolejną imitację ich słów, niestety zapomniał o ich ograniczeniach i wydał zbyt wysokie dźwięki w górnym paśmie głosu. Zresztą dźwięki i tak wyszły zniekształcone, gdyż otwory ockpu utocte właśnie zatkało maleńkimi urządzeniami przypominającymi pijawki.

Potrzebował pociechy od Świętego Kosmopolity, swego uwielbianego ojca-matki. Na nieszczęście Kosmopolita zniknął; bez wątpienia też poddawano go gdzieś temu samemu procesowi stopniowego rozczłonkowania. Odeszły gorgi; Blug Lugug pochwycił ich niemal ultradźwiękowe lamentujące krzyki z dalszej części pokoju. Nagle bezsensowność wybuchła w nim ponownie i już nie słyszał gorgów... Chociaż był zdolny do... był zdolny do czego? Znowu coś zniknęło.

Odczuwał zawroty głowy, a w przerwach między nimi dostrzegł, że do postaci w bieli przyłączył się nowy cienkonogi. Mimo oszołomienia utodowi wydało się, że go rozpoznaje. Była to osoba albo ktoś do niej bardzo podobny – która jakiś czas temu odprawiła przy nich rytuał wydalenia.

Teraz osobnik ów zawołał coś i Trzeci Polita wśród narastających fal szoku usiłował powtórzyć ten okrzyk, starając się w ten sposób pokazać, że rozpoznał cienkonogiego:

– „Nie-mogę-patrzeć-jak-robicie-mu-coś-na-co-nikt-nigdy-nie-powinien-był-pozwolić”!

Niestety cienkonogi, jeśli to był ten znany utodowi, nie okazał żadnego znaku rozpoznania. Przykrył przednią część swej górnej głowy rękami i wyszedł szybko z pokoju, niemal jakby...

Znowu pojawiło się uczucie bezsensowności i wszystkie postaci w bieli wpatrzyły się niecierpliwie w swoje urządzenia.

Dyrektor EgzoZoo leżał na swoim teraperacu i wykonywał ćwiczenie polegające na przerwaniu nóg nad głowę. Gdy palce jego nóg zrównały się z głową, zastygł, przez chwilę ssąc glukozową mieszaninę przez rurkę. Uspokajał go pewien młody człowiek, obecnie członek Korpusu Badawczego z dyplomem Odkrywcy, który kiedyś odbywał staż pod kierunkiem Pasztora w EgzoZoo. Gussie Phipps, bo o nim mowa, przyleciał z Makau, by pocieszyć dyrektora.

– Nie jest już pan taki twardy jak kiedyś, panie Mihaly. Powinien się pan przestawić na jedzenie syntetyczne. Posłuży panu znacznie lepiej niż tradycyjne. Wiem, że denerwuje pana wiwisekcja! Ale ile sekcji wykonał pan sam?

– Wiem, wiem, nie musisz mi przypominać. Po prostu poruszyło mnie spojrzenie tego biednego stworzenia leżącego tam na śliskim od krwi stole, powoli ćwiartowanego i patroszonego żywcem i nie okazującego w żaden widoczny sposób bólu czy strachu.

– Fakt, że nie cierpiało, powinien pana raczej pocieszyć niż zasmucić.

– Na litość boską, wiem, że powinien! Jednak to było tak cholernie niesprawiedliwe! Przez moment odnosiłem wrażenie, że ludzkość już zawsze będzie w ten sposób traktować każdy inteligentny opór, jaki kiedykolwiek napotka. – Wskazał ogólnikowo ku wzorzystemu sufitowi. – A może chcę powiedzieć, że pod naukową etykietą stołu wiwisekcyjnego słyszałem dzikie bębny barbarzyńcy z odległej przeszłości, który ciągle bije w nie jak szalony po każdej bitwie. Do czego jeszcze ludzie są zdolni, Gussie?

– Taki wybuch pesymizmu zupełnie mi do pana nie pasuje. Odchodzimy od błota, od pierwotnego szlamu, od zwierzęcości... kierując się ku duchowości. Mamy długą drogę do przejścia, lecz...

– Tak, sam czasem używałem tej wymówki. Że może teraz nie jesteśmy zbyt mili, ale będziemy miłsi kiedyś w jakimś nieokreślonym punkcie przyszłości. Jednak czy to prawda? Czy nie powinniśmy pozostać w błocie? Czy nie byłibyśmy tam zdrowsi fizycznie i na umyśle? A my tylko tłumaczymy się nieuchronnym marszem do przodu, tak jak zawsze. Pomyśl, jak wiele pierwotnych obrzędów nadal nam towarzyszy, skrytych pod kiepskim przebraniem: wiwisekcja, kontrakty małżeńskie, kosmetyki, polowanie, wojny, obrzezanie... Nie, nawet nie chcę myśleć o kolejnych. Kiedy naprawdę osiągamy postęp, okazuje się, że zmierzamy w upiornie fałszywym kierunku... Przykładem chwilowa moda na syntetyczne jedzenie, inspirowana dietetycznym szaleństwem z ubiegłego stulecia i lękiem przed zawałem. Czas się wycofać, Gussie, czas odejść, póki nie jestem jeszcze zbyt stary, zaszyć się w pewnej prymitywnej miejscinie o przyjemnym słonecznym klimacie. Zawsze wierzyłem, że liczba chorych pomysłów rodzących się w ludzkiej głowie jest odwrotnie proporcjonalna do natężenia światła słonecznego.

Zabrzęczał dzwonek do drzwi.

– Nikogo się nie spodziewam – warknął Pasztor z rzadko okazywaną drażliwością. – Idź, Gussie, zobacz, kto przyszedł, a później go przegoń. Chcę posłuchać twojej opowieści o Makau.

Phipps zniknął, po chwili wrócił z zapłakaną Enid Ainson.

Szczypiąc z chwilową wściekłością koniec glukozowego smoczka, Pasztor przyjął mniej odprężającą pozycję i wysunął nogę z terapeutycznego materaca.

– Chodzi o Bruce'a, Mihaly! – Kobieta jawnie płakała. – Bruce zniknął. Jestem pewna, że się utopił. Och, Mihaly, był taki przybity niedawnymi wydarzeniami! Co mam robić?

– Kiedy go ostatnio widziałaś?

– Gdy odleciał „Gansas”, nie mógł znieść hańby. Wiem, że się utopił. Często się odgrażał, że to zrobi.

– Kiedy go widziałaś ostatnio, Enid?!

– Co mam robić? Muszę powiadomić biednego Aylmera!

Pasztor wstał z materaca. Podchodząc do techniwizora, chwycił lekko Phippsa za łokieć.

– Chyba musimy przełożyć pogawędkę o Makau na inną okazję, Gussie – rzucił.

Rozpoczął technirozmowę z policją, a tymczasem stojąca za nim Enid straszliwie się rozszlochała.

* * *

Bruce Ainson znajdował się już jednakże daleko poza jurysdykcją ziemskiej policji.

Dzień po starcie „Gansasa” w przestrzeń rozpoczął się lot, któremu towarzyszył znacznie mniejszy rozgłos. Z małego, lecz wciąż czynnego portu kosmicznego na wschodnim wybrzeżu Anglii, wyruszył w długi kurs przez ekliptykę pewien niewielki statek międzyukładowy. Te statki całkowicie się różniły od statków gwiazdnych i to nie tylko rozmiarem: nie posiadały napędu TP, lecz napęd jonowy, toteż podczas lotu zużywały większość zabieranego paliwa. Latały tylko wewnątrz Układu Słonecznego i większość z tych, które obecnie opuszczały Brytanię, wykorzystywało wojsko.

Statek międzyukładowy „Brunner” nie stanowił wyjątku. Był wojskowym transportowcem, zapchanym po kadłub oddziałami posiłkowymi dla armii uczestniczącej w wojnie angielsko-brazylijskiej na Charonie. Wśród rekrutów był podstarzały, smutny, nijaki facet nazwiskiem B. Ainson, który zatrudnił się jako urzędnik.

Ponury wyrzutek słonecznej rodziny, czyli Charon, znany ogólnie żołnierzom jako Głęboko Zamrożona Planeta, został odkryty przez teleskopy Księżycowego Obserwatorium im. Wilkinsa-Pressmana niemal dwie dekady wcześniej, zanim odwiedził go pierwszy człowiek. Pierwsza Wyprawa na Charona (w której brał udział genialny młody węgierski dramaturg i biolog nazwiskiem Mihály Pasztor) odkryła, że planeta obfituje w blisko miliard konkrecji, jest globem o średnicy około trzystu mil (według najnowszego wydania Brazylijskiego Podręcznika Wojskowego – 307.558 mil, a według jego brytyjskiego odpowiednika – 309.567 mil), globem pozbawionym powierzchniowych osobliwości, o strukturze gładkiej, białej w kolorze, śliskiej i prawie bez właściwości chemicznych, dość, choć nie przesadnie twardej, toteż można się było w nią wwiercić świdrami wysokoobrotowymi.

Stwierdzenie, że Charon nie posiada żadnej atmosfery, było w zasadzie nieścisle. Gładka biała powierzchnia była właśnie atmosferą, zmrożoną w ciągu długich i okropnie nudnych eonów, podczas których Charon, istna kosmiczna kostnica, tyle że pozbawiona ładunku, pchał swe zimne cielsko po orbicie, połączonej dziwnym trafem – który wydawał się czymś więcej niż zbiegiem okoliczności – z pierwszej kategorii gwiazdą zwaną Słońcem. Kiedy atmosferę rozwiercono i przeanalizowano, odkryto, że składa się ona z mieszaniny nieaktywnych gazów zbitych razem w nieznanym i niemożliwym do odtworzenia w ziemskich laboratoriach konfiguracjach cząsteczkowych. Gdzieś pod tą powierzchnią, jak wykazały sprawozdania sejsmograficzne, znajdował się prawdziwy Charon: skaliste i martwe serce o szerokości dwustu mil.

Głęboko Zamrożoną Planetę uznano za idealne miejsce na toczenie wojen.

Chociaż dzięki wojnom często zyskuje handel i ogólnie ożywia się gospodarka, mają one zdecydowanie szkodliwy i przeważnie nieodwracalny wpływ na ludzkie ciało, zatem podczas drugiej dekady dwudziestego pierwszego stulecia wojny zostały skodyfikowane, ujęte w przejrzysty system reguł, wreszcie sklasyfikowane według rangi konfliktu. Wymagały obecnie równie dużych umiejętności taktycznych i mobilności jak gra w baseball oraz biegłości w zakresie prawa nie mniejszej niż uczestnictwo w poważnym sądowym procesie. Ze względu na dręczące Ziemię przeludnienie wojny przerzucono na Charona. Glob poprzecinano olbrzymimi liniami szerokości i długości geograficznej, toteż wyglądał jak niebiańska szachownica.

Ziemia wciąż nie była bynajmniej nastawiona pokojowo, więc wojownicze państwa rezerwowały miejsce na rozstrzygnięcie sporów na Charonie; szczególnym powodzeniem cieszyły się regiony wokół równika, gdzie światło na bitwę było nieznacznie lepsze. Wojna angielsko-brazylijska zajęła Sektory 159-260, przyległe do aktualnego konfliktu Jawa-Gwinea, a toczyła się od roku 2099. Od tego zresztą roku wojnę nazywano konfliktem kontrolowanym.

Reguły konfliktów kontrolowanych były liczne i zawiłe. Na przykład sztywno zdefiniowano możliwą do użycia broń i zakazano udziału w walkach niektórym doskonale wykwalifikowanym osobom, dzięki których wiedzy jedna ze stron mogłaby zyskać „niesprawiedliwą” przewagę. Kary ekonomiczne za złamanie tego typu reguł były bardzo surowe, a z powodu wszystkich tych obwarowań straty wśród walczących również były wysokie.

Skutkiem tego na Charonie istniało stałe zapotrzebowanie na przedstawicieli kwiatu angielskiej młodzieży, lecz w gruncie rzeczy przyjmowano każdego chętnego. Bruce Ainson wykorzystał ten fakt i polecił się zaciągnąć jako mężczyzna bez pozycji społecznej, dzięki czemu schodził z oczu opinii publicznej. Sto lat wcześniej prawdopodobnie przyłączyłby się do Legii Cudzoziemskiej.

Kiedy mały transportowiec o napędzie jonowym niósł go teraz na odległość dziesięciu godzin świetlnych, które dzieliły Ziemię i Charona, Ainson mógłby – gdyby rzecz jasna słyszał go wcześniej – zastanowić się z pogardą nad efekciarskim bon motem Mihaly’ego Pasztora, że liczba chorych pomysłów rodzących się w ludzkiej głowie jest odwrotnie proporcjonalna do natężenia światła słonecznego. Może i faktycznie by się nad frazą Pasztora zastanowił, gdyby tylko warunki na „Brunnerze” pozwalały w ogóle na myślenie: statek od czoła do samego ogona, pokład nad pokładem do niemożliwości zatłoczony był bowiem ludźmi. Stąd też były Główny Odkrywca, podobnie jak jego liczni towarzysze podróży, leciał na Głęboko Zamrożoną Planetę w kompletnym otępieniu.

Rozdział jedenasty

Jednym ze sposobów udowodnienia, że nie jesteś intelektualistą (jeśli oczywiście akurat nim jesteś) było chodzenie z podwiniętymi do łokcia rękawami koszuli w tę i z powrotem po Pokładzie Obserwacyjnym. Wtykasz w usta jeden z tych dużych nowych taninowych meskali i łazisz w tę i z powrotem, śmiejąc się serdecznie z własnych żartów lub dowcipów towarzyszy. Dzięki takiej przemyślanej strategii szeregowcy przychodzący tu pogapić się na kosmos zauważali, że też jesteś człowiekiem.

Zdecydowanym mankamentem tej zalecanej przez dowództwo metody utrzymania emocjonalnej więzi między kadrą oficerską a resztą załogi (jak ocenił Lattimore) okazywało się aż nazbyt często towarzystwo. Aktualnie spacerował wraz z nim Marcel Gleet, drugi oficer nawigacyjny. Byłoby sporą gafą, gafą niemal kosmiczną śmiać się ze słów Gleeta. Gleet był bowiem człowiekiem całkowicie oddanym powadze i dysponował poczuciem humoru na poziomie urzędnika domu pogrzebowego.

– ...Wydaje się konkretną możliwością – mówił drugi nawigator – że gwiazdna gromada, której współrzędne właśnie wymieniłem, może być domem naszego obcego gatunku. W tej gromadzie jest sześć gwiazd, orbituje wokół nich około piętnastki planet. Podczas ostatniej wachty rozmawiałem z Mellorem z Geokred i twierdzi on, że aż sześć z tych planet jest prawdopodobnie typu ziemskiego.

„Cóż, na pewno nie sposób się z tego śmiać”, uznał cierpko Lattimore. Zresztą, chociaż na pokładzie znajdowało się obecnie wielu członków załogi, śmiali się tylko nieliczni; jedynie paru rechotało z przypiętego w centralnym miejscu tablicy ogłoszeń obwieszczenia pani Warhoon.

– Ponieważ wszystkie te sześć ciał typu ziemskiego – kontynuował Gleet – leży w odległości od dwóch do trzech lat świetlnych od Klementyny, wydają się one tworzyć uzasadniony obszar, w którym moglibyśmy kontynuować nasze poszukiwania. Poza tym, owe sześć planet jest od siebie odległych ledwie o dni świetlne, więc możemy je zbadać w krótkim odstępie czasu.

„Może wtrącić choć chichot porozumienia”, pomyślał złośliwie Lattimore.

Gleet kontynuował wykład, aż wreszcie gong dzwonka przypomniał mu powód, dla którego dotarł na Pokład Obserwacyjny, więc odszedł w kierunku nawigacyjnej przegrody kadłubowej. Lattimore zwrócił się ku jednemu z głębokich owalnych iluminatorów i wyjrzał poza kadłub statku, równocześnie słuchając komentarzy grupki stojących za nim trzech mężczyzn.

– „Wkład do przyszłości rodzaju ludzkiego!”. Jak ja to lubię! – zawołał pierwszy, czytając zawiadomienie.

– Tak, ale zauważ, że po tym durnym apelu do lepszej części twojej natury, dodają tekst o pensji na całe życie – odparł drugi.

– Gdybym miał przez pięć lat pozostać sam na obcej planecie, zażądałbym wyższej stawki – dodał trzeci.

– Chętnie bym się zrzucił, żeby się tylko ciebie pozbyć – oświadczył wesoło pierwszy.

Lattimore z rozbawieniem pokiwał głową na tę z pozoru nienawistną odżywkę, choć w gruncie rzeczy stanowiącą jedynie odwieczną formułę zwykłego przekomarzania się poprzez pseudozniewagi. Często zastanawiał się nad tą powszechnie przez ludzi akceptowaną metodą werbalnego ataku, która uchodziła za dowcip. Bez wątpienia stanowiła ona sposób sublimowania napięcia i znużenia człowieka otoczeniem, wciąż tymi samymi twarzami, co szczególnie dawało o sobie znać w długotrwałym zamknięciu. Bo czymże innym mogła być? Lattimore'owi bynajmniej

jednak nie umknęły komentarze pod adresem ogłoszenia Hilary Warhoon. Chociaż sama była oziębła, pomysł miała całkiem dobry. Ponieważ na pokładzie statku było mnóstwo różnych ludzi, całkiem możliwe, że ktoś odpowie pozytywnie na jej propozycję.

Wpatrywał się we wszechświat, który otaczał obecnie „Gansas” (w Buzzardowski sposób). Na tle macicznej ciemności pojawiła się masa bliskich, nieco niewyraźnych snopów światła. Pewnie w podobny sposób pijana mucha postrzegałaby w mroku grzebień: jako pozbawiony definicji nieco tylko jaśniejszy przedmiot atakujący nerw wzrokowy.

W każdym razie, jak wskazywali naukowcy, ludzki nerw wzrokowy był zupełnie nieprzystosowany do percepcji w rzeczywistości TP. Ponieważ prawdziwą naturę wszechświata można było jedynie ujrzeć w „przelocie” poprzez równania transponentne, „prawdziwym wyglądem” gwiazd był właśnie ten niewyraźny obraz, przywodzący na myśl uczucie, którego musi doświadczać maleńki skorupiak w obliczu płetwala błękitnego. „Platon – przemknęło przez myśl Lattimore’owi – powinien był dożyć tej chwili!”.

Odwrócił się i nagle odkrył, że zgłodniał.

Nie ma nic równie dobrego jak syntetyczny gulasz, by ogłosić rozejm między człowiekiem i jego wszechświatem.

* * *

– Ale, Mihaly – mówiła Enid Ainson – od lat... od dnia, gdy Bruce mi ciebie przedstawił, sądziłam, że potajemnie się we mnie durzysz. Chodzi mi o twój wzrok... o sposób, w jaki na mnie patrzyłeś. A kiedy zgodziłeś się zostać ojcem chrzestnym Aylmera... to znaczy... stale dawałeś mi powody sądzić... – Zacisnęła dłonie. – Ty zaś tylko żartowałeś... – jęknęła.

Stał wyprostowany niczym klif powstrzymujący falę jej patosu.

– Może mam naturalnie rycerską postawę wobec pań, Enid, jednak raczej zdecydowanie poniosła cię wyobraźnia. Cóż mogę zrobić poza głębokim podziękowaniem za twoją pochlebną sugestią, tyle że naprawdę...

Niespodziewanie kobieta ostro podniosła głowę. Najadła się już chyba dość wstydu. Nadszedł czas na pokazanie gniewu. Władczo wycelowała palec w mężczyznę.

– Nie musisz mówić nic więcej. Dodam tylko, że myśl o tobie i twoim potencjalnym uczuciu... Jakże często i głupio wyobrażałam sobie, że nie zalecasz się do mnie wyłącznie dlatego, że powstrzymuje cię przyjaźń z Bruce’em. Twoja pusta – jak się teraz okazało – i wyłącznie kurtuazyjna czułość, stanowiła jedyny czynnik trzymający mnie przy zdrowych zmysłach przez ostatnie kilka paskudnych lat.

– Daj spokój, jestem pewien, że wyolbrzymiasz...

– Teraz ja mówię! Widzę właśnie, że wszystkie twoje miny i komplementy, cały ten fałszywy węgierski czar, który roztaczałeś... nic nie znaczą. Jesteś tylko pozorantem, Mihaly, fałszywym romantykiem, który nie lubi romansów, bawidamkiem, który w gruncie rzeczy boi się kobiet. Żegnam cię, Mihaly, i niech cię diabli. Przez ciebie straciłam i męża, i syna.

Drzwi zatrzasnęły się za nią.

Rozmawiali w korytarzu. Mihaly przyłożył dłonie do rozpalonych policzków. Cały się trząsał. Odwrócił oczy od swojego widoku w lustrze.

Straszne było to, że choć zupełnie nie interesował się Enid jako kobietą, Pasztor podziwiał jej charakter, gdyż wiedział, jak trudnym człowiekiem jest Bruce prywatnie i rzeczywiście mimowolnie mógł ją zachęcać ciepłymi spojrzeniami i sporadycznymi uściskami ręki... W czystych intencjach, by jej pokazać, że istnieje ktoś, kto dostrzega jej zalety. Ach, strzeżcie się, naprawdę strzeżcie się

litości!

– Kochanie, czy już poszła?

Kochanka cicho wzywała go z salonu. Bez wątpienia podsłuchiwała całą scenę z Enid. Z niechęcią poszedł wysłuchać jej opinii na ten temat. Czarująca Ah Chi, wróciwszy z malarskich wakacji w Zatoce Perskiej czy gdzie tam była, na pewno dokładnie go wypyta o szczegóły incydentu.

* * *

Tuż po wachcie, w trakcie której Bryant Lattimore poczuł się jak mały skorupiak, u pani Warhoon zjawił się ochotnik. Po rozmowie z nim natychmiast wpadła do wypełnionego molibdenowymi kryształami pomieszczenia Doradcy Lotu. Lattimore skwapliwie skorzystał z okazji i chwycił podeksycytowaną kobietę za ponętne ramiona.

– Bądź konsekwentna, Hilary! – powiedział. – Nie mam ochoty patrzeć, jak moja piękna kosmolektyczka denerwuje się bez powodu. Chciałaś ochotnika, no to go masz. Teraz zrób kolejny krok i przygotuj faceta do wykonania zadania.

Pani Warhoon uwolniła się, choć Lattimore zdążył jej nieco wygnieść ubranie. Ach ci silni, brutalni mężczyźni! Bóg jeden wie, jak Doradca Lotu zachowa się przy następnej okazji, przy następnym metaforycznym „na wschód od Suez”. Na szczęście kobiety miały swoje sposoby obrony. A w najgorszym razie, cóż, trzeba będzie ustąpić.

– Ten ochotnik jest dość szczególny, Lattimore. Mówi ci coś nazwisko Samuel Melmoth?

– Zupełnie nic. Nie, czekaj! Do ciężkiej cholery, to przecież syn Ainsona! Chcesz powiedzieć, że to właśnie on się zgłosił?!

– Jest coraz bardziej niepopularny wśród szeregowców i skutkiem tego czuje się trochę wyobcowany. A ostatnio jeden z jego kompanów z kajuty, nazwiskiem Quilter, podbił mu oko.

– Znowu Quilter, co? Obiecujący materiał na przywódcę. Muszę o nim porozmawiać z kapitanem.

– Chciałabym, żebyś przyszedł i towarzyszył mi, gdy będę instruować młodego Ainsona. O ile nie jesteś zbyt zajęty.

– Hilary, jestem do twojej dyspozycji o każdej porze.

Wystrój biura pani Warhoon stanowił paskudną odmianę stylu urorganicznego (który, jak wszystkie nazwy prądów w sztuce, nosił nazwę tak wieloznaczną lub wewnątrznie sprzeczną, że niemal bezsensowną). Lattimore wkroczył za swoją przewodniczką w świat kolorowych papug. Powiększona dwieście tysięcy razy włóknista tkanka biegła po suficie, podłodze i ścianach, od czasu do czasu układając się w płaskorzeźby. W samym środku pomieszczenia siedział samotnie, sztywno wyprostowany Aylmer Ainson w zielonym mundurze i z pociemniałym okiem na tle szarej twarzy. Na widok wchodzącej pani Warhoon i Lattimore’a wstał.

„Biedny młokos”, pomyślał Doradca Lotu. Zdecydowanie lepiej niż jego towarzyszka rozumiał, że coś tak pospolitego jak podbite oko może doprowadzić tego typu chłopaka do decyzji samotnego pozostania na obcej planecie. Do tego czynu doprowadziła go zresztą cała jego historia... i historia jego rodziców, i wcześniejszych pokoleń aż po pierwszych oszukanych kretynów, którzy zdecydowali, że nie chcą żyć jak zwierzęta, że takie życie nie jest dla nich dość dobre; podbite oko stanowiło jedynie ostateczny argument. Czy ktoś pokusiłby się o stwierdzenie, że napaść była przypadkowa? Może biedny chłopiec musiał sprowokować atak, by się upewnić, że zgodnie z jego podejrzeniami, zewnętrzny świat jest agresorem.

„Gdzieś – pomyślał Lattimore (w równej mierze z dużym samozadowoleniem, jak i z trwogą) moje wychowanie musiało obrać zły obrót, w przeciwnym razie nie znalazłbym tak wiele sensu w odpowiedzi dzieciaka na nasze ogłoszenie.

– Proszę siadać, panie Melmoth – zagaiła pani Warhoon miłym głosem, który Lattimore’owi wydał się osobliwie nieprzyjemny. – To Doradca Lotu, pan Lattimore. Nikt lepiej od niego nie zna problemów porozumienia się z poobami i chętnie udzieli ci wskazówek w kwestii twojego późniejszego zachowania.

– Dzień dobry panu – odezwał się młody Ainson, błyskając podpuchniętym okiem.

– Najpierw trochę tła – podjęła pani Warhoon z pewnym siebie, ujmującym uśmiechem – aby cię wprowadzić w temat, jak to mówią. Kiedy wyjdziemy z lotu TP, znajdziemy się w gwiazdnej gromadzie, liczącej co najmniej piętnaście planet, z których sześć... sądząc po zdalnym pomiarze techn wizyjnym przeprowadzonym przez „Mariestopes”... posiada atmosferę typu ziemskiego. Wiesz z pewnością, że naszych obcych znaleźliśmy obok kosmicznego pojazdu. Mamy nadzieję wkrótce ustalić, czy należał do nich, czy też do jakiegoś innego gatunku z nimi sprzymierzonego. Każda z tych opcji sugeruje, że być może w tej właśnie gromadzie istnieje cywilizacja, a może jest ich więcej... zdolna do odbywania podróży kosmicznych. Co za tym idzie, prawdopodobnie będziemy musieli spenetrować wszystkie tamtejsze potencjalnie zamieszkałe planety. Zaplanowano jeszcze przed opuszczeniem Ziemi, że na pierwszej planecie, na której znajdziemy obcych, powinniśmy stworzyć stanowisko obserwacyjne. Mnie jednak przyszedł do głowy pewien pomysł, na którego realizację zgodził się już kapitan Pestalozzi. Polega on – mówiąc wprost i bez ogródek – na pozostawieniu ochotnika na stanowisku obserwacyjnym. Wyposażymy go w zapasy oraz syntezatory pożywienia, a tubylcy – wnosząc z zachowania pojmanych wcześniej okazów – z pewnością nie będą wrogo nastawieni, toteż ochotnik będzie zupełnie bezpieczny i nie grozi mu żadne ryzyko. Rozumiem, że zgodziłeś się zostać tym ochotnikiem.

Bezpieczna wśród jaskrawych papuzich barw i na statku pełnym ludzi, cała trójka posłała sobie uprzejme uśmiechy.

„Czy młodzieniec wyczuł – spytał się w myślach Lattimore – kłamstwo w słowach pani Warhoon? Któż może wiedzieć, jakie piekło są zdolne stworzyć nososrale na rodzinnej planecie, któż może wiedzieć, czy nie mieszkają tam istoty żywiące się ludźmi, istoty, które używają nososrali dokładnie do tego, do czego my używamy uszlachetnionych duńskich świń rasy Landrace? I jeszcze jedna wątpliwość, już od jakiegoś czasu dręcząca Lattimore’a: kto wie, jakie piekło ten młokos, to wcielenie świętego Antoniego, stworzy dla siebie w swojej dziczy?”. Niewiadomych było wiele i rozwoju wypadków doprawdy nie sposób było przewidzieć.

– Naturalnie, wyposażymy cię również w broń – wtrącił, świadom po błysku oka pani Warhoon, że uznała ona tę uwagę za swego rodzaju zdradę.

Zacisnąwszy wargi, wróciła do Ainsona: – Teraz nasze oczekiwania. Chcielibyśmy, młodzieńcze, abyś nauczył się porozumiewać z obcymi.

– Ale ekspertom na Ziemi to się nie udało. Spodziewacie się, że ja...

– Przeszkolimy pana, panie Melmoth. Zostało jeszcze dziewięć dni lotu, za tyle wyłączymy napęd TP. Przez dziewięć dni sporo się można nauczyć. Na Ziemi nie udało się nawiązać porozumienia, być może z powodu odmiennych warunków naturalnych, natomiast na rodzimej planecie obcych, w ich własnym środowisku... zadanie wydaje się znacznie łatwiejsze. We własnym świecie obcy powinni być znacznie bardziej komunikatywni. Sądzymy, że cuda Ziemi, na przykład wielkość naszych statków kosmicznych i ogólnie nasze techniczne zaawansowanie, częściowo je sparaliżowały i może dlatego stworzenia nie reagowały na nasze pytania. Jak pan może wie, dokonaliśmy dokładnej sekcji na sześciu obcych. Nasze okazy były w różnym wieku: jedne młode, inne stare. Z analizy ich tkanki kostnej wywnioskowaliśmy, że dożywają kilkuset lat. Ich odporność na ból dodatkowo potwierdza tę teorię. A jeśli żyją tak długo, to można założyć, iż odpowiednio długie mają też dzieciństwo i okres

dojrzewania.

– Przejdę teraz – podjęła po chwili – do następnego punktu. Najlepszy potencjał do nauki przedstawiciele większości gatunków – w tym także zwierzęcych – posiadają właśnie we wczesnym okresie, w dzieciństwie. Jak dotąd w całej Galaktyce reguła ta zawsze się potwierdzała. Ziemskie dzieci, które z powodu jakiegoś nieszczęśliwego wypadku nie nauczą się do dwunastego, trzynastego roku życia żadnego języka, potem okazują się zbyt stare, by jakiś sobie przyswoić. Sprawdzono to wielokrotnie wśród dzieci, które... pamiętam takie przypadki w Indiach... które wychowali ślubujący milczenie mnisi czy nawet wilki. Gdy okres dzieciństwa minie, dzieci tracą dar mowy. Rozważyłam tę kwestię, panie Melmoth i doszłam do wniosku, że pozaziemscy mogliby się nauczyć naszego języka jedynie we wczesnych latach życia. Pańskie zadanie będzie polegać na maksymalnym zbliżeniu się do jednego z takich młodych potomków obcych. Może... wcale nie zaprzeczamy, że istnieje takie ryzyko... może okaże się, iż nie sposób się z tymi stworzeniami w ogóle porozumieć. Musimy jednakże zyskać pewność. Gdy zostawimy już pana na wybranej planecie, polecimy zbadać inne światy w tej gromadzie. Nie wątpię, że uda nam się pochwycić grupę obcych, których zabierzemy ze sobą na Ziemię. Albo założymy bazę na którejś z planet o odpowiednich warunkach. Tymczasem pan staje się moim najważniejszym projektem.

Przez moment Aylmer się nie odzywał. Zastanawiał się nad kwestią przypadku i tego, jak szybko potrafi on diametralnie odwrócić bieg ludzkiego życia. Zaledwie tak niedawno on, Aylmer Ainson, tkwił mocno uwikłany w sieć osobistych zależności stworzonych przez jego ojca, matkę, dziewczynę i – w mniejszym stopniu – wujka, Mihaly'ego. Teraz, gdy stał się cudownie wolny, pragnął zadać tylko jedno pytanie:

– Na jak długo pozostawicie mnie na tej planecie?

– No cóż, nie dłużej niż na rok, to panu obiecuję – odrzekła Hilary. Jego uśmiech sprawił jej ulgę. Znowu wszyscy się do siebie uśmiechnęli, chociaż obaj mężczyźni wyglądali na skrepowanych.

– Jak się panu podoba projekt tej bezprecedensowej misji? – spytała życzliwie Aylmera pani Warhoon.

„Do diabła, powiedz jej, że sobie uświadamiasz, jak bardzo i jak nonsensownie nadstawiasz karku, by chronić nasze tyłki – pomyślał Lattimore, bawiąc się metaforą, którą wymyślił kilka dni wcześniej. – Powiedz jej, człowieku, że nie możesz sobie pozwolić na zapłacenie tak wysokiej ceny za katharsis, którego potrzebujesz. Albo spójrz na mnie i poproś wzrokiem o pomoc, a ja przemówię w twoim imieniu”.

Chłopak rzeczywiście popatrzył na Doradcę Lotu, lecz w jego spojrzeniu była raczej duma i podniecenie, niż błaganie o wsparcie.

„Okej – ocenił z rezygnacją Lattimore. – Więc moja diagnoza okazała się kompletną fuszerką. Facet ewidentnie jest bohaterem, a nie potencjalnym pacjentem psychoanalityka. Ten młokos najwyraźniej wie, na co się porywa i koniecznie chce przejść do historii”.

– Czuję się ogromnie zaszczycony, że otrzymałem to zadanie – podsumował Aylmer Ainson.

Rozdział dwunasty

Niczym ostro skarcony pies, wszechświat potulnie przybrał swoją tradycyjną formę. Już nie sprawiał, że „Gansas” go okrążał, teraz znowu kosmos otaczał duży statek, który z nosem uniesionym wysoko ku górze osiadł na planecie.

Na cześć kapitana statku planetę ochrzczono Pestalozzi, choć nawigator Gleet zauważył, iż istnieją przyjemniejsze nazwy.

Na Pestalozzi wszystko było piękne.

Powietrze planety zawierało właściwą domieszkę tlenu na poziomie ziemskim, nie stwierdzono też obecności jakichkolwiek wyziewów, które mogłyby zaszkodzić ziemskim płucom. Co ważniejsze – a mieli na to słowo MedSekcji – nie było tu żadnych bakterii czy wirusów, z którymi MedSekcja nie potrafiłaby sobie w razie konieczności poradzić.

„Gansas” wylądował blisko równika. Temperatura w południe nie przekraczała dwudziestu stopni Celsjusza, ale za to w nocy nie spadała poniżej dziewięciu.

Okres obrotu wokół osi z grubsza pokrywał się z ziemskim, toteż – co znacznie ułatwiało aklimatyzację – doba wynosiła tu dokładnie dwadzieścia cztery godziny i dziewięć minut. Fakt ten jednak oznaczał, że punkt na równiku przemieszcza się szybciej niż odpowiedni punkt na Ziemi, ponieważ Pestalozzi miała jedną jedyną, ale za to wielką wadę – była światem o znacznej grawitacji.

Ustalono, że w połowie dnia ludzie powinni wypoczywać, a większość załogi zaczęła się ochotniczo odchudzać. Z powodu ogromnej siły ciężkości siedemdziesięciokilogramowy chuderlak ważył na równiku Pestalozzi dwieście dziesięć kilo.

Istniały oczywiście rekompensaty za to wyniszczające potrojenie, a jedną z nich było odkrycie obcych.

Kiedy statek wylądował, przez dwa dni urządzenia „wachały” powietrze, obserwowały emisje słońca, sprawdzały przygruntową radioaktywność, magnetyczne batytermy i inne zjawiska. W końcu „Gansas” wysłał małe statki zwiadowcze, które miały nie tylko zbadać otoczenie, ale także rozładować kosmofobiczne nastroje wśród załogi.

Za sterami jednego z tych statków usiadł Słodziutki. Leciał według instrukcji Lattimore’a. Doradca Lotu znajdował się w stanie potężnego podniecenia, które udzieliło się siedzącemu obok niego szeregowcowi, Hankowi Quilterowi. Obaj chwycili za balustradę i gapili się na brązowy ład marszczący się pod nimi niczym bok ogromnego, szybko galopującego zwierzęcia...

„Zwierzęcia, które nauczymy się oswajać i które ujeździmy”, pomyślał Lattimore, próbując zanalizować duszące uczucie w piersi. Właśnie przeżycie odkrywania nowej planety, całe mnóstwo drugorzędnych pisarzy starało się opowiedzieć w ubiegłym stuleciu jeszcze przed rozpoczęciem podróży kosmicznych i – o rany! – wymyślili znacznie więcej, niż później się potwierdziło. Ponieważ w gruncie rzeczy nie da się przewidzieć, jak czuje się osoba, która naprawdę doświadcza w swoich komórkach ucisku innego od ziemskiego ciężenia albo przemierza łazikiem powierzchnię planety jako pierwszy człowiek w historii...

To uczucie... jakby niespodziewanie odzyskało się dzieciństwo, kiedy każda rzecz była nowa i ekscytująca. Kiedyś, dawno temu poszedłeś za krzewy lawendy w dolnej części ogrodu i nagle z dobrze znanej krainy trafiłeś do świata tajemnic, wszedłeś na terra incognita. Teraz przeżywasz ponownie coś podobnego, a każde źdźbło trawy to lawendowy krzak.

Przywołał się do porządku.

– Zawis – polecił. – Przed nami obce życie.

Zawiśli. Pod nimi płynęła szeroka, leniwa rzeka, po obu brzegach porośnięta grządkami sałaty. W osobnych grupach nososrale pracowały lub chroniły się za drzewami. Lattimore i Quilter popatrzyli na siebie.

– Posadź statek – rozkazał Doradca.

Słodziutki posadził statek delikatniej, niż kiedykolwiek dotykał kobietę.

– Na wypadek kłopotów trzymajcie w pogotowiu karabiny – powiedział Lattimore.

Podnieśli karabiny i ostrożnie wysiedli na ziemię. W tej grawitacji łatwo mogły im popękać kostki, mimo pośpiesznie wynalezionych stelaży ochronnych, które aż do wysokości ud wszyscy nosili pod spodniami.

Linia drzew znajdowała się około osiemdziesięciu jardów na zachód od nich. Trzech mężczyzn skierowało się ku niej, wybierając drogę przez rzędy uprawnych roślin, które przypominały sparzoną sałatę, tyle że ich liście były wielkie i szorstkie jak liście rabarbaru.

Drzewa okazały się ogromne i godne uwagi głównie ze względu na zniekształcone pnie. Były jakby nadęte i rozłożyste, a każde miało dwie korony, toteż kształtem przypominały obcych o pulchnych ciałach i dwóch spiczastych głowach. Z wierzchołków wyrastały im ku dołowi korzenie napowietrzne, z których wiele wyglądało jak szorstkie palce. Wyrósłe w silnej turbulencji listowie jeżyło się na koronach i Lattimore znowu poczuł dreszcz podziwu. Istnienia równie fantastycznych roślin jego znużony umysł nawet nie brał dotąd pod uwagę.

Kiedy we trzech ruszyli ku tym drzewom, trzymając karabiny w pogotowiu, ze skłębionego listowia wzleciały w powietrze czteroskrzydłe ptaki – podobne motylom, lecz rozmiaru orłów. Przez chwilę krążyły nad drzewami, po czym oddaliły się ku niskim wzgórzom na drugim brzegu rzeki. Pod drzewami stało pół tuzina nososrali, obserwując z uwagą zbliżających się ludzi. Lattimore rozpoznał ich zapach, tym niemniej zdjął palec z cyngla karabinu.

– Nie uświadamiałem sobie, że są aż takie duże – zauważył cicho Słodziutki. – Czy nas zaatakują? Nie zdołalibyśmy uciec... Może lepiej wrócić na statek zwiadowczy?

– Same wyglądają na gotowe do ucieczki – odparł Quilter i wytarł dłonią wilgotne wargi.

Lattimore już wcześniej doszedł do wniosku, że łagodne kiwanie głowami nie oznacza u obcych niczego więcej poza ciekawością, a jednak cieszyło go, że Quilter równie mocno jak on sam panuje nad sytuacją.

– Idziemy dalej, Słodziutki – rzucił.

Słodziutki wszakże obejrzał się przez ramię na mały statek i nagle krzyknął:

– Atakują nas od tyłu!

Siedmiu obcych, w tym dwa wielkie osobniki o szarej skórze, z zaciekawieniem zbliżyło się do statku zwiadowczego. Dzieliła ich od niego już tylko odległość kilku jardów. Słodziutki podniósł karabin do bioder i wypalił.

Za pierwszym razem chybił, za drugim jednakże trafił w cel. Usłyszeli, jak kula uderza z siłą równoważną siedemnastu tonom trotylu. Jeden z dużych szarych nososrali przewrócił się z wielką dziurą w gładkich plecach.

Inne stworzenia ruszyły do ранnego towarzysza. Słodziutki najwyraźniej zamierzał strzelić znowu.

– Wstrzymaj ogień! – wrzasnął Lattimore.

Jego krzyk przerwał odgłos strzału, tym razem z karabinu Quiltera. Ciało jednego z mniejszych obcych stojących przed nimi niemal wybuchło, a jedna głowa i ramiona po prostu się urwały.

Lattimore'owi napięły się wszystkie ścięgna szyi i mięśnie twarzy. Dostrzegł, że reszta głupich stworzeń tkwi bezmyślnie w miejscu. Były skonsternowane, lecz w żaden sposób nie okazywały

strachu czy gniewu, a już na pewno żadnej skłonności do ucieczki. Rzeczywiście niczego nie odczuwały! Ale przecież jeśli wcześniej nie wyczuwały zagrożenia ze strony ludzi, teraz powinny się nauczyć na błędach. Nie istniał gatunek, który nie bał się broni człowieka. A te stwory potrafiły jedynie służyć jako cele.

Lattimore podniósł karabin. Była to krótka broń ze składaną rękojeścią, częściowo wytłumiona, o złagodzonej odrzucie. Można było z niej strzelać automatycznie albo kulami kalibru 50 milimetrów. Lattimore wystrzelił niemal równocześnie z ponownym strzałem Quiltera.

Stali ramię w ramię i strzelali, aż po siódemce obcych pozostały tylko wielkie krwawe strzępy. Słodziutki coś do nich krzyczał. Lattimore i Quilter popatrzyli po sobie i odkryli, że robią identyczne miny.

– Jeśli wsiądziemy do statku zwiadowczego i polecimy nisko, może uda nam się je wystraszyć, a wtedy będziemy mieli ruchomy cel – oświadczył Lattimore, po czym połą koszuli wypolerował zaszłe mgłą okulary.

Quilter wytarł wargi grzbietem dłoni.

– Ktoś powinien nauczyć te głupie tłuściochy, jak się ucieka – przyznał.

* * *

Tymczasem Pani Warhoon stała wprost oniemiała w obliczu doskonałości. Kapitan zaprosił ją na pokład swojego statku zwiadowczego i właśnie wylądowali, by zbadać coś, co z góry wyglądało na zapuszczone ruiny w samym środku kontynentu równikowego.

Właśnie tam znaleźli wreszcie przekonujące dowody inteligencji obcych: kopalnie, odlewnie, rafinerie, rozmaite fabryki, laboratoria i lotniska. Wszystkie urządzenia były nieco prymitywne, mniej więcej na poziomie chałupnictwa, a cały proces przemysłowy kojarzył się raczej ze sztuką ludową. Statki kosmiczne także wykonywano ręcznie. Przechodząc nie zaczepiani wśród parszających obcych, grupka ludzi uzmysłowiła sobie, że ma do czynienia z gatunkiem o niewyobrażalnie dla człowieka długiej historii. Zewsząd otaczały ich pomniki starożytności, przy których ziemską cywilizacja wydawała się być ledwie w stadium niemowlęcym.

Kapitan Pestalozzi zatrzymał się i zapalił meskala.

– Zdegenerowanie – ocenił. – Ten gatunek ewidentnie podupada, nie ma co do tego wątpliwości.

– Dla mnie nie jest to wcale takie oczywiste – odparła Hilary Warhoon. – Znajdujemy się zbyt daleko od Ziemi, by cokolwiek było oczywiste.

– Musi się pani tylko dokładnie wszystkiemu przyjrzeć – rzucił kapitan. Niewiele sympatii żywił dla pani Warhoon. Wydawała mu się zbyt przemądrzała, toteż gdy odeszła od grupy, poczuł jedynie lekką ulgę.

Właśnie wtedy замуrowało ją na widok doskonałości.

Stało tu w rozproszeniu kilka budynków zbudowanych w dość swobodnym stylu architektonicznym. Wszystkie ściany pochylały się do środka ku krągłym dachom. Postawiono je albo z cegieł, albo z precyzyjnie ukształtowanych kamieni, a każdy fragment wymodelowano tak, by łączył się z pozostałymi bez potrzeby użycia zaprawy murarskiej czy innego spoiwa. Rozstrzygnięcie, czy styl ów narzucała grawitacja 3G, czy też kaprys artystyczny, pani Warhoon postanowiła sobie zostawić na później. Nie podobały jej się prostackie oceny niedouczzonego kapitana. Myśląc o nim, weszła do pierwszej z brzegu budowli, bynajmniej nie bardziej wyszukanej od sąsiednich i tam zobaczyła posąg.

Był po prostu idealny!

Jednakże perfekcja to zimne słowo, zaś posąg miał w sobie równocześnie ciepło oraz

ponadczasową aurę arcydzieła.

Gardło Hilary ścisnęło się, gdy obchodziła posąg.

Bóg jeden wie, co robił w tej śmierdzącej dziurze.

Przedstawiał obcego. Hilary wiedziała też na pewno, że wyrzeźbił go jeden z nich, nie potrafiła natomiast powiedzieć, czy został stworzony wczoraj czy też trzydzieści sześć stuleci temu. Zastanowiła się nad bezwiednie wybranym wiekiem. W Egipcie byłyby to okres osiemnastej dynastii. Z tamtego czasu pochodziła statuetka siedzącej postaci, przy której Hilary często rozmyślała w British Museum. Oba dzieła wyrzeźbiono z ciemnego granitu; miały też wiele innych wspólnych cech.

Obcy stał w doskonałej równowadze na sześciu kończynach. Jedna z jego spiczastych głów wznosiła się nieco wyżej od drugiej. Między lekką krzywizną grzbietu a parabola brzucha tkwiło jego wielkie symetryczne cielsko. Hilary poczuła osobliwą pokorę na myśl, że przebywa z tą istotą w jednym pomieszczeniu. Posąg był piękny. Hilary potrafiła tę opinię uzasadnić – był piękny, gdyż uosabiał pogodzenie humanizmu z geometrią, osobistego z bezosobowym, ducha z ciałem.

Pani Warhoon zadrżała pod mundurem. Zrozumiała nagle wiele spraw, których dotąd – chociaż były ważne – szaleńczo nie chciała dostrzec.

Ujrzała teraz jasno, że ma do czynienia z rasą cywilizowaną, która osiągnęła dojrzałość, podążając zupełnie inną ścieżką od ludzkiej. Ponieważ rasa ta od samego początku aż do teraz (prawdopodobnie bez dłuższych przerw) nigdy nie znalazła się w konflikcie z naturą i naturalnym środowiskiem. Trwali w pełnym porozumieniu z nią i w szacunku dla niej. Skutkiem tego ich droga ku umiejętnościom oddanym w tym ukształtowanym granicie (rzeźbie stworzonej przez filozofa i rzeźbiarza w jednym, przez istotę z dłutem, ale i istotę duchową) była walką z naturalnym stanem spoczynku (który wielu nazwałoby odrętwieniem). Tymczasem walka człowieka na ogół była walką zewnętrzną, walką przeciw siłom, które w jego mniemaniu stawiały mu opór.

Niemal w tym samym momencie, kiedy pani Warhoon zrozumiała to wszystko z porażającą pewnością – ale rzecz jasna zanim ubarwiła stylistycznie swoje przemyślenia w raporcie – uświadomiła sobie również, iż rodzaj ludzki od początku wybrał niewłaściwy sposób kontaktów z obcymi i nadal prawdopodobnie nie był w stanie zaakceptować rodzaju inteligencji, jaką reprezentowali: ponieważ na tej planecie istniała równowaga, która ani się nikomu nie sprzeciwiała, ani przed nikim nie „uciekała”. Rasa ta była człowiekowi mentalnie obca, jako że nie doznawała ani bólu, ani strachu.

Hilary otoczyła ramieniem posąg i przycisnęła skroń do jego wypolerowanego boku.

Płakała.

Ponieważ wszystkie te spostrzeżenia – które przyszły jej do głowy niemal automatycznie, gdy pierwszy raz obchodziła posąg – były głównie intelektualne i zniknęły równie szybko, jak się pojawiły, teraz oceniła posąg emocjonalnie i po kobiecemu.

Dostrzegła w nim głęboki humanizm. To ten humanizm wyzwolił w niej skojarzenie z egipską rzeźbą. Chociaż dzieło przedstawiało istotę bardziej obcą gatunkowi ludzkiemu od najmniej znanych mitologicznych maszkar, z pewnością miało w sobie humanizm czy też cechę, którą ludzkość nazywa humanizmem. Tę jakoś ludzkość jakoś utraciła. Hilary płakała nad ową stratą: jej stratą, stratą każdego człowieka.

Nagle w jej melancholię wtargnęły odległe krzyki, a za nimi wystrzały, gwizdy i lament obcych. Kapitan Pestalozzi miał kłopoty lub te kłopoty powodował.

Ze zmęczeniem wstała i odrzuciła włosy z czoła. Powiedziała sobie, że jest głupia. Nie patrząc ponownie na posąg, skierowała się do drzwi budynku.

Cztery dni później „Gansas” były gotów wyruszyć na następną planetę.

Po doświadczeniach pierwszego dnia, mimo dość histerycznego protestu pani Warhoon, niemal powszechnie zgodzono się, że obcy są zdegenerowaną formą życia, w gruncie rzeczy nawet niższą umysłowo od najprymitywniejszych ziemskich ssaków, toteż traktowano je jak zwierzynę łowną, a polowania poprawiały załodze humory. Jedno – czy dwudniowa strzelanka nikomu przecież nie zaszkodzi.

I faktycznie morale załogi szybko rosło, niebawem okazało się jednak, że na Pestalozzi mieszka tylko kilkaset tysięcy sześcionogich stworzeń, zbierających się wokół bajor i sztucznie utworzonych bagien. Niektóre nawet zaczęły się zachowywać, jakby się obraziły na starego Adama w swoim obcym Edenie i zaczęły uciekać. Tym niemniej sporo osobników schwytano i sprowadzono na pokład „Gansasa”. Zabrano też odkryty przez panią Warhoon posąg oraz twory rozmaitej natury i wiele okazów życia roślinnego.

Na planecie nie mieszkało zbyt wielu innych przedstawicieli świata zwierzęcego: trochę rozmaitych gatunków ptaków, sześcionożne gryzonie, jaszczurki, opancerzone muchy, w rzekach i oceanach – ryby i skorupiaki, w regionach arktycznych – interesujące ryjówki; te ostatnie wydawały się wyjątkiem od reguły dotąd wszędzie we wszechświecie obowiązującej, jako że małe ciepłokrwiste zwierzęta teoretycznie nie są w stanie przetrwać w takich ekstremalnych warunkach. I to była niemal cała fauna. Sekcja Egzo metodycznie zbierała okazy i transportowała je na statek.

W końcu „Gansas” był gotów przejść do następnego etapu rekonesansu.

Hilary Warhoon poszła z kapelanem statku, doradcą Lattimore’em i Quilterem (który awansował na nowe stanowisko asystenta Lattimore’a), by pożegnać Samuela Melmotha, alias Aylmera Ainsona, zostającego w zbudowanej palisadzie.

– Mam tylko nadzieję, że nic mu się nie stanie – mruknęła pani Warhoon.

– Niepotrzebnie się martwisz. Facet dostał dość amunicji, by wystrzelać wszystko, co żyje na tej planecie – odparł Lattimore.

Irytował go niespodziewany sukces w stosunkach z tą kobietą. Pierwszego dnia na Pestalozzi zaczęła się nagle spoufalać i wręcz sama wlaźła mu do łóżka, a równocześnie zrobiła się płacziwa i nerwowa. Lattimore uważał, że potrafi sobie radzić z kobietami, ale potrzebował potwierdzenia, że ktoś docenia jego starania.

Stał przy bramie palisady, z rękoma założonymi na podporach udowych i z niejasnego powodu czuł się osobliwie skrzywdzony przez wszechświat. Dlaczego ktoś inny nie mógł pożegnać młodego Ainsona? Co do niego, miał Ainsonów raz na zawsze dość.

Wzmocniona drucianą siatką palisada tworzyła mur wysoki na osiem stóp wokół dwóch kwadratowych akrów ziemi. Przez teren płynął strumień. Podczas jej stawiania budowniczowie zrobili trochę szkód, podeptali roślinność i połamali drzewa, jednak poza tym teren przedstawiał typowy dla Pestalozzi krajobraz. Przy strumyczku zaczynało się bajoro, które ciągnęło się do jednego z tutejszych niskich domów. Grządki sałaty i innych warzyw rosły obok bajora, a cały obszar był przyjemnie osłonięty ogromnymi drzewami.

Za drzewami zbudowali automatyczny posterunek obserwacyjny, którego radiowy maszt celował wdzięcznie w niebo, a obok niego – ośmiopokojowy budynek z prefabrykatów, zaprojektowany jako lokum Ainsona. Dwa pokoje tworzyły przestrzeń mieszkalną, pozostałe mieściły aparaturę, której Aylmer mógłby potrzebować do rejestrowania i interpretacji obcego języka, zbrojownię, zapasy medyczne i inne, elektrownię oraz syntezator jedzenia, zdolny przetwarzać na pożywienie wodę, ziemię, skałę czy cokolwiek innego.

Obok bazy Ainsona, trzymana osobno i mocno speszona, siedziała dorosła obca istota płci żeńskiej z potomkiem. Oba osobniki schowały wszystkie kończyny. „Życzę wam wszystkim powodzenia – pomyślał Lattimore – i wynośmy się wreszcie stąd”.

– Może znajdziesz tu spokój, mój synu – odezwał się kapelan, biorąc Ainsona za rękę i żarliwie ją ściskając.

– Pamiętaj, że podczas swojego roku izolacji zawsze będzie przy tobie obecny Bóg.

– Oby twoja misja się powiodła, Melmoth – dodał Lattimore – i do zobaczenia za rok.

– Adios, Sam. Przepraszam, że ci podbiłem oko, stary – rzucił rubasznie Quilter, klepiąc Aylmera po plecach.

– Jesteś pewien, że niczego więcej nie potrzebujesz? – spytała pani Warhoon.

Ainson pożegnał się ze wszystkimi po kolei, po czym się odwrócił i pokuśtykał do nowego domu. Młodzieńca wyposażono w pomysłowe kule niwelujące nieco skutki zwiększonej grawitacji, niestety jeszcze się do nich nie przyzwyczał. Wszedł do pokoju, ułożył się na łóżku, złożył ręce za głowę i słuchał, jak jego dawni towarzysze odlatują.

Rozdział trzynasty

„Gansas” (a ściśle rzecz biorąc pracujące na nim zespoły ludzi) znalazł mnóstwo cudownych rzeczy. W historii ludzkości nauka rzadko kiedy dostała naraz tyle nowych danych.

Zanim statek wystartował, ekipa współdziałająca z nawigatorem Marcelem Gleetem zakończyła obliczenia, które ujawniły niezwykle anomalie orbity planety Pestalozzi.

W tym czasie noce były łagodne i wizualnie piękne. Kiedy słońce w kolorze szafranu tonęło na zachodnim horyzoncie, wydłużające się cienie pękały na dwoje, gdyż na południu wschodziła jaskrawożółta gwiazda. Gwiazda ta, chociaż gołym okiem nie było widać dostrzegalnego dysku, świeciła prawie równie jasno jak ziemski księżyc w pełni. A po kilku godzinach jej wędrówki, jeszcze zanim zaszła za horyzont, pojawiała się kolejna gwiazda, nie dopuszczając do zapadnięcia ciemności. Ta ostatnia była cudownie biała i płonęła aż do rana, blednąc dopiero, gdy słońce w kolorze szafranu świeciło już na tyle jasno, by z powrotem przejąć swe obowiązki.

Gleet, jego towarzysze i ich komputery odkryli, że białe, żółte i szafranowe słońca kształtowały potrójny układ i obracały się wokół siebie. Co kilka lat podchodziły do siebie na tyle blisko, że przecinały się z orbitą Pestalozzi. Przyciągnięta przez masę dwóch gwiazd planeta, odrywała się od siły przyciągania swego dotychczasowego słońca i wchodziła na orbitę jednego z pozostałych. Gdy za następne kilka lat dochodziło do tego samego układu, planeta skupiała się wokół trzeciego słońca, a później znowu wracała do pierwotnego. Całość cyklu wyglądała jak taniec z zamianą partnerów.

Odkrycie to wyjaśniło nie tylko szereg zagadek natury naukowej, na które dotąd ludzie nie znali odpowiedzi. Tłumaczyło również między innymi nadzwyczajną odwagę obcych, gdyż amplituda temperatur, które musieli wytrzymywać, oraz kataklizmowa natura wstrząsu spowodowanego ciągłą zmianą słońc należały do osobliwych zjawisk, na które człowiek prawdopodobnie reagowałby jedynie strachem.

Jak zauważył Lattimore, już ten astronomiczny fakt sam w sobie mógł wyjaśniać beznamiętne usposobienie i odporność na ból. Obcy egzystowali w warunkach, które zahamowałyby rozwój ziemskiego życia już u jego zarania.

Kontynuując rekonesans, „Gansas” wylądował na czternastu innych planetach w gromadzie sześciu słońc. Na czterech z tych planet człowiek mógłby żyć całkiem wygodnie, a na trzech spośród owych czterech, warunki uznano za idealne. Te najbardziej wartościowe dla człowieka nazwano (wymógł to na kapitanie kapelan): Planetą Rodzaju, Planetą Wyjścia i Planetą Liczb (ponieważ uznano, że nikt nie tolerowałby nazwy Planeta Kapłańska*).

Na tych światach, a także na czterech innych, gdzie klimat bądź atmosfera były dla człowieka nieprzyjemne, znaleziono obcych. Chociaż ich populacja była stosunkowo niewielka, ustalono, iż niewątpliwie są równie wytrzymałe, jak te napotkane wcześniej.

Na nieszczęście, zdarzały się też niemiłe incydenty. Na Planecie Rodzaju grupa obcych o pomarszczonej skórze otrzymała pozwolenie wejścia na pokład „Gansasa”. Pani Warhoon nalegała, by wprowadzić je na pokład komunikacyjny, gdzie usiłowała się z nimi porozumieć, częściowo używając dźwięków i znaków, częściowo przy pomocy obrazków, które Lattimore i Quilter pokazywali na ekranie. Hilary naśladowała dźwięki obcych, a oni – jej głos. Zapowiadało się obiecująco, niestety nagle do uszu obcych gości dotarły odgłosy wydawane przez ich towarzyszy trzymany na pokładzie poniżej.

Pozaziemskie istoty natychmiast zaczęły uciekać. Quilter dzielnie próbował zagrozić im drogę i o

mało nie został przez nie stratowany, a upadając, złamał sobie rękę.

Podczas ucieczki obcy utknęli w windzie i trzeba ich było eksterminować. Ten nieszczęśliwy wypadek rozczarował wszystkich na pokładzie.

Na jednej z planet o znacznie surowszym klimacie, gdzie – jak oceniono po wstępnych pomiarach – człowiek mógłby jako tako przeżyć co najwyżej przez krótki czas, doszło do jeszcze gorszego zdarzenia.

Planetę tę nazwano Gansas. Była ostatnią wyznaczoną do penetracji i można by powiedzieć, że wieści o człowieku poprzedziły jego przybycie na nią.

Na odległym i skalistym płaskowyżu półkuli północnej żył dziki gatunek zwierząt, nieformalnie ochrzczonego chitynowym niedźwiedziem. Stworzenie przypominało małego niedźwiedzia polarnego, jednak jego skóra składała się z występujących naprzemiennie pasów chityny i długiego białego włosa. Poza tym było szybkie, miało ostre kły i agresywny charakter. Chociaż żywiło się głównie małymi wielorybami umiarkowanych mórz Gansas, miało słabość do sześcionożnych obcych, szczególnie jeśli akurat pojawiły się w zasięgu jego wzroku.

Bez wątplenia ten ewenement, nie spotykany nigdzie indziej w rodzinie planet, zrodził w obcych umiejętność walki. Gdy pierwsza grupka ziemskich myśliwych zaczęła strzelać do obcych, pozaziemscy odpowiedzieli ogniem. Zupełnie nieprzygotowany „Gansas” znalazł się pod ostrzałem z umocnionej pozycji w klifie.

Zanim obcych starto na pył, trafili w jeden z włączów dla personelu, czyniąc spore straty.

Przez pięć pełnych dób Sekcja Inżynieryjna naprawiała potężne szkody, dalszy tydzień zaś zajął cierpliwy i staranny przegląd statku oraz łatanie pomniejszych uszkodzeń. Dopiero po tym czasie ludzie mieli pewność, że wszystkie elementy statku bez trudu przetrwają dalszą podróż.

Do końca tego okresu pani Warhoon pozostawała w euforii.

– Wszelkie myśli, które przyszły mi do głowy na widok tamtego posągu, musiały być jakimś rodzajem zaćmienia umysłowego – mówiła, tuląc się do kolan Bryanta Lattimore’a. – Wiesz, byłam bardzo zdenerwowana tego dnia. Naprawdę czułam... och, no... miałam bardzo dziwne uczucie, że człowiek trafił na złą ścieżkę w ewolucji czy coś takiego.

– Nigdy nie lekceważ pierwszego wrażenia – doradził jej Lattimore. Mógł już sobie pozwalać na żarty, bo w końcu przestała gadać bzdury.

– Kiedy zabierzemy tych obcych na Ziemi i nauczymy ich angielskiego, poczuję się lepiej. Traktuję swój zawód zbyt poważnie, a to jest, jak mniemam, oznaka niedojrzałości. Jednakże będziemy mieli tak wiele wiedzy do wymiany... Och, Bryancie... zbyt dużo gadam, nieprawdaż?

– Uwielbiam cię słuchać.

– Tak przytulnie jest na tym pledzie. – Rozciągnęła się na skórze, dotykając czubkami palców naprzemiennych pasków długiego futra i chityny.

Lattimore przyjrzał jej się z rosnącą pożądlivością, choć starał się trzymać w korbach. Miała zgrabne i zwinne palce.

– Jutro – oświadczył – zaczynamy powrót na Ziemię. Nie chciałbym cię po powrocie stracić z pola widzenia, Hilary. Masz coś przeciwko temu, że spytam, jak bardzo jesteś związana z Mihalym Pasztorem?

Wyglądała na zaniepokojoną. A może tylko usiłowała się zarumienić. Zanim jednak zdołała odpowiedzieć, ktoś zastukał do drzwi. Wszedł Quilter z karabinem kalibru 50 milimetrów w dłoniach; przyjaźnie skinął głową pani Warhoon, która wstała z chitynowego pledu i poprawiła ramiączka.

– Statek jest czysty i gotów do akcji – oznajmił Quilter, kładąc karabin na stole, chociaż nadal

patrzył na Hilary Warhoon. – Skoro mowa o akcji, na męskim pokładzie mogą wystąpić pewne problemy, jeśli czegoś wkrótce nie przedsięwzięmy.

– Jakiego rodzaju problemy? – spytał leniwie Lattimore, nakładając okulary i proponując obojgu meskale.

– Tego samego typu, jakie mieliśmy na „Mariestopes” – odparł Quilter. – Nososrale na okrągło robią pod siebie. Ludzie odmawiają sprzątnięcia łajna bez dodatkowej zapłaty. Domyślam się jednak, że tak naprawdę rozdrażnił ich popsuty syntezytor jedzenia na Pokładzie H, w wyniku czego otrzymują prawdziwe staroświeckie mięso zwierzęce. Nasi kretyńscy kucharze sądzili, że nikt nie zauważy, jednak sporo ludzi trafiło do Sekcji Szpitalnej z objawami zatrucia cholesterolowego.

– A cóż na to dowództwo?! – zawołał Lattimore nie bez zadowolenia.

Im więcej słyszał o niedostatkach innych, tym wyżej cenił własną skuteczność. Pani Warhoon natomiast nadała się, głównie z powodu niespodziewanie szybkiego spoufalenia, które zrodziło się między Bryantem i Quilterem.

– Mięso zwierząt nie jest toksyczne – odparowała z urazą w głosie. – W zacofanych regionach Ziemi nadal jada się je regularnie. – Nie miała odwagi przyznać się, że „naturalny” posiłek z Pasztorem w zaciszu jego mieszkania sprawił jej ogromną przyjemność.

– Może, tyle że przypadkiem jesteśmy cywilizowani, a nie zapóźnieni w rozwoju – odciął się Quilter, wciągając aż do dna płuc dym z meskala. – I dlatego załoga, która musi sprzątać zwierzęce kupy, strajkuje.

Pani Warhoon dostrzegła na twarzach obu mężczyzn sardoniczne uśmiešky i przybrała identyczną minę. Niczym objawienie było dla niej odkrycie, jak strasznie nie znosi tej małpiej męskiej wyższości. A wspomnienie szlachetnego, wspaniałego posągu z Pestalozzi pomogło jej wręcz ją znienawidzić.

– Och, wy mężczyźni jesteście wszyscy tacy sami! – krzyknęła. – Oderwaliście się od podstawowych realiów życia, na co żadna kobieta nigdy by sobie nie pozwoliła. Ponieważ – dobrze to czy źle – jesteśmy gatunkiem mięsożernym i zawsze nim pozostaniemy! Mięso zwierzęce nie jest trujące, a jeśli po nim chorujecie, to znak, że otruł was wasz umysł! A cały ten strach przed ekskrementami?! Nie rozumiecie, że dla tych biednych i godnych pożalowania istot, które schwytałyśmy, własne odchody są oznaką płodności? Dlatego wydalane sole mineralne ceremonialnie oddają z powrotem swojej ziemi. Mój Boże, cóż w rym takiego odpychającego? Czy jest to bardziej odrażające niż ziemskie religie, w których ofiary z ludzi składało się na ołtarzach różnych wyimaginowanych bóstw? Kłopot z naszą kulturą polega na tym, że opiera się ona na lęku przed brudem, trucizną i odchodami. Uważacie, że wydaliny są złe, a w gruncie rzeczy zły jest strach!

Rzuciła na ziemię meskala i zdeptała go butem, jakby symbolicznie usiłowała odrzucić wszelką sztuczność. Lattimore patrzył na nią z uniesionymi brwiami.

– Co w ciebie wstąpiło, Hilary? Nikt się nie boi gówna. Po prostu mamy go już powyżej uszu. Tak jak mówisz, są to odpady. Okej, więc się ich pozbądźmy, a nie brnijmy w nich po kolana. Nic dziwnego, że te cholerne nososrale niczego nie osiągnęły, skoro ułożyły sobie życie wokół gówna.

– Poza tym – dodał racjonalnie Quilter, ponieważ był przyzwyczajony do irracjonalnych kobiecych wybuchów – załoga nie buntuje się przeciw sprzątnięciu gównien, a jedynie chce dostać za tę robotę dodatkową zapłatę.

– Ależ obaj kompletnie nie zrozumieliście, o czym mówię – zdenerwowała się Hilary, przeczesując ładnymi, szczupłymi palcami włosy.

– Wszystko będzie dobrze, moja droga – oświadczył ostro Lattimore. – Tylko daj sobie spokój z tą koprofilią i w ogóle się opamiętaj.

* * *

Następnego dnia, doprowadzony do stanu używalności „Gansas” wystartował z tej zakazanej planety i ruszył – transponentnie oraz transcendentnie – ku Ziemi, niosąc bezpiecznie ukryty pod pokładem ładunek żywych organizmów, ich nadziei, fobii, wielkości i słabości.

Rozdział czternasty

Stary Aylmer lubił sobie pospać, więc gwałtownie zaprotestował, kiedy Snok Snok Karn usiłował go dobudzić. W końcu młody utod uniósł go w czterech kończynach i łagodnie nim potrząsnął.

– Musisz się przemóc do pełnej świadomości, mój kochany Wiotkonogi – powiedział Snok Snok. – Przypasz sobie kule i idź do drzwi.

– Moje stare stawy zeszywniały, Snok Snoku. Nie przeszkadza mi ich sztywność, póki mogę leżeć w spokoju.

– Przygotuj się na życiowe stadium padliny – odparł utod. Latami ćwiczył mowę przy użyciu jedynie otworów casspu i ustnych. Dzięki temu on i Ainson mogli jako tako konwersować. – Kiedy zmienisz się w padlinę, Matka i ja posadzimy cię pod drzewami ammp i w swoim następnym cyklu zostaniesz utodem.

– Bardzo ci dziękuję za tę łaskę, lecz jestem pewien, że nie po to mnie obudziłeś. O co chodzi? Co cię trapi?

Tej frazy mimo czterdziestoletniego towarzystwa Aylmera Snok Snok ani razu nie zrozumiał. Zignorował ją zatem.

– Przybyły jakieś istoty podobne do ciebie. Widziałem, jak jechali ku naszemu gnojowisku na czterech okrągłych nogach.

Ainson przypiął antygravitacyjne kule.

– Ludzie? Nie wierzę, nie po tych wszystkich latach!

Podniósł się i o kulach ruszył korytarzem do frontowych drzwi. Obok znajdowały się inne drzwi, których nie otwierał od długiego czasu; prowadziły do pomieszczeń zawierających broń, amunicję, aparaturę rejestrującą i zgniłe zapasy. Dotąd zwracał na to wszystko nie większą uwagę niż na automatyczny posterunek obserwacyjny, który dawno temu (wraz ze swoją anteną) zapadł się pod majestatem burz i przyciągania grawitacyjnego.

Gorgi przebiegły przed Snok Snokiem i Ainsonem, po czym wpadły do gnojowiska, gdzie spoczywała Quequo w subtelnej półleżącej pozycji. Snok Snok i Ainson zatrzymali się w progu i patrzyli za palisadę. Czterokołowy łaźnik właśnie stanął przy bramie.

„Czterdzieści lat – pomyślał stary Aylmer – czterdzieści lat spokoju i ciszy... nie zawsze cholera pożądana! A teraz musieli przylecieć i mnie niepokoić! Dranie! Mogli pozwolić mi umrzeć w spokoju. Sądziłem, że uda mi się odejść przed następnym esrd i chętnie dałbym się pogrzebać pod drzewami ammp.

Gwizdnął na swego gorga, przywołując go do siebie i nieruchomo czekał. Z furgonetki wyskoczyło trzech mężczyzn.

Ainson machinalnie wrócił do korytarza, otworzył drzwi do małej zbrojowni i wpatrzył się w pomieszczenie, przyzwyczajając wzrok do światła. Cały pokój pokrywała gruba warstwa kurzu. Aylmer otworzył metalową skrzynię i wyjął ze środka matowo lśniący karabin. Hmm, a amunicja? Gdzie jest amunicja? Rozgoryczony rozejrzał się po bałaganie, po czym upuścił broń na brudną podłogę i powłócząc nogami, wrócił do korytarza. Zbyt wiele spokoju zaznał na Dapdrof, by teraz strzelać. Nie w jego wieku.

Jeden z ludzi dotarł już prawie do frontowych drzwi. Jego dwaj towarzysze pozostali przy wejściu do palisady.

Ainson zadrzał. Jak się powinien zwracać do przedstawicieli własnego gatunku? Szczególnie do

tego konkretnego faceta. Równie dobrze mógł być nawet nieznacznie starszy od Ainsona, który spędził przecież czterdzieści lat w 3G. Mężczyzna nosił mundur, więc młody, zdrowy wygląd bez wątplenia zawdzięczał wojskowemu życiu. Jego umysłu zaś Aylmer z pewnością nie potrafi ocenić. Przybysz miał dziwną świętoszkowatą minę człowieka winnego.

– Jesteś Samuel Melmoth z „Gansas”? – spytał Ainsona.

Stanął w neutralnej pozie, na nieco sztywnych z powodu grawitacji nogach. Ciałem blokował drzwi. Ainson zagapił się na niego bez zrozumienia. Zwierzęta dwunożne wyglądają w ubraniach dziwnie, gdy się człowiek od tego zjawiska odzwyczai.

– Melmoth? – powtórzył żołnierz.

Aylmer nie miał pojęcia, o co gość może pytać. Nie przychodziła mu też do głowy żadna stosowna odpowiedź.

– No powiedz, jesteś Melmoth z „Gansas”, zgadza się?

Słowa znów tylko zdumiały Ainsona.

– On się pomylił – zasugerował Snok Snok, przypatrując się z uwagą przybyszowi.

– Nie możesz trzymać swoich ohydnych okazów w bajorach?! Tak, jesteś Melmoth, zaczynam cię teraz poznawać. Dlaczego mi nie odpowiadasz?

W umyśle Ainsona pojawił się strzęp starożytnej formułki. Na ammpy, ależ to była udreka!

– Wygląda jak deszcz – odparł.

– Więc jednak mówisz! Bo już się o obawiałem, żeś zwariował. Jak się masz, Melmoth? Nie pamiętasz mnie, co?

Aylmer spojrzał bezradnie na stojącego przed nim wojskowego. Poza swoim ojcem nie przypominał sobie nikogo ze swego życia na Ziemi.

– Boję się, że... Minęło tak dużo... Byłem sam.

– Według moich obliczeń czterdzieści jeden lat. Nazywam się Quilter, Hank Quilter i jestem kapitanem niszczyciela gwiazdowego „Hightail”... Quilter. Nie pamiętasz mnie?

– To było tak dawno...

– Podbiłem ci kiedyś oko i przez te wszystkie lata miałem z tego powodu wyrzuty sumienia. Kiedy skierowano mnie do tego bojowego sektora, postanowiłem wykorzystać okazję i przylecieć po ciebie. Cieszę się, że nie żywisz do mnie urazy, chociaż w zasadzie nie jest to powód do dumy, że mnie po prostu zapomniałeś. No dobra, jak ci się żyje na Pestalozzi?

Ainson chciał być miły dla tego faceta, który najwyraźniej traktował go z dużą dozą życzliwości, niestety, nie potrafił z nim sensownie rozmawiać.

– Eee... Pesta... Pesta... Przez te wszystkie lata tkwiłem tu, na Dapdrof. – Nagle przyszło mu do głowy coś, o co od dawna chciał spytać, co go martwiło od... och, chyba od dziesięciu lat, tak czy owak od długiego czasu. Oparł się o framugę drzwi, odchrząknął i rzucił: – Dlaczego nie przylecieli po mnie, kapitanie... eee... kapitanie?

– Kapitanie Quilter. Albo Hanku. Naprawdę się dziwię, że mnie nie pamiętasz. Ja ciebie pamiętam doskonale, a robiłem mnóstwo rzeczy przez ten cały czas... Och, no cóż, to już jest odległa przeszłość, a twoje pytanie wymaga dokładniejszej odpowiedzi. Mogę wejść?

– Wejść? Och, tak, jasne, możesz wejść.

Kapitan Quilter zerknął ponad ramieniem starego kaleki, pociągnął nosem i potrząsnął głową. Najwyraźniej starzec się stubylczył i mieszkał wraz ze swoimi świniami.

– Może lepiej wsiądźmy do furgonetki. Mam tam trochę bourbona. Napijemy się.

– Eee, no dobrze. Czy Snok Snok i Quequo mogą pójść z nami?

– Na litość boską, Melmoth! Te dwa stwory? Przecież one strasznie śmierdzą... Może ty się do

tego przyzwyczaiłeś, stary, ale ja na pewno nie. Pozwól, że pomogę ci przejść tę odległość.

Ainson gniewnym ruchem odrzucił ofiarowaną dłoń i powoli pokuśtykał na kulach.

– Nie będę tam długo, Snok Snoku – oznajmił w języku, który stworzyli na własny użytek. – Muszę tylko wyjaśnić parę spraw.

Z przyjemnością zauważył, że dyszy znacznie mniej niż kapitan. Przy furgonetce odpoczęli, podczas gdy dwaj pozostali żołnierze przypatrywali się Aylmerowi z ukradkowym zainteresowaniem. Prawie przeproszającym tonem Quilter pokazał butelkę. Gdy Ainson odmówił, sam wypił wielki łyk. Ainson spędził ten czas na próbie wymyślenia jakiejś uprzejmej odżywki. Jego myśli wypełniało jednak tylko jedno zdanie.

– Nigdy po mnie nie przylecieli, kapitanie.

– Nikt tu nie ponosi winy, Melmoth. Znajdowałeś się z dala od kłopotów, wierz mi. Na Ziemi w owym czasie po prostu otworzył się worek z nieszczęściami. Lepiej ci o tym wszystkim w skrócie opowiem. Pamiętasz stare konflikty kontrolowane, które rozwiązywano na Charonie? No cóż, angielsko-brazylijski konflikt wymknął się nagle spod kontroli. Brytyjczycy zaczęli naruszać prawa wojenne. Udowodniono na przykład, że przemycili Głównego Odkrywcę, osobę, której zgodnie z prawem nie wolno było uczestniczyć w konfliktach zbrojnych, ponieważ dana strona mogłaby zyskać wiedzę specjalistyczną o miejscowym terenie i zdobyć przewagę... No wiesz... Studiowałem wprawdzie cały ten incydent w szkole Historii Wojskowości, jednak człowiek zapomina z wiekiem różne drobne szczegóły. Tak czy owak, tego Odkrywcę... nazwiskiem Ainson... przetransportowano z Charona na Ziemię, by go osądzić. Tam został zastrzelony. Brazylijczycy twierdzili, że popełnił samobójstwo, Brytyjczycy natomiast oskarżali Brazylijczyków o zamach... I... no cóż... Potem w konflikt wciągnięto Stany Zjednoczone, okazało się bowiem, że przed więzieniem znaleziono amerykański rewolwer i w mgnieniu oka wybuchła prawdziwa wojna, taka jak w dawnych czasach.

Stary Aylmer zupełnie się pogubił podczas tej opowieści, toteż teraz już w ogóle nie wiedział, co powiedzieć. Własne nazwisko w ustach Quiltera całkowicie go omamiło.

– Sądziście, że ktoś mnie zastrzelił? – spytał. Quilter wziął drugi łyk z butelki bourbona.

– Nie wiedzieliśmy, co się z tobą stało. Wojna międzynarodowa, chociaż nie światowa, wybuchła na Ziemi w 2137 roku i trochę o tobie zapomnieliśmy. Chociaż sporo walk toczyło się także w tym sektorze wszechświata, szczególnie na Liczbach i Rodzaju. Obie planety zostały praktycznie zniszczone. Klementyna również nieźle oberwała. Miałeś szczęście, że na twojej planecie użyto wyłącznie konwencjonalnej broni. Widziałeś tu jakieś potyczki?

– Potyczki na Dapdrof?

– Na Pestalozzi.

– Tu nikt nie walczył, a co do innych miejsc... to nie wiem.

– Udało ci się, że byłeś na tej półkuli. Północna została praktycznie usmażona, sądząc po tym, co widziałem ze statku.

– Nigdy po mnie nie przylecieliście.

– Psiakrew, wyjaśniam ci przecież, nie rozumiesz? Napij się, stary, to cię uspokoi. Bardzo niewiele osób o tobie wiedziało i zdaje mi się, że dziś już większość z nich nie żyje. Wychyliłem się, by ci pomóc. Teraz dowodzę własnym okrętem i chętnie zabiorę cię do domu... Widzisz, z Wielkiej Brytanii nie zostało zbyt dużo, ale w Stanach będziesz mile widzianym gościem. W ten sposób wyrównam rachunki za podbite oko, dobra? Co powiesz, Melmoth?

Ainson wypił łyk z butelki. Ledwie mógł znieść myśl o powrocie na Ziemię. Tak wiele musiałby zostawić, tęsknota by go zżerała każdego dnia... Z drugiej strony, człowiek powinien pragnąć wrócić do domu, czekały tam na niego obowiązki...

– Coś mi się przypomina, kapitanie. Mam wszystkie te kasety, nagrania, słownictwo i inny materiał.

– Jaki materiał?

– Och, teraz to ty zapominasz. Materiał, który miałem tu zdobyć. Opracowałem niezły kawałek języka utodów... języka tych... tych obcych, no wiesz...

Quilter popatrzył na niego niechętnie, po czym wytarł pięścią wargi.

– Moglibyśmy go zabrać innym razem?

– Kiedy? Za następne czterdzieści lat? Och nie, kapitanie, nie wracam na Ziemię bez tej dokumentacji. To przecież dzieło mojego życia.

– No właśnie – mruknął z westchnieniem Quilter. „Dzieło życia”, pomyślał. I – jak to często bywa – dzieło życia pozbawione jakiegokolwiek wartości dla kogokolwiek poza samym twórcą. Nie miał serca powiedzieć temu staremu pokurczowi, że na innych planetach Sześciogwiazdnej Gromady pozaziemscy obcy praktycznie wymarli, zabijani mniej lub bardziej przypadkowo podczas wojny, zaś tu, na południowej półkuli Pestalozzi, topniały ostatnie setki. Był to jeden ze smutnych przypadków życia.

– Weźmiemy zatem wszystko, co chcesz zabrać, Melmoth – odrzekł ciężko. Wstał, wygładził mundur i kiwnął na dwóch żołnierzy, stojących obok nich beczynnie. – Bonn, Wilkinson, podjedźcie furgonetką pod drzwi chaty i załadujcie ekwipunek pana Melmotha.

Jak dla Ainsona, zdarzenia rozgrywały się zbyt szybko. Poczul, że zaraz się rozplacze. Quilter poklepał go po plecach.

– Nic ci nie będzie, stary. Na pewno gdzieś w banku czeka na ciebie niezły stos kredytów. Dopilnuję, żebyś co do centa dostał zapłatę, która ci się należy. Ucieszysz się, gdy opuścisz tę miażdżącą grawitację.

Kaszłąc, starzec poruszył się na kulach. Jak miał się pożegnać z drogą starą Quequo, która zrobiła tak wiele, by się z nim podzielić swoją mądrością... i ze Snok Snokiem...?

Zaczął rzewnie płakać.

Quilter taktownie obrócił się do niego plecami i przyglądał się sztywnemu wiosennemu listowiu.

– Nie jestem przyzwyczajony do tego napoju, kapitanie Printer – stwierdził po minucie Aylmer. – Mówił pan, że Anglia została zniszczona?

– Och, nie martw się o to teraz, Melmoth. Naprawdę cudownie żyje się obecnie na Ziemi. Przysięgam, że to prawda. Życie tam poddawane jest większej dyscyplinie, lecz z drugiej strony wszystkie narodowe różnice zostały zniwelowane, przynajmniej chwilowo. Wszyscy szaleńczo odbudowują zniszczenia... Jak zawsze, wojna niesamowicie przyspieszyła rozwój techniki. Szkoda, że nie jestem dwadzieścia lat młodszy.

– Ale mówiłeś, że Anglia...

– Jeśli chodzi o Anglię, ogrodzono część Morza Północnego w celu osuszenia, aby zastąpić napromieniowane rejony nowym terytorium... A Londyn – ma się rozumieć – odbudujemy, chociaż pewnie na skromniejszą skalę.

Po przyjacielsku otoczył ramieniem zgarbione barki Ainsona i zadumał się nad faktem, jakie piętno odcisnęła długa historia na ciele jego towarzysza.

Starzec energicznie potrząsnął głową, rozpraszając łzy.

– Kłopot w tym, że po tych tylu latach zupełnie wypadłem z obiegu. Obawiam się, że już nigdy z nikim się nie porozumiem.

Poruszony tym stwierdzeniem Quilter odchrząknął nerwowo. Tak, czterdzieści lat! Hank nie zastanawiał się właściwie, co stary czuje i jak żył. Ależ to się dziwnie w życiu układa!

– Och, daj spokój, to kompletny nonsens! We dwóch niebawem wszystko sobie wyjaśnimy, prawda, Melmoth?

– Tak, tak, na pewno, kapitanie Quinto.

* * *

W końcu wojskowa furgonetka podjechała od palisady. Dwa utody schowały kończyny i tkwiąc nieruchomo na krawędzi gnojowiska, obserwowały jej odjazd. Gdy zniknęła im z pola widzenia, młodszy odwrócił się i spojrzał na starszego. Odbyli krótką rozmowę w paśmie niesłyszalnym dla ludzkich uszu.

Młodszy wszedł do opuszczonego budynku i zbadał zbrojownię. Żołnierze dowodzeni przez tego, który opowiedział o śmierci tak wielu utodów, zostawili ją nietkniętą. Usatysfakcjonowany Snok Snok wycofał się i bez wahania wyszedł bramą w palisadzie. Przez mały ułamek życia cierpliwie tkwił w tym osobliwym więzieniu. Obecnie nadeszła pora, by pomyślał o wolności. Swojej wolności...

Lecz pora też, by niedobitki utodów pomyślały o przyszłości. Wolność od ludzi stanowić będzie teraz Pierwsze Święte Przykazanie.

KONIEC

* – Procyon – najjaśniejsza gwiazda gwiazdozbioru Mały Pies (przyp. tłum.)

* – Cheongsam – tradycyjna suknia chińska (przyp. tłum.).

* – Zbitka słów: jo (szkocki) – kochaś; burg – potoczne amerykańskie określenie miasta (przyp. tłum.).

* – Avernus – łacińska nazwa Averno, jezioro we Włoszech, powstałe w kraterze wygasłego wulkanu. W starożytności z dna jeziora wydobywały się trujące gazy (pozostałość wygasającego wulkanu), w związku z czym uważano je za przedsionek piekła. Uwiecznione przez Wergiliusza w Eneidzie, który w pieśni VI opisał zejście doń Eneasza (przyp. tłum.).

* – Rodzaj, Wyjście, Liczby i Kapłańska – nazwy pochodzą od tytułów czterech ksiąg Starego Testamentu: kolejno I, II, IV i III (wg Biblii Tysiąclecia) (przyp. tłum.)

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Rozdział pierwszy.	4
Rozdział drugi	12
Rozdział trzeci	18
Rozdział czwarty.	25
Rozdział piąty.	32
Rozdział szósty.	44
Rozdział siódmy.	56
Rozdział ósmy.	65
Rozdział dziewiąty.	74
Rozdział dziesiąty.	84
Rozdział jedenasty.	94
Rozdział dwunasty.	101
Rozdział trzynasty.	108
Rozdział czternasty.	113

*
—